



Walczyłem w piekle Korei
Sensacyjny wywiad
z weteranem US Army

Twierdza '39
Kulisy heroicznej obrony
Poczty Polskiej w Gdańsku

Epidemie świata
Jak ludzkość pokonała
choroby i wirusy

NR 11(93)/2020 LISTOPAD 2020

CENA 8,90 Zł (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

DO
RZECZY

MIESIĘCZNIK LIŚCIEGO

PRZECIWKO II RP

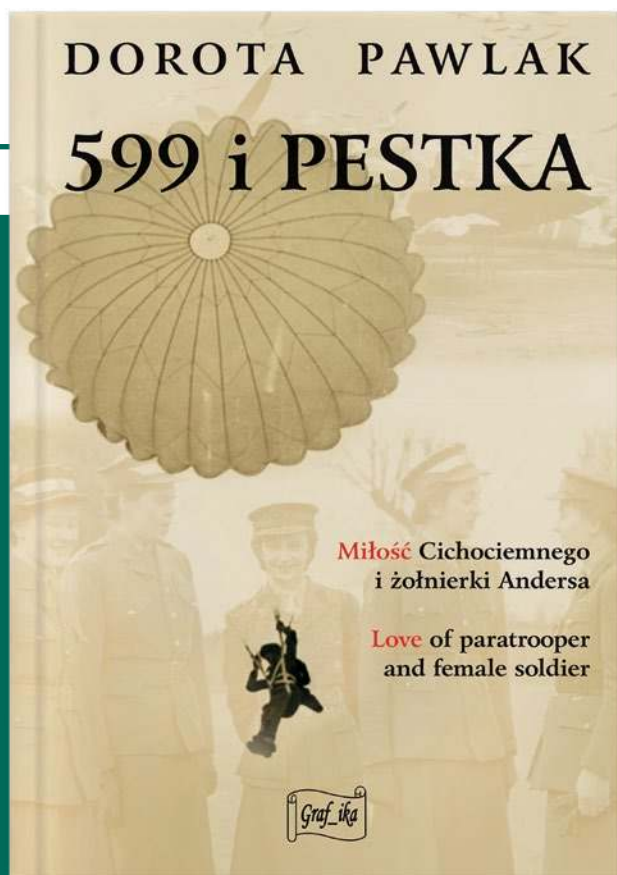
TERRORYZM
UKRAIŃSKI



ISSN 2299-9515

DO RZECZY HISTORIA

Nr indeksu 296 031



*Ona zawsze elegancka,
on tryskający
inteligentnym dowcipem.
Nigdy nie epatowali
wojennymi przeżyciami.*

HISTORIA CICHOCIEMNego I ŻOŁNIERKI ANDERSA

oparta na archiwalnych
dokumentach

tel. 664 172 032 | sklep@graf-ika.pl | www.sklep.graf-ika.pl



Zadanie finansowane ze środków otrzymanych
z Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

ADRES: HISTORIA DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL
Prowadzący: Piotr Włoczyk

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY” JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY”.

REDAKCJA:

Redaktor naczelny: Piotr Zychowicz

Z ZESPOŁEM:

Redaktorzy: Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Piotr Włoczyk

Studio graficzne: Wojciech Niedziółko (szef studia), Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski

Fotoredakcja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk
Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska
Okładka: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL redaguje Karol Gac z zespołem: Zofia Magdziak (zastępca), Antoni Trzmiel (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Sandra Skibniewska, Damian Cygan, Jan Fiedorczyk, Przemysław Harczuk (także „Super Express”)

WYDAWCA:

Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA: Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska

Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:

reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:

(PR manager), pr@mpmg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż),
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@mpmg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaję egzemplarze aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515

Nr indeksu 296031

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7-18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy” jest zabronione. © © Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, październik 1937 r.

Prezydent Ignacy Mościcki przed frontem kompanii huculskiej Legionów Polskich 49. Pułku Piechoty



FOT. NAC

Od redaktora



Piotr Zychowicz

Im gorzej – tym lepiej

To nie przypadek, że barwy Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów to czerwień i czerń. Czerń reprezentuje nacjonalizm, a czerwień – rewolucję. OUN była bez wątpienia organizacją radykalną i rewolucyjną.

Jedną z kardynalnych zasad wszystkich rewolucjonistów świata brzmi zaś: „Im gorzej – tym lepiej”. Ukraińscy nacjonalisci działający w dwudziestolecie międzywojennym czerpali swoje paliwo nie z ugody polsko-ukraińskiej, ale z polsko-ukraińskiego konfliktu.

Dlatego nie strzelali do polskich nacjonalistów. Ludzi, którzy opowiadali się za gnębieniem i wynaradawianiem Ukraińców. Strzelali do polskich (i ukraińskich!) ugodowców, którzy dążyli do porozumienia i zgodnego współżycia obu narodów.

Z ręki zamachowców z OUN zginął Tadeusz Hołówko, najlepszy przyjaciel Ukraińców w obozie piłsudczykowski. Również Bronisław Pieracki – minister spraw wewnętrznych, zastrzelony przez młodego ukraińskiego bojownika na ulicy Foksal – nie należał wcale do stronnictwa jastrzębi.

Mało tego, w 1921 r. ukraińscy nacjonalisci próbowali zastrzelić Józefa Piłsudskiego.

Znanego zwolennika federacji, pojednania i porozumienia Polaków z Ukraińcami.

Dla Bandery i innych przywódców OUN sprawa była prosta. Jeżeli stosunki polsko-ukraińskie będą układały się harmonijnie i zgodnie, to nacjonalisci nie będą mieli racji bytu. Jeżeli zaś stosunki polsko-ukraińskie będą niczym jątrząca rana, wówczas nacjonalisci będą cieszyli się poparciem swojego społeczeństwa. Ich terrorystyczne metody stosowane wobec „polskiego okupanta” będą wywoływały poklask i wsparcie wśród zwykłych Ukraińców.

Niestety władze II RP nie potrafiły sobie poradzić z tym problemem. Nie rozumiały, że im bardziej będą przykręcać śrubę Ukraińcom – co działo się szczególnie w drugiej połowie lat 30. – tym więcej zyskiwać będą na tym ukraińscy nacjonalisci. Żywił karminy się nienawiścią i konfliktem.

Sam ukraiński nacjonalizm w trakcie drugiej wojny światowej przeszedł zaś straszliwą radykalizację. O ile przed wojną jego narzędziami były zamachy na polskich prominentów i akcje sabotażowe, o tyle w 1943 r. stało się nim ludobójstwo bezbronnej polskiej ludności cywilnej. Rewolwery zostały zamienione na siekiery. ©©

/ TEMAT NUMERU

.06 TOMASZ STAŃCZYK

Lista terroru

.10 PROF. JAN PISULIŃSKI

Ukraińcy kontra II RP

.14 TOMASZ STAŃCZYK

Ukraiński atak i polska pacyfikacja

.18 PIOTR ZYCHOWICZ

Rebelia roku 1939



/ CZASY I LUDZIE

.22 JOSEPH WILCOX

Rzeź na wzgórzu 266



.26 ARKADIUSZ KARBOVIK

Obrona poczty w Gdańsku

.30 MICHAŁ KOZŁOWSKI

Krzyżowcy na Rodos

.34 SŁAWOMIR KOPER

Fredro: kompleksy wielkiego kpiarza

.38 JAKUB OSTROMECKI

Tajemnica śmierci Rommla

.42 MIKOŁAJ IWANOW

Polska Czeki?

.46 MAREK GAŁĘZOWSKI

Lwowski szaniec

.50 PIOTR ZYCHOWICZ

Wołyń zdradzony



.54 MACIEJ ROSALAK

Dzieje epidemii: jak kiła pomściła ospę

.58 PIOTR SEMKA

Tyrolska ziemia niezgody

.80 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI

Wodnopłatowce

/ CO CZYTAĆ

.62 KRZYSZTOF MASŁOŃ

Świadeństwo sowieckiej barbarii

/ FELIETONY

.70 JACEK BARTOSIAK

Putin coraz bliżej

.72 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Tajemnica Perłowej Przystani

.73 PIOTR SEMKA

Czterej pancerni i fałsz

.83 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ

Adam Próchnik ojcem IPN

/ BATALIE I WODZOWIE

.74 MACIEJ ROSALAK

Zagon na Korosteń

/ KOMIKS

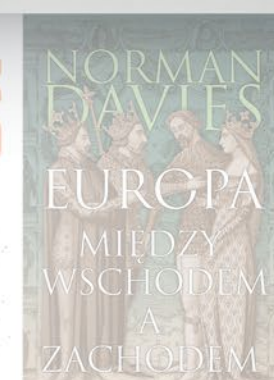
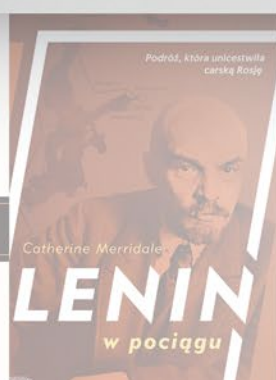
.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI

Nieugięta władczyni przestworzy



Historia

w naszym wydaniu -
**PORUSZAJĄCA
I AUTENTYCZNA**





Bronisław Pieracki (z lewej) i Tadeusz Hołówko, ofiary zamachów OUN FOT. NAC

1922–1934 / Kule i bomby przeciwko Polsce

Lista terroru

Polsko-ukraińska wojna (1918–1919), pierwsza, jaką stoczyła II Rzeczpospolita, była nie do uniknięcia. Nie sposób było pokojową drogą pogodzić aspiracji terytorialnych Polaków i Ukraińców. Próbowano wprowadzić już w trakcie wojny znaleźć rozwiązanie konfliktu o granicę, padły ze strony nie tylko Piłsudskiego, lecz także francuskiego gen. Barthelemy'ego, wysłannika ententy, propozycje podziału niedawnej Galicji Wschodniej. Stanowisko ukraińskie w tej sprawie wyraził jeden z ukraińskich generałów: „Niech nas rozsądzi krew i żelazo”. Tak też się stało: latem 1919 r. Wojsko Polskie pokonało armię Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej – po ponad pół roku walk – kładąc kres istnieniu tego państwa.



Tomasz Stańczyk

/ Oto sześć najgłośniejszych zamachów dokonanych przez ukraińskich nacjonalistów w II RP

Ukraińscy wojskowi nie pogodzili się z porażką i nie zamierzali zrezygnować z polityki „krwi i żelaza”, tym razem w innych warunkach, w państwie polskim. W 1920 r. założyli w Pradze Ukraińską Organizację Wojskową. Na jej czele stanął płk Jewhen Konowalec. I choć dla UOW, podobnie jak dla powstałej w końcu lat 20. Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, celem było niepodległe państwo, złożone ze wszystkich ziem, na których mieszkali Ukraińcy, to w prakty-

ce obie te organizacje mogły – oczywiście nielegalnie – działać jedynie na ziemiach II Rzeczypospolitej. W Związku Sowieckim, na sowieckiej Ukrainie, nie miały szans na jakąkolwiek aktywność.

W II Rzeczypospolitej UOW i OUN sięgały po metody terrorystyczne, między innymi zabójstwa. Nie lędzono się, oczywiście, że terror spowoduje wycofanie się Polski za San i Bug. Chodziło właśnie o atmosferę terroru, czyli strachu i niepewności, które miały towarzyszyć

Polakom mieszkającym we wschodniej części województwa lwowskiego, w województwach stanisławowskim i tarnopolskim. Nacjonalistom chodziło nie tylko o niedopuszczenie do jakichkolwiek prób polsko-ukraińskiego porozumienia, lecz także o karanie – śmiercią – tych, którzy byli jego rzecznikami, zarówno Ukraińców, jak i Polaków. Celem było również utrzymywanie „rewolucyjnego wrzenia” („spokój to dla nas niewola” – deklarowała OUN) i prowokowanie przez akty terrorystyczne odwetu polskich władz oraz kreowanie kultu narodowych męczenników. Taka polityka miała prowadzić do pogłębienia podziałów, atmosfery wzajemnej nieufności i wrogości między Ukraińcami a Polakami.

Kierownictwo UOW (tak jak później OUN) traktowało południowo-wschodnie ziemie II Rzeczypospolitej jako ziemie okupowane przez Polskę, a zamenifestowało to dwoma zamachami we Lwowie na jej najwyższych przedstawicieli: Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego i prezydenta Stanisława Wojciechowskiego.

I Strzały do Marszałka

Dla Piłsudskiego Lwów był miastem, z którym wiązał go ogromny sentyment i o którym mówił z wdzięcznością. Właśnie to miasto było kolebką niepodległościowego ruchu zbrojnego, tu powstały Związek Walki Czynnej i Związek Strzelecki. Piłsudski wspominał, że przed pierwszą wojną znalazł we Lwowie sprzyjającą, wolnościową atmosferę dla swoich planów, dla „agitacji militarnej”.

W 1920 r. osobiście dekorował herb miasta Orderem Virtuti Militari za bohaterską postawę mieszkańców podczas obrony Lwowa w latach 1918–1920, w uznaniu zasług dla polskości.

Rok później, 25 września 1921 r., Marszałek przybył na uroczystość umieszczenia na ratuszu polskiego herbu z tym orderem i na otwarcie Targów Wschodnich.

Miasto podjęło Naczelnika Państwa uroczystym obiadem w ratuszu. Kontrolowano zaproszenia, na rynek ściągnięto wielu żołnierzy i policjantów. Jednak w momencie, gdy Piłsudski wyszedł wraz z wojewodą lwowskim Kazimierzem

Grabowskim z ratusza i wszedł do samochodu, zza pleców policjantów padły cztery strzały pistoletowe. Kule zraniły wojewodę, lecz ominęły Marszałka. Według jednych relacji prasowych, gdy usłyszał strzały, siedział nieporuszony (co pewnie miało świadczyć o jego odwadze), według innych – schylił się, a to świadczyło o rozsądku.

Sprawcą zamachu okazał się młody ukraiński nacjonalista Stepan Fedak, którego siostry były żonami działaczy UOW – Konowalca i Melnyka, późniejszego lidera jednego z odłamów OUN. Na kilka tygodni przed zamachem Piłsudski przyjął w Belwederze Stepana Fedaka seniora, lwowskiego adwokata, znanego ukraińskiego działacza. Naczelnik Państwa powiedział mu wówczas, że „godzina wolności” dla Ukrainy jeszcze nie wybiła, lecz kiedy to nastąpi, „ściśly związek wolnej Polski i wolnej Ukrainy zapewni i pokój na Wschodzie i pomyślny rozwój obu narodów” (J. Cisek, J. Jędrzejewicz, „Kalendarium życia Józefa Piłsudskiego 1867–1935”).

Przed sądem młody Fedak utrzymywał, że nie chciał zabić Naczelnika Państwa, lecz tylko wojewodę. Wojewoda Grabowski przekonując argumentował, że gdyby naprawdę Fedak chciał zabić tylko jego, mógł to zrobić, nie czekając, aż przyjedzie Piłsudski, tylko wcześniej, w dowolnym dniu, na lwowskiej ulicy. A wojewoda poruszał się po mieście bez ochrony. Sąd – zresztą zgodnie z zasadami – rozstrzygnął wątpliwości na rzecz oskarżonego i skazał Fedaka na sześć lat więzienia za próbę zabójstwa wojewody. Kary tej zresztą Fedak nie odsiedział w całości z powodu amnestii.

II Bomba w prezydenta

W 1924 r. Lwów odwiedził prezydent Stanisław Wojciechowski. Kilka miesięcy przedtem odmówił ułaskawienia skazanych na karę śmierci dwóch nacjonalistów, oskarżonych o zamach bombowy na wojskowe magazyny amunicyjne. Przed przyjazdem pre-

zydenta grekokatolicki metropolita Andrzej Szeptycki otrzymał ostrzeżenie od UOW, by nie przyjmował prezydenta w progach katedry św. Jura. Przywitanie się duchowego przywódcy Ukraińców z polskim prezydentem działacze UOW uznali za niedopuszczalne, za swego rodzaju legalizację posiadania przez Polskę południowo-wschodnich ziem. Szeptycki się nie ugiął.

5 września 1924 r. ukraiński nacjonalista Teofil Olszański rzucił na pl. Mariackim we Lwowie bombę w kierunku powozu, w którym znajdował się prezydent Wojciechowski. Na szczęście bomba nie eksplodowała, usłyszano tylko syk i ujrano wydobywający się z niej dym. Dlatego czasami pisano, że była to tylko petarda. Gdyby jednak bomba eksplodowała, prezydent prawie na pewno nie uszedłby z życiem. Policjanci eksperci stwierdzili, że ładunek wybuchowy był na tyle duży, iż dokonałby spustoszeń w promieniu do 10 metrów. Olszański nie stanął przed sądem, gdyż udało mu się zbiec.

Po kilku latach natknął się na niego w Hawanie Melchior Wańkowicz i przeprowadził z nim rozmowę. Motywacją zamachowca była zarówno osobista zemsta, jak i przekonania polityczne: „Urodziłem się jako syn wiejskiego parocha – tłumaczył reporterowi. – W latach

1918–1919 jako czternastoletni chłopak walczyłem przeciw Polakom w armii ukraińskiej. Wtedy poległ mój szwagier, Szymon Szeremeszko, pozostawiając wdowę z synem. Na jego mogile [...] poprzysiągłem Polsce zemstę [...]. Polska urządziła we Lwowie Targi Wschodnie, mające świadczyć o polskości tej naszej stolicy. Trzeba było przeciwko temu zaprotestować” (M. Wańkowicz, „Tędy i owędy”).

III Zabójstwo kuratora

Na negatywną postawę Ukraińców wobec państwa polskiego wpływało to, że województwa, w których zamieszkiwali (a w stanisławowskim, tarno-



■ polskim i części lwowskiego stanowili większość mieszkańców) nie doczekały się – wbrew zapowiedziom – statusu autonomicznego jak Śląsk. Nie powstał we Lwowie ukraiński uniwersytet, a, co więcej, wprowadzona w 1924 r. ustawą utrakwizacja (dwujęzyczność) szkół przyniosła drastyczny spadek liczby szkół ukraińskich. W szkołach utrakwistycznych Ukraińcy uczyli się języka polskiego – trudno było bez jego znajomości funkcjonować w państwie polskim – ale Polacy uczyli się też ukraińskiego. Niemniej jednak Ukraińcy nie bez racji uważali, że szkoły takie sprzyjają ich wynarodowieniu. Nie uzyskali też zgody na utworzenie swojego uniwersytetu.

Stanisław Sobiński, kurator okręgu lwowskiego, na swoim terenie wprowadził w życie reformę szkolną, dokonaną z inspiracji Stanisława Grabskiego, ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego, polityka endeckiego. Sobiński zarządzeniem skierowanym do szkół nakazywał posługiwanie się słowem „rusiński” zamiast „ukraiński” i zakazywał używania języka ukraińskiego jako urzędowego w gimnazjach ukraińskich, a lekcje historii i geografii miały odbywać się po polsku. Dodatkowo Sobiński naraził się nacjonalistom ukraińskim tym, że był członkiem zarządu Straży Mogił Polskich Bohaterów, inspiratora i realizatora budowy Cmentarza Obrońców Lwowa.

Jednym z dwóch zamachowców był młody, niespełna 20-letni członek UOW – Roman Szuchewycz, w przyszłości dowódca Ukraińskiej Powstańczej Armii odpowiedzialnej za masowe mordy na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. Wówczas uniknął odpowiedzialności karnej.

W 1933 r. na polecenie Stepana Bandery miał zostać zamordowany inny kurator szkolnego okręgu lwowskiego – Jerzy Gadomski. Do zamachu nie doszło. Jednak ochraniający kuratora policjant, podczas próby wylegitymowania zamachowca Seweryna Medy, został przez niego postrzelony. Meda otrzymał wyrok dożywocia za próbę zabójstwa.

IV Mord w uzdrowisku

W 1929 r. powstała Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów, ugrupowanie, w którym największą rolę zaczęła szybko odgrywać głównie młodzież, w tym studenci, urodzona w pierwszych latach XX w. Byli wśród nich wspomniany Roman Szuchewycz, a także Stepan Bandera, w latach 1933–1934 kierownik krajowej OUN. Organizacja ta przyswoiła sobie tzw. dekalog nacjonalisty, którego jeden z punk-

tów głosił: „Nie zawahasz się wykonać największego przestępstwa (najniebezpieczniejszego czynu), jeśli tego wymaga dobro sprawy”. Tak czy inaczej była to oczywista akceptacja zamachów terrorystycznych, wymierzonych także w ludzi. Jeszcze dobitniej sformułował drastyczne metody działaczy UOW i wojskowy referent OUN Mychajło Kołodzinskyj: „Trzeba krwi, dajmy morze krwi, trzeba terroru, uczynimy go piekielnym [...]. Nie wstydzimy się mordów, grabieży, podpaleń. W zwałce nie ma etyki [...]”. Każda droga, która prowadzi do naszego najwyższego celu, bez względu na to, czy nazywa się ona u innych bohaterstwem, czy podłością, jest naszą drogą” (za: R. Wysocki, „Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów w Polsce w latach 1929–1939”).

W 1931 r. przebywał na leczeniu w Truskawcu – jednym z najbardziej znanych uzdrowisk – Tadeusz Hołówko, publicysta i poseł obozu rządzącego, znawca problemów polsko-ukraińskich i rzecznik znalezienia płaszczyzny współpracy między Polakami a Ukraińcami. Taka postawa była zaś czymś niebezpiecznym dla działaczy Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Wszelkie próby polsko-ukraińskiego porozumienia, zakładającego lojalność Ukraińców

wobec państwa, zostały ocenione przez OUN jako szkodliwe, mogące podciąć budowanie wpływów tej organizacji w społeczeństwie ukraińskim.

Zamach na Hołówkę nie był zamachem na wysokiego polskiego urzędnika, lecz na ideę porozumienia polsko-ukraińskiego. A Hołówko rozmawiał z politykami umiarkowanej partii ukraińskiej – UNDO (swoją drogą za ostateczny cel uważała niepodległe państwo ukraińskie) oraz opowiadał się za odbudową

szkolnictwa ukraińskiego. Zresztą sam wybór miejsca odpoczynku w Truskawcu, w pensjonacie należącym do greckokatolickich zakonnic, dużo mówił o stosunku Hołówki do Ukraińców. Był tam niejako gościem Ukraińców, a mimo to został zamordowany.

29 sierpnia 1931 r. do jego pokoju w pensjonacie wtargnęli dwaj młodzi



Minister Bronisław Pieracki został zabity strzałami oddanymi w tył głowy FOT. WIKIPEDIA





Od lewej na ławie oskarżonych: Dmytro Daniłyszyn, Wasyl Biłas i Dmytro Zurakowskyj fot. NAC

ludzie. Hołówek leżał w łóżku i czytał. Dosięgło go sześć kul.

Zabójcami byli pochodzący z Truskawca młodzi nacjonaści Wasyl Biłas i Dmytro Daniłyszyn, sądzeni w 1932 r. za napad na pocztę w Gródku Jagiellońskim (zginął policjant, było kilku rannych, w tym ciężko) i skazani na karę śmierci. Gdy w lwowskim więzieniu dokonywała się egzekucja, w cerkwiach greckokatolickich biły żałobne dzwony.

V Śmierć przeciwnika OUN

UOW dokonywała zamachów nie tylko na Polaków, lecz także na Ukraińców, którzy pogodzili się z tym, co nazywała „polską okupacją”. Za niezastosowanie się do zbojkotowania wyborów do parlamentu w 1922 r. zapłacił życiem literat Sydir Twerdochlib, kandydat na posła z ramienia Ukraińskiej Partii Włościańskiej (Chliborobów), zamordowany przez członka UOW pod Kamionką Strumiłową. Z rąk UOW i OUN zginęło zresztą nawet więcej Ukraińców – uznanych za zdrajców – niż Polaków.

Iwan Babij, były oficer Ukraińskiej Halickiej Armii, dyrektor ukraińskiego liceum we Lwowie, był bardzo krytycznie nastawiony do działalności i idei OUN, zakazywał szerzenia nacjonalistycznych poglądów w szkole i je zwalczał. OUN twierdziła, że w tym zakresie Babij współpracował z polską policją. Próbowano go zastraszyć poprzez dwukrotne pobicie, a gdy to nie pomogło, został strzelony.

Stało się to dwa tygodnie po tym, jak występował w roli świadka przed sądem przysięgłych we Lwowie. W procesie w sprawie zamachu OUN na sowiecki

konsulat wśród kilkunastu oskarżonych byli uczniowie gimnazjum kierowanego przez Babiję, a dyrektor zeznawał, że utrzymywali kontakt z „obcymi osobnikami” przychodzącymi do szkoły. Być może udziałem w tym procesie Babij ostatecznie naraził się działaczom OUN. Wyrok wydał „trybunał rewolucyjny” OUN, ale w praktyce Stepan Bandera, krajowy kierownik organizacji.

Zamachowiec Mychajło Car, który 25 sierpnia 1934 r. zabił Babiję na lwowskiej ulicy, śmiertelnie się postrzelił, widząc, że nie uda mu się ucieczka. Trzy lata później Iwan Melnyk (nie mylić z Andrijem) został skazany na 10 lat więzienia za inspirowanie zabójstwa Babiję. Zabójstwo Babiję potępił metropolita Andrzej Szeptycki. Babij był jego bliskim współpracownikiem, prezesem Instytutu Akcji Katolickiej.

VI Zamach na ministra

15 czerwca 1934 r. na warszawskiej ul. Foksal został zamordowany, zmierzający do Klubu Towarzystwa, w którym spotykała się elita władzy, Bronisław Pieracki, wicepremier i minister spraw wewnętrznych. Stało się to z polecenia Stepana Bandery, krajowego kierownika OUN.

Zamachowcem był Hryhorij Maciejko. Nieco wcześniej Maciejko przyczynił się do złapania na lwowskiej ulicy uciekającego człowieka, za którym wołano: „Łapać bandytę!”. Nie wiedział, że był nim członek OUN. Maciejko postanowił odpokutować tę „winę” i zgodził się na dokonanie zabójstwa ministra. Usiłował rzucić w niego bombę, nie był jednak w stanie uruchomić zapalnika, więc

strzelił dwukrotnie w tył głowy Pierackiego. Maciejko udało się zbiec za granicę, uniknął więc odpowiedzialności za zabójstwo. Zmarł w latach 60. minionego wieku w Argentynie.

Bronisław Pieracki był najwyższym rangą przedstawicielem polskich władz zabitym przez nacjonalistów ukraińskich. Dla OUN Pieracki jako minister spraw wewnętrznych uosabiał twardą politykę wobec społeczeństwa ukraińskiego. W istocie prowadził taką politykę przeciwko nacjonalistycznym radykałom, takim jak członkowie OUN. Pieracki deklarował w Sejmie, że nie pozwoli na bezkarne akty terroru indywidualnego czy zbiorowego. Jako wiceminister spraw wojskowych był w 1930 r. jednym z wykonawców tzw. pacyfikacji, w odpowiedzi na falę terrorystycznych akcji przeprowadzonych latem tamtego roku przez UOW/OUN.

Pieracki zdawał sobie sprawę, że skoro Ukraińcy i Polacy żyją w jednym państwie, trzeba szukać porozumienia, a nie stawiać na konfrontację. Zwraca uwagę to, że został zamordowany niedługo po swojej wizycie we Lwowie i rozmowach z metropolitą Szeptyckim, duchowym przywódcą Ukraińców. Do Warszawy wrócił zadowolony z ich przebiegu. Po śmierci ministra Szeptycki wysłał depeszę kondolencyjną do premiera Leona Kozłowskiego: „Wstrząśnięty do głębi niecną zbrodnią, łącząc się w żalu i żałobie” (A. Biedrzycka, „Kalendarium Lwowa 1918–1939”).

Nie zmienia to faktu, że Szeptycki w sprawie zabójstw i innych aktów terroru dokonywanych przez młodych członków OUN nie zajął zdecydowanej postawy, a nawet można interpretować jego niektóre słowa jako pewne zrozumienie ich motywacji i czynów oraz poświadczenia.

Stepan Bandera, krajowy kierownik OUN, zeznał na procesie oskarżonych o przygotowywanie zabójstwa Pierackiego, że planował zamach także na innego wysokiego urzędnika – Henryka Józewskiego, wojewodę wołyńskiego, który realizował na Wołyniu politykę polsko-ukraińskiego pojednania. W przypadku Józewskiego chodziło jednak także o to, że wojewoda zdecydowanie starał się paraliżować działalność i wpływ OUN na Wołyniu. Bandera stwierdził wprost, że Józewski miał zostać zabity za próby pojednania Ukraińców i Polaków.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Nie wszyscy Ukraińcy popierali OUN. Na zdjęciu: świętowanie imienin marszałka Piłsudskiego FOT. NAC

Rozmowa / Z prof. Janem Pisulińskim



rozmawia Piotr Włoczyk

Ukraińcy kontra II RP

PIOTR WŁOCZYK: Ludność ukraińska żyjąca w dawnej Galicji miała nieporównanie silniejszą tożsamość narodową od 26 mln Ukraińców z ZSRS, a także od tych żyjących na Wołyniu. Co to w praktyce oznaczało dla władz w Warszawie?

PROF. JAN PISULIŃSKI: Ukraińcy w Galicji stanowili ok. 60 proc. całej społeczności ukraińskiej żyjącej w II RP (5,5 mln).

Ukraiński ruch narodowy był tam bardzo zróżnicowany. Terroryści nie stanowili w nim zresztą znaczącej siły ani nie mieli dużego poparcia. Takie metody walki popierali głównie młodzież i studenci. W sierpniu 1920 r. powołana została Ukraińska Organizacja Wojskowa (UOW). Doszło do tego na zjeździe byłych

oficerów Korpusu Strzelców Siczowych, walczących w armii Ukraińskiej Republiki Ludowej. UOW, na której czele stanął płk Jewhen Konowalec, miała dążyć różnymi sposobami, również przemocą, do powstania państwa ukraińskiego na wszystkich terytoriach zamieszkałych przez Ukraińców – w ZSRS, II RP, Rumunii

i Czechosłowacji. W praktyce jednak rozwinęła swoją działalność tylko w Polsce.

UOW podporządkowała się funkcjonującemu na emigracji w Wiedniu rządowi Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej Jewhena Petruszewycza, który dążył do pełnej niepodległości. Pamiętajmy, że do 1923 r. status ziem południowo-wschodniej Polski nie był uregulowany. Mocarstwa zachodnie nie chciały początkowo uznać pełnej polskiej suwerenności na tych terenach z uwagi na mieszany charakter ludności. Najpierw chciały oddać te ziemie Imperium Rosyjskiemu, ale zrezygnowały z tego, gdy bolszewicy wygrali wojnę domową. Później proponowały je Polsce na zasadzie 25-letniego mandatu Ligi Narodów. Finalnie, w 1923 r., pozostawiono te tereny w granicach państwa polskiego w zamian za obietnicę, że otrzymają one autonomię.

Jakimi konkretnie metodami UOW walczyła o ustanowienie własnego państwa?

Organizacja ta starała się przeciwstawić działaniom władz polskich zmierzających do pełnej integracji. Organizowała zamachy zarówno na przedstawicieli władz polskich, jak i osoby kolaborujące – w ich mniemaniu – z Polakami (wójtów i innych urzędników). Najstraszniejszy zamach został dokonany we wrześniu 1921 r. na przybyłego do Lwowa Józefa Piłsudskiego, któremu towarzyszył wojewoda Kazimierz Grabowski. Zamachu dokonał student ukraiński Stepan Fedak, związany z podziemiem ukraińskim. Józefowi Piłsudskiemu nic się nie stało, ale ranny został wojewoda Grabowski. Polskie władze oficjalnie uznały, że nie ma co nadawać temu zbyt dużego rozgłosu, w związku z czym utrzymywały, że był to zamach na wojewodę. Dzięki temu Fedak dostał mniejszy wyrok.

Konowalec uważał, że należy unieвозмоżliwić jakiegokolwiek porozumienie z władzami polskimi. Gros tych ataków było skierowanych przeciw „kolaborantom”. Wszyscy, którzy działali na rzecz porozumienia Ukraińców z Polakami i potępiali walkę zbrojną, byli narażeni na atak.

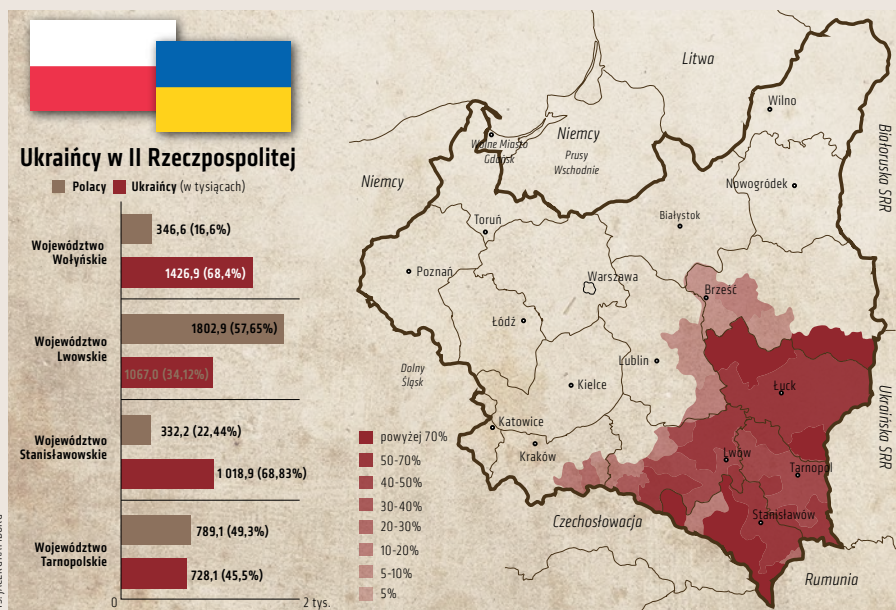
W 1922 r. doszło do tzw. pierwszego częściowego wystąpienia UOW. Jak poważnie ta fala ataków paraliżowała życie w południowo-wschodniej Polsce?

Było to apogeum konfliktu polsko-ukraińskiego. Wielka Brytania opowiadała się za daleko idącą autonomią dla mieszkańców Galicji. Ukraińscy politycy liczyli na poparcie ze strony mocarstw i starali się pokazać, że całe społeczeństwo ukraińskie jest przeciwne polskiemu panowaniu. Z jednej strony zastraszano więc ludzi gotowych do kompromisu, z drugiej starano się pokazać siłę sprzeciwu wobec polskiej – jak to określano – okupacji.

Moment krytyczny nastąpił wtedy, gdy Sejm Ustawodawczy zarządził wybory. Pierwsza tura odbyła się 5 listopada 1922 r. Wybory odbyły się oczywiście również na obszarze Galicji Wschodniej, która, według Ukraińców, oficjalnie nie należała do Polski. Argumentowali oni, że zgodnie z traktatem pokojowym w Saint-Germain Austria scedowała na mocarstwa prawo do decydowania o losie Galicji. Władze polskie od początku pokazywały, że nie ma mowy o ustępstwach, i uznały, że wybory należy przeprowadzić również w Galicji Wschodniej. Według rządu wiedeńskiego i Konowalca wzięcie w nich udziału oznaczałoby zaakceptowanie takiego stanu rzeczy.

Dlatego tuż przed wyborami akty terroru zostały nasilone – dochodziło do napadów na polskich funkcjonariuszy, a także na osoby „kolaborujące”. Zabito wówczas kilkanaście osób i dokonano wielu podpałen.

Polacy mieszkający w Galicji Wschodniej ryglowali się w domach?



Generalnie aż tak źle nie było. Ukraińscy bojownicy nie zabijali cywili, tylko polskich funkcjonariuszy oraz ugodowo nastawionych Ukraińców. Najstraszniejszą zbrodnią było wówczas zabicie Sydira Twerdochliba z ugodowej Ukraińskiej Partii Włościańskiej. To było jedyne środownisko ukraińskie, które zdecydowało się wystartować w tych wyborach.

Jak skuteczna była antywyborcza akcja UOW?

Frekwencja dla województw: lwowskiego, stanisławowskiego i tarnopolskiego wynosiła ok. 35 proc. W dzisiejszej Polsce być może nie robi to aż takiego wrażenia, ale gdy porównujemy to z zachodnimi częściami kraju, widać przepaść. W Wielkopolsce i na Mazowszu frekwencja sięgała wówczas 80–90 proc. Gros Ukraińców zbojkotowało te wybory.

Jak polski rząd zareagował na akty terroru?

Warszawa zdecydowała się nie wprowadzać stanu wyjątkowego. Stwierdzono, że byłoby to odebrane przez mocarstwa jako dowód na to, iż Polska nie radzi sobie z sytuacją. Rząd zwiększył w zapalnym rejonie obecność wojska i policji. Generał Józef Haller objął dowodzenie nad wysłanymi tam jednostkami wojskowymi. Manifestacja siły połączone z aresztowaniami pozwoliła dosyć szybko spacyfikować nastroje.

Kilka miesięcy później, w marcu 1923 r., mocarstwa uznały przynależność całej Galicji Wschodniej do Polski. Polskie władze stwierdziły, że zapis o wprowa-

■ dzeniu tam autonomii nie był obligatoryjny, i postanowiły nasilić politykę asymilacji. Zakazywano nawet mówienia o „Ukraińcach”, chciano zastąpić to słowo „Rusinami”. Wprowadzono szkolnictwo utrakwistyczne, czyli dwujęzyczne. Był to etap pośredni w kierunku likwidacji szkolnictwa ukraińskiego. Spośród prawie 3 tys. szkół ukraińskich istniejących przed 1914 r. pozostało zaledwie kilkaset. Reszta była utrakwistyczna. Język ukraiński funkcjonował na drugorzędnych przedmiotach, takich jak choćby WF, a najważniejsze były nauczane po polsku.

Płacemy nad losem dzieci z Wrześni, a tymczasem...

Niestety, jeżeli opowiadamy o germanizacji i russyfikacji w czasie zaborów, to trzeba też pamiętać, że władze II RP stosowały całkiem podobne metody. Na Wołyniu, gdzie opór społeczny był mniejszy, doprowadzono do tego, że nie została ani jedna ukraińska szkoła.

Przewidziane w ustawie z 1924 r. tzw. plebiscyty szkolne powodowały, że miejscowa ludność była w potrzasku. Z jednej strony polskie władze zastraszają rodziców, by nie występowali o możliwość nauczania w języku ukraińskim, a z drugiej ukraińscy terroryści grozili im, że zmuszą ich do występowania z takimi właśnie inicjatywami.

Po aresztowaniach z przełomu lat 1922 i 1923 – na pewien czas zatrzymano też samego Konowalca – działalność terrorystyczna została bardzo ograniczona. UOW była jednak powoli odbudowywana. Ukraińscy terroryści mogli w tej sprawie liczyć na wsparcie Niemców, Litwinów i Czechosłowaków. Ukraińscy nacjonaliści dostawali od nich pieniądze, paszporty, ale byli również szkoleni. Chociaż na terenie ZSRS ukraiński ruch niepodległościowy był bezwzględnie zwalczany, to również wywiad sowiecki wspierał działania UOW w Polsce.

Kto przede wszystkim popierał UOW w środowisku ukraińskim?

UOW, chociaż opierała się na działaczach z czasów URL, przede wszystkim miała poparcie wśród młodzieży i studentów. Głównie myślę tu o Ukraińcach studiujących na emigracji, ponieważ w Polsce musieli oni składać przysięgę na wierność Rzeczypospolitej. Bardzo wielu z nich studiowało na ukraińskim uniwersytecie w Pradze. Wydarzenia w Europie

sprawiły, że młodzi ukraińscy nacjonaliści, podziwiający Mussoliniego, stawali się coraz bardziej radykalni. W latach 20. zaczął się rysować konflikt między młodszym a starszym pokoleniem nacjonalistów. Starsi byli głównie prawnikami, dlatego ZURL często była nazywana „republiką adwokatów”. Byli oni wychowani w duchu austriackiej tolerancji i opowiadali się za legalnymi metodami. Młodzież oskarżała ich o to, że przez tę ich „rycerskość” w walce z Polakami nie udało się stworzyć państwa ukraińskiego w Galicji. Starsze pokolenie faktycznie wzdrygało się przed sięganiem po terror.

Jakie miejsce zajmowali Ukraińcy w polskiej administracji?

W teorii konstytucja z 1921 r. dawała Ukraińcom pełnię praw, ale formalnie piętrzone przed nimi przeszkody. Polacy nie dopuszczali inteligencji ukraińskiej do ważniejszych państwowych urzędów, zostawiając dla nich tylko najmniej odpowiedzialne stanowiska. Przykłado-



Stepan Bandera, szef Krajowej Egzekutywy OUN (1933–1934) FOT. ARCHIWUM

wo Ukrainiec mógł być sołtysem, ale już nie wójtem. W 1930 r. na 5,5-milionową społeczność ukraińską w administracji państwowej pracowało tylko 14 tys. przedstawicieli tej nacji. Mogli oni być dróźnikami i gajowymi, ale to było w zasadzie maksimum. Zupełnie inaczej wyglądała sprawa, gdy dochodziło do zmiany wyznania na katolickie – wtedy nagle otwierała się przed nimi droga do kariery w administracji.

Tak wyglądała polityka władz II RP wobec mniejszości ukraińskiej. Polska prawica wierzyła, że ludność słowiańską uda się spolonizować, a poza tym starano się zmienić strukturę społeczną w Galicji Wschodniej. Polacy prowadzili kolonizację wojskową – to akurat znana sprawa, szczególnie w kontekście Wołynia. Wię-

szą operacją była jednak mniej znana kolonizacja cywilna, w ramach której sprowadzono kilkadziesiąt tysięcy polskich osadników do Galicji Wschodniej. Trafiała do nich ziemia z parcelacji dużych majątków. Większość tej ziemi (ok. 60 proc.) przekazana została jednak w ręce Ukraińców. Akcja kolonizacyjna w minimalnym stopniu zmieniła w tamtym rejonie polską strukturę społeczną, ale dawała olbrzymią pożywkę propagandową ukraińskim nacjonalistom.

Co przyniosły lata 30.? Na pierwszy plan wychodzi w tym kontekście zabicie przez ukraińskich nacjonalistów dwóch polskich polityków: Tadeusza Hołówni (1931) oraz Bronisława Pierackiego (1934)...

Przez większość lat 20. zagrożenie ze strony ukraińskich nacjonalistów nie było duże, dochodziło wówczas do kilku nastu – zazwyczaj niegroźnych – zamachów rocznie. W 1929 r. nastąpiły jednak duże zmiany. UOW stała się częścią Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Był to konglomerat radykalnych pravicowych organizacji. OUN była swego rodzaju polityczną „czapą” nad UOW.

W drugiej połowie 1930 r. doszło do eskalacji ze strony podziemia ukraińskiego. Było to tzw. drugie częściowe wystąpienie. Polskie MSW obliczyło, że do końca listopada doszło do 191 zamachów. W większości przypadków nie udało się ustalić sprawców i nie wiadomo, czy za częścią z nich nie stały osobiste porachunki albo działalność komunistów. OUN przyznawała się jednak do wszystkich aktów terroru, by podkreślić swoje znaczenie.

Jak poważna była wówczas sytuacja? Historyk Władysław Pobóg-Malinowski pisał, że w 1930 r., tak samo jak osiem lat wcześniej, płonęły polskie dwory i chaty...

Pobóg-Malinowski był świetnym historykiem, ale tu akurat popełnił błąd. Płonące dwory i chaty to legenda, która nie ma żadnego odzwierciedlenia w faktach. Te 191 aktów terroru powinniśmy porównywać z drugą połową 1922 r., gdy – według MSW – doszło do 302 aktów terroru. Drugie częściowe wystąpienie miało więc mniejszą skalę. W 1922 r., choć uciekano się też sporadycznie do mordów, to w większości było to podpalanie stogów siana czy niszczenie słupów telefonicznych. Nie było ani jednego ataku na dwory. To dane

z raportów MSW, a Polakom nie zależało przecież na pomniejszaniu we własnych wewnętrznych raportach liczby ofiar czy skali wystąpień. Przeglądałem też pod tym kątem prasę lwowską, np. endeckie „Słowo Polskie”. Nie wspomniano tam wówczas o tak drastycznych historiach. A komu jak komu, ale endekom na pewno nie zależało na przemilczaniu aktów terroru wobec Polaków.

Miejscowa ludność polska oburzała się i domagała się reakcji ze strony władz. Wielu Polaków bało się, że powtórzy się to, co działo się w listopadzie 1918 r. Józef Piłsudski wezwał do siebie ministra spraw wewnętrznych Felicjana Sławoja-Składkowskiego i polecił mu pokazać siłę państwa.

„Ludność ma wiedzieć, że ma słuchać władz, a nie zamachowców” – miał wówczas powiedzieć Piłsudski. Równocześnie uczulał jednak, by unikać przelewu krwi.

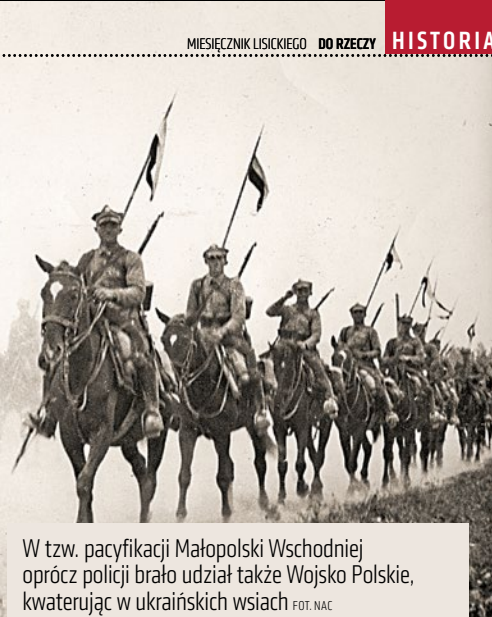
Chodziło mu głównie o tzw. uciążliwe rewizje w organizacjach, spółdzielniach i sklepach ukraińskich. Polegało to np. na tym, że wylewano naftę na mąkę czy rozbierano chałupy, włączając z piecami, szukając rzekomo broni. Wprowadzono też sankcję w postaci stacjonowania wojska polskiego, które miało być żywione przez miejscową ludność. Było to 14 szwadronów jazdy.

W sumie zatrzymano 1,7 tys. osób, ale znaleziono tylko 59 sztuk broni... Część aresztowanych pobito. Ułani, jak twierdzili Ukraińcy, co bardzo trudno dziś zweryfikować, potrafili płazować szablą ukraińskich sołtysów, żeby krzyczeli: „Niech żyje Marszałek Piłsudski!”. Robiono też tzw. tulipany, czyli wieszano kobiety głową w dół tak, że opadały im spódnice...

Według ukraińskich źródeł w wyniku pobicia zginęło od 7 do 35 Ukraińców. Wiadomo na pewno o jednej ofierze pacyfikacji. Po stronie polskiej też jest jedna potwierdzona ofiara – policjant. Pacyfikacja objęła 45 powiatów. Wojsko wysłano również w te miejsca, gdzie nie było zamachów. Chodziło o zastraszenie ludności.

Mimo wszystko trudno odnieść wrażenie, by konflikt polsko-ukraiński w II RP był jakoś przesadnie krwawy...

Jeżeli spojrzeć na liczbę ofiar, to nie ma porównania choćby do działań Londynu wobec Irlandczyków, nie mówiąc już o sowieckich mordach. Według prof. Andrzeja



W tzw. pacyfikacji Małopolski Wschodniej oprócz policji brało udział także Wojsko Polskie, kwaterując w ukraińskich wsiach FOT. NAC

Chojnowskiego śmierć z rąk ukraińskich nacjonalistów poniosło w całym dwudziestoleciu międzywojennym 65 osób, z tego ponad 30 stanowili Ukraińcy. Choć doszło do dwóch spektakularnych mordów – na pośle Tadeuszu Hołowce będącym zwolennikiem ugody z Ukraińcami oraz na ministrze spraw wewnętrznych Bronisławie Pierackim – to skala działań terrorystycznych była raczej niewielka. Mimo że odwet polskich władz był w pewnym stopniu uzasadniony i nie był zbyt brutalny, trzeba przyznać, że był nieproporcjonalny do skali ataków ukraińskich. Było to zresztą zgodne z poleceniem Piłsudskiego. W ogóle jednak II RP zaczęła zmierzać wówczas w stronę autorytarną. Pacyfikacja ludności ukraińskiej zbiegła się z aresztowaniami brzeskimi, mającymi zastraszyć opozycję.

Koniec lat 30. nieodłącznie kojarzony jest w tym kontekście z niszczeniem cerkwi prawosławnych przez Polaków.

Jak to pisał Paweł Piotr Wieczorkiewicz, tuż przed wojną doprowadzono sytuację nieomal do wrzenia. W wyniku radykalizacji władz centralnych do ustąpienia z funkcji wojewody wołyńskiego zmuszony został Henryk Józewski, który dążył do współpracy polsko-ukraińskiej na Wołyniu (oczywiście na polskich warunkach). Wojskowi przejęli politykę wobec Ukraińców. Przewidywano wyrzucenie wszystkich Ukraińców z urzędów, zaczęto to robić na Lubelszczyźnie. Głośno było o przymuszaniu Ukraińców do przechodzenia na katolicyzm. Oburzona była tym choćby Maria Dąbrowska, co widać w jej pamiętnikach.

Ukraińcy również się radykalizowali. Coraz więcej było działaczy ukraińskiego podziemia, którzy nie pamiętali monarchii austriackiej i wychowywani byli w nienawiści do Polaków. Jeżeli chodzi o burzenie cerkwi prawosławnych, to trzeba podkreślić, że były to na ogół nieużytkowane cerkwie. Ale i tak Ukraińcy odbierali to jako zamach na święte miejsca.

Czy abp Andrzej Szeptycki, głowa Kościoła grekokatolickiego w II RP, szczerze próbował załagodzić ten konflikt?

Arcybiskup Szeptycki był bardzo złożoną osobowością. Promował ukraińską tożsamość narodową w seminariach grekokatolickich, ale opowiadał się za zaprzestaniem walk polsko-ukraińskich w listopadzie 1918 r. Bez wątpienia był przeciwny stosowaniu przemocy, chociaż nie zdecydował się otwarcie zaprotestować przeciw atakom terrorystycznym. Polski rząd bardzo chciał się go pozbyć, ale Watykan nie zgadzał się na to, uważając naciski Polaków za niedopuszczalne. Władze polskie musiały go tolerować, tak samo jak polski episkopat, który uważał go za czarną owcę. © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Jan Pisuliński

jest historykiem z Uniwersytetu Rzeszowskiego, znawcą dziejów relacji polsko-ukraińskich, autorem książek na ten temat, m.in. „Nie tylko Petlura. Kwestia ukraińska w polskiej polityce zagranicznej w latach 1918–1923” oraz „Akcja specjalna »Wisła«”.



Tomasz Stańczyk

Władze polskie musiały podjąć zdecydowane kroki wobec fali sabotażu dokonywanego przez ukraińskich nacjonalistów. Przyniosły one jednak brutalność wobec niewinnych

Pod koniec sierpnia 1930 r. marszałek Józef Piłsudski objął ponownie stanowisko premiera. Uznał, że w trudnej sytuacji wewnętrznej musi stanąć na czele rządu.

Stronnictwa opozycyjne, zjednoczone w ugrupowaniu zwanym Centrolewem, dążyły – zdaniem Marszałka – do obalenia władz państwa drogą demonstracji oraz strajków i przejęcia w ten sposób władzy. Piłsudski postanowił się temu przeciwstawić, planując rozwiązanie sejmu i aresztowanie polityków opozycji, co też nastąpiło. Jeszcze jedna kwestia wymagała jednak pilnego rozwiązania.

Latem 1930 r. w województwach: lwowskim, stanisławowskim i tarnopolskim doszło do licznych aktów dywersji i terroru wymierzonych w mieszkających tam Polaków, w tym rolników, urzędników i policjantów, w mienie zarówno prywatne, jak i państwowe. Działania te były tzw. częściowym drugim wystąpieniem UOW – Ukraińskiej Organizacji Wojskowej (całościowym byłoby powstanie). Były powtórką wydarzeń z 1922 r. na tych samych terenach, uznawanych przez UOW za okupowane przez Polskę. Płonęły więc wówczas polskie domy i zabudowania gospodarcze, stogi zboża i siana, przycinano druty telegraficzne, podkładano bomby pod posterunki policji, strzelano do policjantów (były ofiary śmiertelne), przeprowadzano akcje dywersyjne na stacjach, mostach i torach kolejowych. Rok 1922 był rokiem wyborów do parlamentu. Bojówkarze UOW dokonywali zamachów na Ukraińców – kandydatów na posłów, uważając, że ich wejście do władz ustawodawczych

oznacza akceptację polskich rządów między Sanem a Zbruczem. Kilku z nich zostało zamordowanych.

Akcja UOW i OUN

Po ośmiu latach, latem 1930 r., UOW przystąpiła do kolejnej masowej akcji, zarządzonej przez stojącego na jej czele płk. Jewhena Konowalca. Jednak był to też swoisty debiut powstałej w 1929 r. Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, w której do głosu doszło młode pokolenie ukraińskich radykałów. To właśnie w dużej mierze oni – gimnazjaliści i studenci – dokonywali latem 1930 r., podczas wakacji, aktów terroru i sabotażu. Celem było wywołanie uczucia strachu i braku bezpieczeństwa wśród ludności polskiej, skłonięcie Polaków, aby pod wpływem podpalenia ich domów i zabudowań gospodarczych wynieśli się za San, zdeorganizowanie normalnego funkcjonowania państwa, wykazanie bezradności władz.

Liczono na to, że przeciwdziałanie władz pogłębi polsko-ukraiński konflikt, zamieni lojalnych lub neutralnych wobec władz Ukraińców w ludzi im niechętnych lub wrogich. Nie bez znaczenia były rachuby na propagandowe wykorzystanie polskich działań represyjnych na arenie międzynarodowej i wykazanie, jak krzywdzą one społeczność ukraińską.

W opinii prof. Grzegorza Mazura, wybitnego znawcy stosunków polsko-ukraińskich, akcję UOW, nazwaną przez niego „sabotażowo-dywersyjną”, podjęto także „dla uniemożliwienia jakiegokolwiek kompromisu, wzmocnienia coraz bardziej słabnącego muru nienawiści między Ukraińcami i Polakami oraz wzmocnienia swego autorytetu kosztem legalnych ośrodków polityki ukraińskiej w Polsce” (G. Mazur, „Problem pacyfikacji Małopolski Wschodniej w 1930 r.”, w: „Zeszyty Historyczne” 2001, nr 135).

UOW i OUN pretendowały bowiem do roli wyłącznego reprezentanta społeczności ukraińskiej w Polsce, choć jej poli-



1930 r. / „Drugie wystąpienie”

Ukraiński atak i



PIS KRZYSZTOF WYRZKOWSKI

UOW i jego stłumienie

polska pacyfikacja

tyczne zróżnicowanie było duże, istniały legalne partie polityczne. Konowalec zaś zamierzał przez tę akcję „zrewolucjonizować masy ukraińskie i podważyć polski reżim okupacyjny na ziemiach zachodnioukraińskich”. Była to więc także próba przeciągnięcia wielu Ukraińców na stronę skrajnie nacjonalistyczną.

Latem 1930 r. ponownie stanęły w płomieniach domy i zabudowania gospodarstw polskich rolników, sterty zboża i siana. Akcja była wymierzona głównie w Polaków, ale też Żydów, traktowanych jako silni konkurenci dla ukraińskich kooperatyw. Nieznaczną tylko część spośród niemal 200 aktów terroru była wymierzona w mienie państwowe. 30 lipca 1930 r. ukraińscy nacjonaści napadli pod Bóbrką na ambulans pocztowy, zabijając policjanta i zagarniając blisko 30 tys. zł.

Z miesiąca na miesiąc było coraz więcej aktów terroru. W lipcu – 6, w sierpniu – 54, we wrześniu – 101. Najwięcej tych zdarzeń odnotowano w województwie tarnopolskim – 90,

następnie lwowskim – 67 i stanisławowskim – 34.

1 września 1930 r. Józef Piłsudski wezwał do siebie ministra spraw wewnętrznych Sławoja Felicjana Składkowskiego. Instrukcje premiera dotyczyły sytuacji w trzech województwach kresowych. Piłsudski mówił: „Podpaleń, sabotażów, napadów i gwałtów w Małopolsce Wschodniej nie wolno traktować jak jakiegoś powstania. Unikać rozlewu krwi, natomiast stosować w razie dobrowolnego czy niedobrowolnego popierania zamachowców przez ludność represje policyjne, a gdy to nie pomoże – kwaterunek wojskowy ze wszystkimi ciężarami związanymi z nim. Sama obecność wojska uniemożliwi zamachowcom terroryzowanie ludności. Ludność musi wiedzieć, że ma słuchać władz, a nie zamachowców”.

Zarządzona przez Piłsudskiego akcja policyjno-wojskowa określana jest jako „pacyfikacja Małopolski Wschodniej”. Słowo „pacyfikacja” miało wówczas, w 1930 r., inne znaczenie niż po drugiej



Zdemolowana czytelnia
Proświty FOT. DOMENA PUBLICZNA

wojnie światowej, gdy podczas okupacji Polski Niemcy dokonali pacyfikacji kilkuset polskich wsi w odwecie za pomoc dla partyzantów. Niemieckie pacyfikacje oznaczały palenie całych wsi, mordowanie ludności wsi, wysyłanie chłopów do obozów koncentracyjnych, gdzie wielu z nich zostało zamordowanych lub zmarło. Nic takiego nie działo się podczas „pacyfikacji” ok. 450–500 wsi ukraińskich (źródła ukraińskie mówią o większej liczbie).

Bywało jednak – i to nierzadko – że działania policji i wojska miały charakter bardzo brutalny. Działo się to z inicjatywy dowódców jednostek wkraczających do ukraińskich wsi, nie zaś na polecenie z góry. Były więc pobicia Ukraińców, demolowanie w przypadku osób podejrzanych o działalność w UOW i OUN ich domów i zabudowań podczas poszukiwań broni, siedzib ukraińskich organizacji, niszczenie żywności w sklepach spożywczych. Były przypadki poniżania Ukraińców, obrażania ich dumy narodowej.

Według polskich władz działania policji i wojska były bezkrwawe – nikt nie zginął. Ukraińcy twierdzili, że było od 7 do 35 zabitych. Petro Mirczuk, autor ważnej pracy o Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, gloryfikującej ją, pisał o trzech przypadkach śmiertelnych. „Na śmierć zakatowano w Czyżykowie koło Lwowa 17-letniego Matwija Parankę, w Hajach koło Lwowa 18-letniego Mychajła Tut’kę, w Siedliskach, pow. Bóbrka 20-letniego Dmytra Pidhirnego”.

Cytujący Mirczuka Wiktor Poliszczuk, autor pracy „Gorzka prawda. Zbrodnicość OUN-UPA”, zauważał, że gdyby przypadków śmierci Ukraińców z rąk policji lub wojska było więcej, Mirczuk z pewnością by je wymienił. Historyk Adam Adrian Ostanek też pisał o trzech ofiarach śmiertelnych, ale wspomniany Paranka zginął po ataku na żołnierza, ■



Policja i wojsko przeprowadzały rewizję w poszukiwaniu broni

FOT. NAC

■ dwóch innych zastrzelono podczas próby ucieczki z konwoju policyjnego, w tym Juliana Hołowińskiego, komendanta krajowego UOW. Ukraińcy jednak twierdzą, że Hołowiński został zamordowany przez polskich policjantów.

1300 karabinów...

Długi rejestr brutalności policji i wojska w województwie tarnopolskim przedstawił Wołodimir Maćkiw (relacja w książce Mikołaja Siwickiego, „Dzieje stosunków polsko-ukraińskich”, t. 1). Poprzedził go opisem wcześniejszej sytuacji w taki sposób, by wykazać bezzasadność i brak jakiegokolwiek usprawiedliwienia akcji policyjno-wojskowej. Maćkiw twierdził, że polskie władze, nie mogąc – czy też nie chcąc (?) – wykręcić winowajców podpałów, zrzucały winę na UOW. Maćkiw dodawał, że wcale niewykluczone jest, iż „w celach prowokacyjnych czy też dla otrzymania asekuracji sporo podpałów spowodowali sami właściciele zboża. Urzędnicy wysokiej rangi (jak wojewoda Nakoniecznikow) twierdzili, że na rachunek UOW można by zaliczyć raptem 50 proc. podpałów, chociaż i ta ocena była gołosłowna, gdyż nie złapano żadnego winowajcy”.

Wychodziłoby więc na to, że to sami Polacy podpalali w niecznych celach swoje sterty zboża i siana, a co do pozostałych podpałów, nie wiadomo, kto był sprawcą, lecz nie można obciążać winą członków UOW, bo nie złapano ich na gorącym uczynku...

Jednym z przytoczonych przykładów brutalności policji były wydarzenia w Nowej Wsi koło Podwołoczysk: „Rewizja, a raczej pogrom polegał na tym, aby zniszczyć wszystko. W miejscowej spółdzielni »Narodny Dom« gruntowną rewizję przeprowadzili w ten sposób, że zniszczyli całe urządzenie, porozrzucali i oblali

naftą towar. Sprzedawcę Wołodymira Tkacza niemiłosiernie pobili. W Domu Ludowym, gdzie mieści się czytelnia »Proświty«, porąbali siekierami podłogę, scenę, krzesła, szafy z książkami, podarli, pocięli kurtynę i dekoracje, pokieroszowali siekierami ściany, zniszczyli wszystkie portrety, w tym Tarasa Szewczenki, Iwana Franki, Mazepy, Chmielnickiego i Szmigielskiego [...]. W trakcie rewizji bezlitośnie niszczyli mienie chłopskie, wyrzucając wszystko na środek izby i deptając nogami. Robili sałamachę: pierze z rozprutych poduszek, wiśniak, miód, mąkę, krupy, pocięte kilimy, odzież – wszystko mieszały w kupę, a sprzęt rąbali. Niemiłosiernie bijąc, kazali gospodarzom zdzierać strzechy z chat i stodół, rozrzucać stogi ze zbożem i roztrzaskać sноп za sнопem, aby znaleźć broń”.

Maćkiw nie podaje, czy w tej wsi znaleziono broń. Natomiast rewizję przeprowadzane podczas akcji pacyfikacyjnej, trwającej od 16 września do 30 listopada 1930 r., ujawniły niemal 1,3 tys. karabinów, ponad 560 pistoletów i 100 kg materiałów wybuchowych.

Historyk Władysław Pobóg-Malinowski twierdził, że „rewizje dokuczliwe” (podawał przykład wsypywania soli do cukru i oblewania mąki naftą) stosowano tylko „w wypadku hardego stawiania się”, a bicie – tylko w przypadku „zbrojnego oporu”. Jednak wystarczył i opór bierny, by zostać pobitym. Jak podkreślał Pobóg, wojsko wprowadzano na kwatery tylko do tych wsi, w których Ukraińcy po 16 września „w dalszym ciągu występowali ze swoimi metodami terroru, gwałtu, podpałów czy bicia ludności polskiej”, zaprzeczał też, że była choć jedna ofiara śmiertelna pacyfikacji.

W wyniku akcji zatrzymano ponad 1,7 tys. osób podejrzanych o podpalenia i inne akty sabotażu, przynależność do UOW. Największą grupę stanowili chłopcy, a równie liczną studenci i gimnazjaliści.

Jednak niewielu tylko udowodniono winę i skazano na kary więzienia.

Władze polskie stwierdzały, że najwięcej aktów terrorystyczno-sabotażowych zdarzało się w powiatach, w których istniały gimnazja ukraińskie, a wielu podejrzanych było członkami ukraińskich organizacji Proświta, Płast oraz Sokił i Łuh. Oceniano, że organizacje te, o charakterze oświatowym, sportowym i skautowym, są przykrywką dla działalności członków UOW i OUN. Szły za tym decyzje o likwidacji kilku szkół ukraińskich (w Tarnopolu, Stanisławowie, Drohobycz, Rohatynie) i kilkudziesięciu oddziałów niektórych organizacji w powiatach, wreszcie delegalizacja skautowego Płasta.

Obie strony osiągnęły zamierzone cele. Władze doprowadziły do stłumienia aktów terrorystycznych – podczas gdy we wrześniu odnotowano ich 101, w listopadzie było tylko 8. Cena zaprowadzenia spokoju była jednak bardzo wysoka.

„Pacyfikacja” w reakcji na terror i sabotaże UOW, dokonywana przez faktyczne zastosowanie zasady zbiorowej odpowiedzialności, przypadki brutalności wobec osób i dewastacji mienia, także społecznego, spowodowały znaczny wzrost niechęci ludności ukraińskiej – także tej dotychczas lojalnej wobec państwa polskiego i dalekiej od nacjonalistycznej ideologii – do Polski i Polaków.

UOW i OUN akcję policyjno-wojskową wykorzystały na arenie międzynarodowej, przedstawiając prawdziwe (ale i spreparowane) dowody brutalności i bezprawia, jakie dotknęły Ukraińców. Pogorszyło to wizerunek Polski. Jednak rozpatrując skargi Ukraińców Liga Narodów wydała w 1932 r. werdykt, że państwo polskie nie prowadzi przeciw ludności ukraińskiej polityki prześladowań ani gwałtów.

„Należy podkreślić – podsumowywał prof. Grzegorz Mazur tzw. pacyfikację – że wobec tak silnej fali dywersji i sabotażu akcja taka była niezbędna. Obowiązkiem władz państwowych było wystąpienie w obronie integralności państwa, przeciw irredencji ukraińskiej. O tym, że ta ostatnia była silna i stanowiła realne zagrożenie, najlepiej świadczą ilości skonfiskowanej broni, amunicji i materiałów wybuchowych. W tym sensie była ona niezbędna. Natomiast – o ile można bronić słuszności podjętej decyzji – zupełnie nie da się usprawiedliwić brutalności tej akcji”. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



PARTNER
STRATEGICZNY
VIII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2020



Wojna / Tajne plany Abwehry

Sowieccy „wyzwoliciele”
rozdają pisma propagandowe

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Rebelia roku 1939



Piotr Zychowicz

/ Ukraińscy nacjonałiści we wrześniu 1939 r. atakowali polskich żołnierzy i mordowali cywili. Zranili wówczas dwukrotnie generała Władysława Andersa

Grupa kilkunastu polskich oficerów i żołnierzy przeszła gęsiego po kładce nad rzeką Stryj. Zatrzymali się zdrożeni. Mundury w nieładzie, na wysokich butach kurz drogi, na twarzach rezygnacja i zmęczenie. Do węgierskiej granicy jeszcze daleko, bolszewicy następują. W każdej chwili mogą naskoczyć.

Jeden z oficerów ma na sobie mundur generalski. Jest wysoki i szczupły, po jego sprężystych ruchach i postawie łatwo poznać kawalerzystę. Oficer zdejmując czapkę, żeby przetrzeć spoconą, gład-

ko wygoloną czaszkę. A potem rzuca komendę:

– Panowie, idziemy dalej.

To gen. Władysław Anders. Jeden z najwybitniejszych dowódców Wojska Polskiego. Teraz – w otoczeniu grupy najwierniejszych oficerów – ścigany niczym dzikie zwierzę próbuje wymknąć się z sieci sowieckiej oblawy. Jest 29 września 1939 r. Państwo polskie – zdruzgotane pod ciosami obu sąsiadów – przestało istnieć.

Tego dnia jednak nie tylko bolszewicy i Niemcy stanowią zagrożenie. Generałowi Andersowi przyszło bowiem przedzierać się przez tereny zamieszkane przez Ukraińców.

Nagle oficerowie zadarli głowy do góry. W pobliskiej wsi Łastówka zaczęły bić cerkiewne dzwony. A po chwili z opłotków wysypał się tłum krzyczących dziko i wymachujących drągami mieszkańców. Grupa ta wyległa na pola i zablokowała drogę, którą planowali maszerować polscy żołnierze.

Jednocześnie z tyłu pojawiła się druga grupa Ukraińców. Mniej liczna, ale groźniejsza. Mimo sporej odległości widać było bowiem, że jest lepiej zorganizowana, a niektórzy jej członkowie mają broń palną. Sytuacja stała się bardzo groźna – Polacy znaleźli się w kleszczach.

Rozsypujemy się szeroką ławą – wspominał kpt. Konstanty Koszutski.

– We wsi biją dzwony coraz głośniej. Tłum wyje.

– Hurra! – i w sekundę szturmujemy w tłum, strzelając na wszystkie strony z pistoletów i karabinów.

Kilka postaci „roluje” jak zające. Reszta gromady zatrzymuje się na moment, odwraca w tył i z nieludzkim wrzaskiem: „Morduj!” zaczyna biec do wsi.

Równocześnie prawie odzywają się strzały z małej grupy, nacierającej z tyłu. Widać błyski wylotowe. Podbiegam do generała. Ten w pewnej chwili chwytą się za udo i mówi spokojnie:

– Zdaje się, że jestem ranny.

O! Dostałem jeszcze raz.

Ogarnęła nas w tej chwili jakaś straszliwa, zdeterminowana wściekłość. Bez słów wyrwyśmy granaty i rzucamy je w strzelających. Po eksplozjach podrywają się w panice i – jako pierwsi – zaczynają uciekać. Rzucamy nowe granaty. Wrzask okropny.

Generał Anders słańia się i prosi o zrobienie opatrunku. Chwytny go pod rękę i wlecemy na grzbiet wzgórza, potykając się na każdym kroku.

Sam generał w swoich wspomnieniach „Bez ostatniego rozdziału” tak zaś zapamiętał to dramatyczne wydarzenie:

Zostałem ranny raz, a następnie drugi. Czulem, że mam nadwyrężony krzyż.

Bardzo silnie krwawiła rana w biodrze. Nie chcąc utrudniać dalszego marszu kolegom, prosiłem ich, by zostawili mnie na miejscu. Byłem zdecydowany nie oddać się żywym w ręce napastników. Ale moi towarzysze broni nie chcieli o tym słyszeć. Z największym trudem i poświęceniem właściwie pra-



Pułkownik Władysław Anders podczas manewrów na Wołyniu, 1925 r. FOT. NAC

*wie nieśli mnie na rękach.
Dostałem krwotoku raz, potem drugi.*

Rany gen. Władysława Andersa okazały się poważne. Jedna kula przeszła mu mięśnie uda, wywołując silny krwotok. Druga utkwiała w krzyżu, w okolicy nerek. Po opatrzeniu dowódcy grupa podjęła dalszy marsz. Stan generała pogarszał się jednak z minuty na minutę. Wstrząsały nim silne dreszcze, nie był w stanie dalej iść.

W końcu nakazał swoim ludziom, aby go porzucili. Gdy stanowczo odmówili, wyciągnął z kabury rewolwer i usiłował się zastrzelić.

– To już koniec – powiedział.

Oficerom na szczęście udało się powstrzymać swojego dowódcę. O dalszej ucieczce nie było jednak mowy. Generał Anders wkrótce dostał się do niewoli sowieckiej. A dalszy ciąg tej historii zna już każde polskie dziecko. Mało kto jednak wie, że w trakcie kampanii 1939 r. polski generał został ranny w starciu

z uzbrojoną grupą ukraińskich dywersantów.

Była to tylko jedna z wielu potyczek, do jakich doszło w trakcie ukraińskiej rebelii, która wybuchła w momencie, gdy na teren Galicji Wschodniej wdarły się pierwsze zagonny pancerne Wehrmachtu.

OUN i Abwehra

Wróg mojego wroga jest moim sojusznikiem. To odwieczna zasada polityki międzynarodowej. Dlatego właśnie Berlin od 1921 r. konsekwentnie wspierał wywrotową działalność Ukraińców z polskim obywatelstwem.

Niemcy nie potrafili się pogodzić z tym, że w granicach państwa polskiego znalazły się wschodnie prowincje Rzeszy. A ukraińscy nacjonaliści nie potrafili pogodzić się z tym, że w granicach państwa polskiego znalazły się Wołyń i Galicja Wschodnia. Obie stro-

ny miały więc zbieżne interesy i wspólny cel. Były nim destabilizacja i rozpad II RP.

Abwehra przekazywała więc Ukraińskiej Organizacji Wojskowej broń i pieniądze. Ćwiczyła ukraińskich bojowników w swoich tajnych ośrodkach szkoleniowych. Dostarczała im dokumentów, na których mogli podróżować po całej Europie, i udzielała im schronienia na swoim terytorium. W zamian za to Ukraińcy dostarczali niemieckiemu wywiadowi informacji wywiadowczych.

Sytuacja ta zmieniła się na kilka lat w 1933 r., gdy nowy kanclerz Rzeszy Adolf Hitler dokonał reorientacji niemieckiej polityki wschodniej. Zerwał z antypolskim kursem Republiki Weimarskiej i starał się pozyskać Rzeczpospolitą jako kluczowego sojusznika w przyszłej rozgrywce ze Związkiem Sowieckim. Ukoronowaniem tych starań było podpisanie polsko-niemieckiego układu o nieagresji 26 stycznia 1934 r.

Zwrot na linii Warszawa-Berlin nie mógł nie odbić się na stosunku Rzeszy wobec ukraińskich nacjonalistów. Już w grudniu 1933 r. szef OUN Jewhen Konowalec został wezwany na rozmowy do prywatnych apartamentów Hermanna Göringa. Niemcy poinstruowali go, aby OUN zintensyfikowała działalność dywersyjną wymierzoną w bolszewików i ograniczyła akcje terrorystyczne przeciwko Polsce.

W 1934 r. gestapo – na osobisty rozkaz Führera – aresztowało i wydało Polsce Mykołę Łebeda. Jednego z przywódców OUN i organizatora zamachu na ministra Pierackiego, który próbował ukryć się przed polską policją na terenie III Rzeszy. Z kolei w marcu 1935 r. z inicjatywy Heinricha Himmlera polskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych podpisało umowę z gestapo o wspólnym zwalczaniu podziemia komunistycznego i ukraińskiego. Co ciekawe, Himmler poprosił, aby podczas negocjowania układu stronę polską reprezentowała... osoba aryjskiego pochodzenia i nienależąca do masonerii.

Kluczowe było jednak to, że III Rzesza przestała wspierać ukraińską irredentę, czego symbolem było przeniesienie centrali OUN z Berlina do Wiednia.

Układ przyjaźni między Polską a Niemcami – pisał niemiecki znawca Ukrainy dr Hermann Ouwrier na łamach „Zeitschrift für Geopolitik” – znacznie osłabia nadzieje ukraińskie na odzyskanie niepodległości, gdyż układ ten odciąga Polskę w polityce zewnętrznej, pozwalając jej na silniejszą aktywność wewnątrz wobec Ukraińców.

Dla Polaków była to wiadomość znakomita. Neutralizacja śmiertelnego zagrożenia, jakie stanowiła wizja ukraińskiej rebelii wspieranej przez Berlin, była bez wątpienia

■ jedną z najważniejszych korzyści wypływających z polsko-niemieckiego odprężenia.

Dla ukraińskich nacjonalistów zwrot w polityce Berlina był szokiem i rozczarowaniem. Szowiniści z OUN w niemieckim ruchu narodowo-socjalistycznym widzieli bowiem swojego ideowego pobratymca. Hitlerowska rewolucja imponowała radykalnym ukraińskim działaczom. Oba ruchy miały zresztą pewne kontakty. Swego czasu grupa ukraińskich bojowców na osobiste zaproszenie Ernsta Röhma odbyła nawet praktyki w SA. Geopolityka okazała się jednak dla Adolfa Hitlera ważniejsza niż ideologia.

Niestety korzystna dla Polski sytuacja trwała tylko pięć lat. Wkrótce doszło do przetasowania na politycznej mapie Europy Wschodniej. W styczniu 1939 r. minister spraw zagranicznych Józef Beck odrzucił niemiecką propozycję wspólnego marszu na ZSRS. A w kwietniu przyjął brytyjskie gwarancje.

Wywołało to furję Hitlera, który musiał zmienić swoje plany o 180 stopni. Zamiast do wymarzonego marszu Wehrmachtu i Wojska Polskiego na Moskwę musiał teraz szykować się do rozprawy z Polską. Dla Rzeczypospolitej był to zwrot fatalny, ale dla ukraińskich nacjonalistów – wspaniały. Koniunktura znowu obróciła się na ich korzyść. „Ukraina i Niemcy – głosi odezwa OUN z kwietnia 1939 r. – są naturalnymi sojusznikami. Oprócz Niemców Ukraina nie ma na świecie żadnego innego sojusznika przeciw wszystkim okupantom”.

W 1939 r. pozrywane kontakty między Ukraińcami a Berlinem zostały pospiesz-

nie odnowione. Abwehra zaczęła gorączkowo szkolić ukraińskich bojowników, a prowidy OUN powrócił do Berlina. U boku Wehrmachtu stworzono ukraiński legion dowodzony przez płk. Romana Suszkę. Formacja ta miała odbyć „marsz wyzwolenczy” na Wołyń i Galicję Wschodnią.

Bunt '39

Jednocześnie aktywizowano i zbrojono komórki OUN. W zamyśle niemieckich tajnych służb w momencie

wybuchu wojny ukraińscy radykałowie mieli wywołać na tyłach wojsk polskich powstanie. Wsparcie ich miały ukraińskie grupy uderzeniowe, które Niemcy sformowali na terenie Słowacji. Broń planowano przetrząsnąć drogą lotniczą z Prus Wschodnich.

Sytuacja okazała się jednak bardzo dynamiczna. Nagle bowiem na arenie międzynarodowej eksplodowała kolejna bomba! Tym razem atomowa. 23 sierpnia 1939 r. podpisany został pakt Ribbentrop-Mołotow. Ten zaskakujący krok poważnie zachwiał wiarą ukraińskich nacjonalistów w swojego niemieckiego sojusznika. Wyglądało na to, że Berlin znowu wybrał silniejszego – tym razem nie Warszawę, ale Moskwę.

W tej sytuacji krajowe struktury OUN odmówiły dalszej współpracy z Abwehrą i zaniechały myśli o wywołaniu masowego powstania.

Ukraińscy szowiniści nie chcieli bowiem przelewać krwi w obcym interesie. Rozumieli bowiem, że Hitler przehandlował Galicję i Wołyń bolszewikom.

Mimo to w momencie, gdy niemieckie wojska wkroczyły do Galicji Wschodniej, doszło do wielu spontanicznych ukraińskich wystąpień. Do lokalnych dowódców OUN nie dotarły zresztą rozkazy prowidy odwołujące antypolskie powstanie. W efekcie ukraińscy bojówkarze w wielu miejscach opanowywali drogi, mosty, niszczyli linie komuni-

kacyjne, zajmowali urzędy pocztowe i posterunki, a nawet całe miasteczka. Pod kontrolą OUN znalazł się m.in.

Stryj.

Uzbrojone grupy Ukraińców rozbrajały i mordowały oddzielających się od jednostek żołnierzy, a nawet ostrzeliwały pomniejsze oddziały. To właśnie w jednym z takich ataków ranny został gen. Anders. Jeżeli w pobliżu przebywał akurat jakiś silniejszy oddział Wojska Polskiego, wówczas ukraińskie wystąpienia były stanowczo pacyfikowane.

Na całym terenie na moim odcinku działają zgrupowania powstańców ukraińskich – raportował gen. Stefan Dembiński. – Likwidowane są przez policję i moje oddziały. Największe zgrupowanie znajduje się w Mikołajowie. W rejonie tym walki trwały przez cały dzień 15 września. Wysłałem baon kolejną dla zasilenia oddziałów walczących w Ukrainie.

Każda wieś – wspominał kmr Wi-told Zajczkowski – z której strzelano do naszych wojsk, z reguły została spalona.

W dniu 15 września – opowiadał z kolei por. Karol Witold Naszkiewicz – otrzymałem rozkaz udania się z 50 najlepszymi żołnierzami do wsi Nadiatycz. Gdy nadjeżdżałem, wieś już była zdobyta przy stratach policji 7 zabitych i 20 ciężko rannych. Wieś została spalona. Żłapani pop i nauczyciel rozstrzelani.

A oto relacja cywila z kolonii Piaseczno w powiecie kowieńskim:

Uzbrojona banda otworzyła ogień z broni maszynowej, kładąc trupem niemal wszystkich żołnierzy z patrolu. W odpowiedzi na to dowództwo owych jednostek (chodzi o zgrupowanie gen. Franciszka Kleeberga) wydało rozkaz otoczenia wsi, rozstrzelania części mieszkańców – mężczyzn i spalania zabudowań. Zamieszkałym w kolonii Piaseczno Polakom poradzono, by uciekali do centralnej Polski, gdyż tu dla nich życia nie będzie.

To właśnie w 1939 r. ukraińscy nacjonaści dopuścili się pierwszych okrutnych ataków na polską ludność cywilną. Do pacyfikacji doszło m.in. w Koniuchach, Potutorowie, Sławentynie i kolonii Jakubowce. W miejscowościach tych oprawcy wymordowali po kilkadziesiąt osób. Często w okrutny sposób. Z dymem puszczały także polskie dwory, ścigali osadników wojskowych i ich rodziny. Wydarzenia te można uznać za zapowiedź przyszłego ludobójstwa.

„Po wybuchu wojny zaczęliśmy rozbrajać Polaków, gdzie się tylko dało” – wspominał działacz OUN Semen Łewyckij, „Kliszcz”.

Niektórzy nacjonaści do końca mieli nadzieję, że Niemcy na gruzach państwa polskiego utworzą ukraińskie państewko złożone z Galicji Wschodniej i Wołyń. Wydaje się, że kalkulacje te rzeczywiście nie były do końca bezpodstawne. Aż do 17 września Niemcy nie mieli bowiem pewności, czy



Stalin wywiąże się ze swoich sojuszniczych zobowiązań i wkroczy do Polski.

12 września na konferencji w Jełowej feldmarszałek Wilhelm Keitel przedstawił trzy możliwe scenariusze.

Pierwszy: Niemcy dokonują rozbioru Polski z Sowietami.

Drugi: Niemcy zagarniają tylko polskie ziemie zachodnie i podpisują pokój z Polską.

Trzeci: Niemcy tworzą państwo ukraińskie.

Im dłużej Stalin zwlekał z atakiem, tym bardziej prawdopodobny stawał się wariant trzeci. 15 września szef Abwehry Wilhelm Canaris spotkał się z jednym z czołowych ukraińskich działaczy – Andrijem Melnykiem – i dał mu zielone światło do kompletowania rządu.

Dwa dni później rozpoczęła się jednak sowiecka inwazja na Polskę i stało się jasne, że Niemcy zrealizują pierwszy, najbardziej przez siebie pożądaną, scenariusz. Ukraińcy po raz kolejny poszli w odstawkę. Żołnierze ukraińskiego legionu, którzy mieli z rozwiniętymi niebiesko-żółtymi sztandarami wkroczyć do Lwowa, zostali skierowani do batalionów wartowniczych pilnujących zdobytych fabryk. Nadzieje prysnęły jak bańki.

U boku Polaków

Należy jednak wyraźnie podkreślić, że nie wszyscy Ukraińcy w godzinie próby wystąpili przeciwko Rzeczypospolitej. Zarówno grekokatolicki metropolita Lwowa Andrzej Szepczycki, jak i przywódco umiarkowanej partii UNDO w momencie wybuchu wojny zaapelowali do ludności ukraińskiej o zachowanie

spokoju i lojalności wobec państwa. Według szacunków prof. Waldemara Rezmera w szeregach Wojska Polskiego w kampanii 1939 r. biło się ok. 110 tys. Ukraińców. Blisko 8 tys. z nich poległo.

W momencie, gdy stało się jasne, że wojna jest przegrana i w szeregach Wojska Polskiego doszło do rozprężenia i załamania morale, część ukraińskich poborowych zdezerterowała. Wielu jednak do końca dzielnie walczyło u boku polskich kolegów. Symbolem tej postawy jest postać ppłk. Pawła Szandruka, jednego z kilkudziesięciu ukraińskich oficerów kontraktowych służących w Wojsku Polskim.

Szandruk walczył w 1939 r. jak lew. Dzięki opanowaniu i osobistemu bohaterstwu udało mu się wyrwać całą brygadę z niemieckiej pułapki. W walce z Niemcami został ciężko ranny, a za swoje bojowe dokonania otrzymał zaszczytny krzyż Virtuti Militari. Tak postawę dzielnego ukraińskiego pułkownika ocenili zaś jego przełożeni:

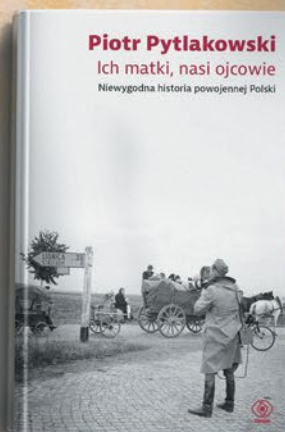
Sytuacja Brygady była właściwie beznadziejna, jednakże wojska wyszły z pułapki szczęśliwie, unikając zagłady w dużej mierze dzięki osobistej interwencji płk. Szandruka, jego zdolności przewidywania, jego energii i odwadze. Zrobił on o wiele więcej dla uratowania wojska, niż można się było spodziewać od przeciętnego dowódcy w podobnej sytuacji.

Wspominając krwawe czyny, jakich dopuścili się ukraińscy nacjonaliści we wrześniu 1939 r., należy również pamiętać o Szandruku i innych Ukraińcach, którzy stanęli po stronie Rzeczypospolitej.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

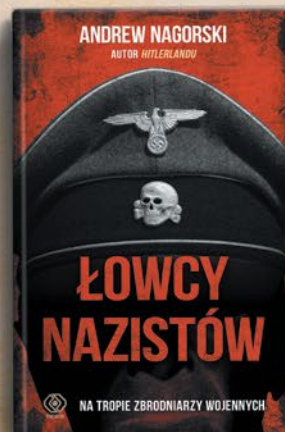


Niezwykłe,
zdeteterminowane
i bezkompromisowe.
Arystokratki
polskiego wywiadu



Niewygodna
historia
powojennej
Polski z „polskimi”
Niemcami
w roli głównej

Andrew
Nagorski
na tropie
zbrodniarzy
wojennych



znajdziesz w **empik** salony / online / aplikacja



Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.



www.rebis.com.pl



FB/REBIS

/ – Rzucali na nas falę za falą. Wydawało się, że te ataki nie mają końca. Z tym że tylko pierwszych kilka fal było wyposażonych w broń. Kolejne leciały już bez karabinów i z niedowierzaniem patrzyliśmy, jak chińscy żołnierze zbierają broń zabitych kolegów i pędzą na nas – mówi Joseph Wilcox

PIOTR WŁOCZYK: Jak wyglądał pański pierwszy kontakt z Koreą?

JOSEPH WILCOX: Wylądowałem w Inczon, to było morze ruin, jakby wybuchła nad tym miejscem bomba atomowa. Przypłynąłem statkiem z Japonii, która wciąż podnosiła się ze zniszczeń wojennych, ale jednak widok Inczon był porażający.

Mówi pan o tym Inczon, gdzie amerykańscy żołnierze dowodzeni przez gen. Douglasa MacArthura dokonali niespodziewanego desantu daleko na tyłach wroga?

Tak, wylądowali nas w tym samym miejscu, gdzie dzięki tej śmiałej operacji gen. MacArthura zaczęliśmy prać skórę komunistom. To tu wojna w Korei zaczęła przybierać dla nas bardziej korzystny obrót. Wcześniej wojska północnokoreańskie zajęły prawie cały półwysep (95 proc.), spychając nas i Południowokoreańczyków na sam jego skraj wokół miasta Pusan. Desant pod Inczon zmienił wszystko. Na miejscu dostałem przydział do 45. Dywizji, która była na pierwszej linii i ponosiła duże straty.

Wtedy już (1952 r.) Koreańczycy z północy mieli potężne wsparcie w postaci armii Chińskiej Republiki Ludowej, która była waszym głównym przeciwnikiem. Jak pan wspomina wartość bojową tych żołnierzy? To był groźny przeciwnik?

Chińczycy mieli różnych żołnierzy – niektórzy w ogóle nie chcieli walczyć, a inni z fanatyzmem rzucali się pod lufy naszych karabinów maszynowych, wierząc, że walczą z „imperializmem”. O ile żołnierze byli różni, o tyle stosowana

Świadek historii /

Z Josephem Wilcoxem, weteranem US Army walczącym w wojnie koreańskiej



rozmawia Piotr Włoczyk

Rzeź na wzgórzu 266

przez ich dowódców taktyka była już jednak jednoznacznie fatalna. Przede wszystkim dla nich samych. Rzucali na nas falę za falą. Wydawało się, że te ataki nie mają końca. Z tym że tylko pierwszych kilka fal było wyposażonych w broń. Kolejne leciały już bez karabinów i z niedowierzaniem patrzyliśmy, jak chińscy żołnierze zbierają broń zabitych kolegów i pędzą na nas.

Takie sceny relacjonowali niemieccy żołnierze, walcząc z Armią Czerwoną np. pod Stalingradem.

Widzi pan, to chyba wspólny mianownik dla reżimów komunistycznych. Życie chińskiego żołnierza znaczyło w każdym razie dla ich dowódców tyle co nic. Ich

sytuacja naprawdę nie była do pozazdroszczenia. Ci żołnierze nie mieli innego wyjścia, tylko musieli atakować. Za ich plecami czaili się bowiem oficerowie polityczni i wszystkich, którzy wrócili bez rozkazu, czekało rozstrzelanie przez ich własnych ludzi. Wiedzieliśmy, że służba w komunistycznej armii była potwornym doświadczeniem, ale wiadomości o zbrodniczej działalności oficerów politycznych były jednak wstrząsające.

Który odcinek walk wrył się w pańską pamięć najmocniej?

W ciągu 11 miesięcy, które spędziłem na pierwszej linii, było kilka takich



Żołnierze amerykańscy na stanowisku bezodrzutowego działa M20 FOT. WIKIMEDIA COMMONS

moment: kiedy dym się rozrzedził, zorientowaliśmy się z kolegą, że jesteśmy na celowniku chińskiego snajpera. Byliśmy w kompletnym potrzasku, nie było jak się ruszyć, bo od razu do nas strzelał. Leżeliśmy wtuleni w ziemię, a na domiar złego tego dnia bardzo padało. Próbowaliśmy się stamtąd jakoś wydostać, ale było to niemożliwe. Dopiero zmrok przyszedł nam z pomocą.

28 czerwca Chińczycy zarzucili nas ludźmi. Wysyłali na nas falę za falą. To się wydawało nierealne. Byłem uzbrojony w mieszczącego 20 pocisków browninga. Tak dużo musieliśmy strzelać, że karabin nie dawał rady. Doszło nawet do walk wręcz. W tym jednym ataku Chińczycy stracili 700 ludzi.

Jak to wyglądało po waszej stronie?

My straciliśmy nieco ponad 40 ludzi, z czego tylko trzech zginęło. Te bitwy tak właśnie wyglądały. Kiepsko uzbrojeni Chińczycy próbowali nas zasypać górą własnych trupów. Zwykle im się to jednak nie udawało. Walki o „Old Baldy” ciągnęły się przez prawie 10 miesięcy, to wzgórze kilkakrotnie przechodziło z rąk do rąk.

Przy tak intensywnych walkach to cud, że nie został pan trafiony.

Moja dobra passa nie trwała zbyt długo, w końcu mnie ranił. W lipcu zajmowaliśmy pozycję na zachód od tego wzgórza. Byłem z kolegą w bunkrze. Traf chciał, że podczas ostrzału pocisk z chińskiego czołgu trafił w najgorsze miejsce – praktycznie w sam otwór strzelniczy. Naraz w górę wystrzeliły kawałki drewna i worki z piachem. Bunkier w jednej chwili przestał istnieć. Wszystko to nas przygniotło. Koledzy musieli nas odgrzebywać. Okazało się, że odłamki uderzyły mnie w prawe ramię i lewy bark, ale kolega był w gorszym stanie. Dostał

w biodro – fatalna rana... Przewieźli nas do szpitala polowego.

Pewnie wielu czytelników kojarzy taki szpital z popularnego serialu komediowego „M*A*S*H” (skrót od „Mobile Army Surgical Hospital”)...

Nam wtedy nie było do śmiechu. Takich nieszczęśników było więcej, niż wynosiły moce przerobowe szpitala, więc musieliśmy odstać/odleżeć swoje w kolejce. Wyjęli mi tam odłamki, ale leczenie musiałem odbyć w specjalistycznym szpitalu. Zostałem zapakowany w chyba stuletni pociąg i przewieźli mnie wraz z innymi chorymi do szpitala w Pusan. To była szwedzka lecznica. Zajmowali się mną szwedzcy lekarze i pielęgniarki. Nigdy nie zapomnę tej opieki. Chorowanie w Szwecji musi być całkiem przyjemne (śmiech). Walczyliśmy w Korei w ramach sił ONZ-owskich i to było widać w szpitalu. Obok mnie leżeli Turcy i Etiopczycy. Świetne chłopaki. Po jakimś miesiącu doszedłem do siebie na tyle, że mogłem wrócić do akcji. Okazało się, że zostałem mianowany dowódcą drużyny karabinów maszynowych. Cóż, jakby to powiedzieć... To była dosyć niespodziewana wiadomość.

W jakim sensie niespodziewana? Nie odbierał pan tego jako wyróżnienie?

Prawdę mówiąc, martwiła mnie trochę przewidywana długość życia obsługi karabinu maszynowego. Nie była ona zbyt długa... Nawet laik rozumie przecież, że ogień wroga koncentruje się na gniazdach karabinów maszynowych, które zawsze trzeba jak najszybciej zneutralizować, żeby przestały kosić nasze własne szeregi. Wspomniałem już, że nasze siły w Korei cały czas cierpiały na brak ludzi. Dlatego służyło pode mną m.in. dwóch bardzo młodych chłopaków z Korei Południowej. Nie mieli jeszcze skończonych 18 lat... Bili się jednak bardzo dzielnie o swój kraj.

W opowieściach o tej wojnie gubi się trochę nieprawdopodobny dramat cywili. Ci ludzie przeżyli najpierw długie lata okupacji japońskiej, a potem połowę kraju zawładnęli komuniści, którzy postanowili rozciągnąć ogień rewolucji na cały półwysep. Ta wojna dosłownie zrujnowała koreańskie społeczeństwo.

To prawda. Pamiętam Seul z tamtych lat. Ruiny po horyzont, tu i ówdzie wałęsające się grupki żebraków. To coś niesamowitego, że w miejscu tak totalnie zniszczonym wyrosła gigantyczna,

odcinków, kilka bitew, w których było bardzo ciężko. Zaczęło się od walk o wzgórze 266, zwane „Old Baldy” (Stare Łyse), które znajdowało się niemal na granicy między obiema Koreami. Górujące nad okolicą, było to bardzo atrakcyjne miejsce dla wszystkich stron. Gdy trafiłem tam w czerwcu 1952 r., pamiętam dojmujące wrażenie, jakie robiła ta okolica. Toczono tam ciężkie walki zostawiły blizny na ziemi. Nie było tam żadnej roślinności, wystawały tylko jakieś nadpalone pieńki. Apokaliptyczny widok wzmagała zasłona dymna, którą rozciągnęliśmy nad naszymi pozycjami. Pamiętam nieciekawym

Amerykański atak
powietrzny na
transporty kolejowe

FOT. DOMENA PUBLICZNA



■ nowoczesna i bardzo bogata metropolia. Ludzie garnęli się do sił ONZ-owskich, każdy liczył na wygraną Południa. Ci ludzie przeżyli prawdziwe komunistyczne piekło i nie chcieli, by czerwoni znów zalali ich kraj. Szczególne wrażenie zrobiły na mnie obdarte dzieci. Robiliśmy w kompanii zbiórkę na potrzeby tych dzieciaków, jeżeli tylko mieliśmy trochę więcej jedzenia, to dzieliliśmy się tym z nimi. Serce się krajało na widok tych nieszczęsnych maluchów.

W dywizji, w której pan służył, status legendy zyskał Charles George. Czym wsławił się ten Amerykanin czirokeskiego pochodzenia?

Charles George został odznaczony za swoje bohaterstwo Medalem Honoru, najwyższym wojskowym odznaczeniem w Ameryce. George rzucił się w listopadzie 1952 r. na granat, który mógł zabić kilku jego kolegów z oddziału, ponieważ spadł dokładnie między nich. Przeżyli, ponieważ ten młody, zaledwie 20-letni chłopak stłumił wybuch własnym ciałem. To największe poświęcenie, jakiego można oczekiwać od żołnierza US Army. Nawiasem mówiąc, mieliśmy w dywizji wielu Czirokezów i innych rdzennych Amerykanów. Wszyscy walczyli jak lwy z komunistyczną zarazą.

Ten typ motywacji grał w pańskim przypadku dużą rolę?

Oczywiście. Komunizm pochłaniał coraz to nowe części świata i trzeba było to w końcu powstrzymać. Szlag nas trafiał, gdy myśleliśmy, ile uzbrojenia wysłała Ameryka do ZSRS w czasie drugiej wojny światowej. A potem znaczna część tego sprzętu została wykorzystana przeciw nam... Generał George Patton powiedział



Marines na froncie walki w Korei

FOT. WIKIPEDIA/FRANK C. KERR, OFFICIAL MARINE CORPS PHOTO

pod koniec wojny, że prędzej czy później i tak trzeba będzie walczyć z Sowietami, więc dlaczego nie zrobić tego od razu po pokonaniu III Rzeszy. Szkoda, że nie dali mu zrealizować tego planu. Kawał zabijałki był z niego. Patton był bardzo twardy, wyciskał ze swoich żołnierzy siódme poty. Kolega z Korei służył pod Pattonem w Europie i opowiadał mi o tym, jaki miał posłuch wśród żołnierzy, jak słynał z tego, że osiągał rzeczy – wydawałoby się – kompletnie niemożliwe.

Jak wyglądały u pana święta Bożego Narodzenia w 1952 r.?

Niezbyt ciekawie. Ma pan pewnie na myśli walki wokół tzw. Linii Minnesoty. W Boże Narodzenie 1952 r. wróciłem akurat z krótkiego urlopu. Chińczycy bombardowali nas niemiłosiernie. Koniecznie chcieli zająć ten region z uwagi na leżące tam wysokie wzgórza 812 i 859. Obie strony nie mogły się dogadać podczas rozmów w Panmunjomie w sprawie podziału tego terenu, więc toczyliśmy tu bardzo ciężkie boje. Jednej tylko nocy Chińczycy wystrzelili 2,5 tys. pocisków moździerzowych na kompanię K i 500 na kompanię L. A my byliśmy

pośrodku... W ciągu 11 miesięcy walk w Korei nie widziałem potężniejszego ostrzału. Chińska taktyka nie przestawała nas zadziwiać. Proszę sobie wyobrazić, że oni potrafili puścić na nasze pozycje ludzi, zanim jeszcze ustała ich nawała ogniowa. Zdarzało się tak, że wciąż wybuchały wokół nas pociski moździerzowe, każdy krył się, gdzie tylko mógł, a tu nagle wyrastały nad naszymi głowami chińskie mundury... To było kompletne szaleństwo!

Czyli nie omijała pana walka wręcz z falami chińskich żołnierzy.

Kiedy było ich zbyt wielu i nie zdążyło się przeładować broni, pozostawała tylko walka wręcz. Zawsze byłem na to gotowy. W bucie miałem nóż, a przy pasie nosiłem mój prywatny rewolwer kaliber .38. To była moja osobista broń. Chińczycy to mali ludzie, tymczasem ja miałem ponad 180 cm wzrostu, ważyłem jakieś 90 kg. Nie mieli zbyt dużych szans (śmiech).

Konflikt w Korei często nazywa się „zapomnianą wojną”. Kiedy zrozumiał pan, że tak to właśnie wygląda?

Od razu. Kiedy nasi żołnierze wracali z pól bitew drugiej wojny światowej, mieliśmy ogólnonarodową fetę. Kiedy my wróciliśmy z Korei, niemal nikt o tym nie wspominał. Nasi żołnierze przez trzy lata przelewali krew, by powstrzymać komunizm, a spotkali się z kompletną obojętnością. Rozumiem, że nasze społeczeństwo było zmęczone drugą wojną światową, a poza tym Korea była bardzo, bardzo daleko, jednak ta cisza wokół wojny koreańskiej nie była niczym przyjemnym. To się oczywiście zmieniło przez te siedem dekad. Dzisiaj już Ameryka pamięta o nas. Nawiasem mówiąc, Koreańczycy też wciąż doceniają nasz trud. Ich rząd wysłał do nas na początku pandemii 350 tys. masek przeciwwirusowych. Dostaliśmy po 100 sztuk na głowę, ja wciąż mam ich trochę w domu. To był bardzo miły gest.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Joseph Wilcox
(ur. 1930 r.) jest
weteranem amerykańskiej
45. Dywizji Piechoty.
W latach 1952–1953
walczył w wojnie
koreańskiej.

Już 2 listopada w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

1 września 1939 r. / Męstwo i zemsta w Gdańsku

Wzięci do niewoli obrońcy Poczty
Polskiej FOT. WIKIPEDIA


Obrona poczty



Arkadiusz Karbowski

/ Niemiecka policja i SS, działa, wozy pancerne i miotacze ognia. Wszystko to przeciw 55 obrońcom polskiej reduty pod znakiem Orła Białego

Bohaterska obrona Westerplatte, uznana za symboliczne miejsce rozpoczęcia wojny polsko-niemieckiej we wrześniu 1939 r., cieszy się – i słusznie – niesłabnącym zainteresowaniem historyków wojskowości. Podjęte niedawno prace archeologiczne na terenie dawnej Wojskowej Składowicy Tranzytowej i odkrycie podczas ich prowadzenia szczątków polskich żołnierzy poległych w obronie Westerplatte dodatkowo trend ten wzmogły. Wypada jednak zauważyć,

że poza WST w Gdańsku znajdował się inny punkt polskiego oporu, o którego zdobyciu również toczyły się 1 września 1939 r. walki. Była nim Poczta Polska w Gdańsku. I choć obrona poczty nie trwała tak długo jak obrona Westerplatte, należy przypomnieć również te kilkunastogodzinne zmagania militarne, zakończone jednak tragicznym finałem w postaci nie tylko utraty placówki, lecz także stracenia jej obrońców.

Gdańsk na podstawie postanowień zawartych w traktacie wersalskim został przekazany pod opiekę Ligi Narodów jako autonomiczny twór występujący pod nazwą Wolne Miasto Gdańsk. Tym samym ten miejski ośrodek zamieszkały przez zdecydowaną większość Niemców (Polacy stanowili 9 proc. ludności) nie znalazł się ani w granicach Republiki Weimarskiej, ani w granicach Rzeczypospolitej Polskiej. Decyzja ta stanowiła ciągle zarzewie konfliktów polsko-niemieckich, których temperatura nieco się obniżyła po podpisaniu paktu o nieagresji między Polską a Niemcami w styczniu 1934 r. II RP uzyskała w Gdańsku wiele przywilejów. Jednym z nich była możliwość utworzenia własnego urzędu pocztowego. Polski Urząd

Pocztowo-Telegraficzny nr 3 (potem zmieniony na numer 1) mieszczący się przy pl. Heweliusza 1/2 oddano do użytku 5 stycznia 1925 r.

Odrzucenie przez Polskę oferty kanclerza Adolfa Hitlera zawarcia układu sojuszniczego (obok propozycji zaakceptowania przyłączenia Gdańska do Rzeszy i zbudowania autostrady eksterytorialnej zasadniczym jej elementem było ustanowienie klauzuli konsultacyjnej w kwestii polityki zagranicznej i przystąpienie do paktu antykominternowskiego) spowodowało, że po ogłoszeniu przez Rzeczpospolitą mobilizacji w marcu 1939 r., związanej z zajęciem przez Niemcy Kłajpedy i podpisaniem układu gwarancyjnego między RP a Wielką Brytanią, Führer wypowiedział polsko-niemiecki pakt o nieagresji oraz wydał dyspozycję do opracowania planu ataku na Polskę ukrytego pod kryptonimem Fall Weiss.

Siła złego

Wraz z pogłębiającym się kryzysem we wzajemnych stosunkach władze polskie podjęły wiosną 1939 r. decyzję



o zintensyfikowaniu przygotowań do obrony gmachu Poczty Polskiej w Gdańsku. W tym celu do urzędu zaczęto przetrzucać potajemnie broń i amunicję. W kwietniu 1939 r. do służby skierowano tam ppor. rezerwy Konrada Guderskiego. Ów człowiek, będący oficerem 2. Ekspozytury II Oddziału Sztabu Generalnego WP, posiadał duże doświadczenie wojskowe

z racji uczestnictwa w działaniach dywersyjnych zorganizowanych przez polski wywiad na terenie należącej w 1938 r. do Czechosłowacji Rusi Zakarpackiej i Zaolzia. Poza „Konradem” (pseudonim Guderskiego) w sierpniu 1939 r. załogę poczty wzmocniło 10 pracowników pocztowych przybyłych z Bydgoszczy i Gdyni, mających stosowne przeszkolenie wojskowe w ramach tzw. grup dywersji pozafrontowej. Część pocztowców miała za sobą służbę w Wojsku Polskim, a niektórzy byli weteranami powstań wielkopolskiego i śląskiego.

Strona niemiecka w ramach przygotowań do zajęcia wszystkich urzędów polskich znajdujących się w mieście Gdańsku rozpoczęła opracowywanie planu zdobycia poczty. Odpowiedni dokument noszący datę 3 lipca 1939 r. opracował Polizeiobermeister Erich Goertz – kierownik II Komisariatu policyjnego mieszczącego się w budynku przylegającym, podobnie jak Krajowy Urząd Pracy, do budynku poczty. Według jego założeń w ataku na placówkę miało wziąć udział 180 policjantów podzielonych na trzy grupy uderzeniowe. Zadaniem dwóch pierwszych liczących po 15 funkcjonariuszy miało być zaatakowanie budynku poczty od strony II Komisariatu policji i zajęcie parteru oraz piwnic budynku (uderzenia od frontu budynku z uwagi na bardzo dobre możliwości obrony ów funkcjonariusz nie proponował).

Każda ze wspomnianych grup miała posiadać, poza policjantem posługującym się językiem polskim, także: nożyce do cięcia drutu, siekiery, ładunki wybuchowe oraz po dwa pistolety maszynowe. Oba wspomniane pododdziały

miała wspierać 15-osobowa drużyna policjantów, której zadaniem byłoby kontrolowanie wyjścia z poczty od strony południowej. Obowiązkiem trzeciej grupy liczącej 19 policjantów miało być wdarcie się do budynku od strony ul. Råhm i zajęcie klatki schodowej oraz strychu, po czym wspomagający ją oddział wsparcia miał dokonać przesunięcia piętra i poddasza. Ponadto osłonę atakujących mieli stanowić strzelcy posługujący się ręcznymi karabinami maszynowymi usytuowani na balkonach i w oknach pobliskich domów. Część z nich miała ostrzeliwać główne wejście do budynku. Do tego zadania skierowano 43 policjantów. Kolejnych 19 miało przejąć wziętych do niewoli jeńców, a 24 innych blokować ulice.

Do udziału w ataku na Poczcie Polską w Gdańsku obok funkcjonariuszy Schutzpolizei skierowano również członków SS-Wachsturmbann „Eimann”, czyli jednostki pomocniczej policji złożonej z członków SS. Nazwa oddziału pochodziła od nazwiska SS-Obersturmführera Kurta Eimanna, byłego żołnierza Freikorpsu, Reichswehry, dowódcy działającego w Gdańsku 36. SS-Standarte (36. Pułk SS). Swe oficjalne funkcjonowanie SS-Wachsturmbann „Eimann” rozpoczął 3 lipca 1939 r. Służbę w nim pełniło 550 esesmanów. 1 września 1939 r. SS-Wachsturmbann „Eimann” wziął udział w drugim natarciu na Westerplatte oraz w walkach o Poczcie Polską w Gdańsku.

Inną znaną wojskową jednostką, której pododdziały miały wziąć udział w szturmie, był SS-Heimwehr Danzig. Jednostka ta powstała na bazie III batalionu SS-Totenkopfstandarte „Ostmark” utworzonego w Austrii jesienią 1938 r. Batalion składał się z ochotników będących mieszkańcami Sudetów, Prus Wschodnich, a od stycznia 1939 r. także Wolnego Miasta Gdańska. Na jego czele stał weteran pierwszej wojny światowej SS-Obersturmbannführer Hans-Friedemann Götze, poległy rok później jako dowódca 3. Pułku Dywizji SS-Totenkopf podczas walk we Francji w maju 1940 r.

Szturm

W wieczór poprzedzający atak na pocztę wszystkim kobietom, które zakończyły prace, nakazano udać się do domów. Pocztowcy, tak jak każdej nocy, rozpoczęli dyżurowanie. Tego dnia do 53-osobowej załogi poczty dołączył jeden z polskich kolejarzy. Poza nimi w gmachu w mieszkaniu służbowym przebywał dozorca Jan Pipke ze swoją małżonką Małgorzatą oraz wychowanką 11-letnią Erwiną Barzychowską. Około godz. 4.30 Niemcy odcięli połączenia telefoniczne z pocztą oraz dostawy prądu. Poinformowany o tym ppor. Guderski polecił wzmocnić obserwację. Szturm oddziałów policyjnych na pocztę rozpoczął się zapewne tuż po salwach, jakie oddał o godz. 4.48 w kierunku Westerplatte pancernik „Schleswig-Holstein”. ■



Żołnierze SS atakują gmach Poczty Polskiej FOT. DOMENA PUBLICZNA

■ Po pierwszych strzałach pocztowcy zajęli stanowiska bojowe. Grupie uderzeniowej dowodzonej przez podporucznika policji Gerta (według niektórych danych miał na imię Alfred) Heinricha udało się sforsować ogrodzenie i wysadzając ścianę w magazynie paczek, wdrzeć się do środka. Penetrujących magazyn Niemców powitali ogniem czterech obrońcy. Podczas wymiany ognia od wybuchu własnego granatu zginął ppor. Guderski (zastąpił go wyznaczony już wcześniej na jego zastępcę podreferendarz Alfons Flisykowski). Z grona napastników ciężko ranny został – w następstwie czego zmarł – dowodzący akcją ppor. Heinrich (dowodzenie po nim przejął kapitan policji Max Rosenbaum). Pierwszy atak wszystkich grup uderzeniowych został odparty. Niemcy byli wyraźnie zaskoczeni determinacją obrońców.

Po zakończeniu pierwszego natarcia komendę nad siłami niemieckimi zgromadzonymi wokół poczty przejął dowódca gdańskiej Schutzpolizei płk Willy Bethke. Poprosił on głównodowodzącego siłami Wehrmachtu gen. Friedricha Eberhardta o wsparcie artyleryjskie. Niebawem na ul. And Spedhaus, w odległości zaledwie 60 metrów od budynku, zajęli pozycje ogniowe przy dwóch działach 75 mm żołnierze z 3. plutonu 13. Kompanii SS-Heimwehr Danzig (od strzału w głowę jednego z pocztowców poległ żołnierz tego plutonu sudecki Niemiec SS-Rottenführer Hans Teynor). Nieco później ostrzał gmachu zaczęła prowadzić umieszczona ok. 140 metrów od gmachu na ul. Rittegerstrasse

105-milimetrowa haubica obsługiwana przez artylerzystów 3. Baterii Artillerie-Abteilung Danzig. Zanim to nastąpiło, ewakuowano wszystkich mieszkańców zamieszkujących pobliskie domy (być może ewakuacja spowodowana była śmiercią podczas walk dwóch osób cywilnych), a pocztowców wezwano do złożenia broni.

Do akcji przeciw obrońcom użyto trzech samochodów pancernych o nazwach „Sudetenland”, „Ostmark” i „Memel”. Prowadziły one ogień kierowany w stronę wejścia głównego poczty z zamontowanych ciężkich karabinów maszynowych. Atak z udziałem samochodów pancernych rozpoczął się ok. godz. 12. Okazało się, że był on tak samo nieskuteczny jak poprzedni. Po jego zakończeniu dowodzący akcją wspomniany płk Bethke wezwał na pomoc saperów, którzy zaminowali ścianę budynku poczty od strony II Komisariatu policji. Na nic natomiast zdał się sprowadzony na miejsce walk przez żołnierzy SS-Heimwehr Danzig moździerz. Nie użyto go w akcji z uwagi na defekt w postaci uszkodzonego celownika.

Około godz. 15 atakujący ogłosili dwugodzinną przerwę w walkach, dając obrońcom dwie godziny na przemyślenie propozycji kapitulacji. O godz. 17.15 Niemcy znów ruszyli do szturm. Fakt wysadzenia zaminowanej przez saperów ściany budynku poczty od strony II Komisariatu policji nie ułatwił szturmującym zadania z uwagi na przeszkody, które tam się znajdowały – konary ściętych jeszcze w sierpniu drzew ograniczających

pole ostrzału. Prowadzony pod osłoną samochodów pancernych od frontowej strony gmachu ogień także nie przyniósł oczekiwanych rezultatów, choć ostrzał przede wszystkim artyleryjski górnych pięter gmachu był na tyle silny i intensywny, że zmusił pocztowców do zejścia do piwnic obiektu, skąd nadal prowadzili ogień. Przełomowym momentem obrony poczty okazało się podpalenie budynku. Jego piwnice i front zostały zalane benzyną przez sprowadzony specjalnie oddział straży pożarnej. Podpalone za pomocą rzuconego granatu paliwo spowodowało pożar w piwnicach gmachu. Od ognia śmierć poniosło czterech pocztowców, a sześciu zmarło później w szpitalu. Wśród nich była walcząca przez siedem tygodni o życie, ciężko poparzona 11-letnia Erwina Barzychowska.

Zbrodnia wbrew prawu

Nie widząc szans na dalszą skuteczną obronę, pocztowcy postanowili złożyć broń. Pierwszy próbujący to uczynić, trzymając w ręku białą koszulę, dyrektor poczty dr Jan Michoń został zastrzelony przez atakujących. Idący za nim naczelnik Józef Wąsik został spalony miotaczem ognia. Do pozostałych poddających się napastnicy już nie strzelali. Nie wszyscy chcieli się oddać w ręce Niemców. Jeden z broniących się, Bruno Szulc, zginął podczas próby ucieczki z budynku. Jego kolega Franciszek Miosnkowski został ujęty i dołączony do pozostałych aresztowanych. Dowódca obrony Alfons Flisykowski, ranny w nogę, próbował się ukryć, ale zdradziła go miejscowa Niemka, w wyniku czego został aresztowany. Czterem pocztowcom ucieczka się udało. Przeżyli wojnę i opowiedzieli potem, jak wyglądała obrona gmachu.

Wziętych do niewoli jeńców początkowo przewieziono do komendy policji przy ul. Karrenwall, gdzie byli przesłuchiwanymi przez funkcjonariuszy gestapo. Po kilku dniach kilku rannych obrońców przewieziono do szpitala celem opatrzenia ran. Niemcy nie zamierzali uznać pocztowców za kombatanatów legalnie stawiających opór, ale za partyzantów. W wyniku tego postawiono ich przed sądem wojennym. Dochodze-



Pocztowcy po kapitulacji, Gdańsk 1 września 1939 r.

FOT. WIKIPEDIA



Historyczny gmach Poczty Polskiej
w 2010 r. FOT. ARTUR ANDRZEJ/WIKIPEDIA, CC-BY-SA-3.0

nie w ich sprawie prowadził dr Hans Giesecke, oficer sądowy działający przy Grupie Eberhardta. 8 września sąd polowy skazał 28 z nich na karę śmierci za udział w partyzantce. Trzy tygodnie później, 29 września, kolejnych 10 obrońców usłyszało taki sam wyrok. Prośby o ulaskawienie zostały odrzucone. Skazanych rozstrzelał 5 października 1939 r. na Zaspie w godzinach rannych pluton egzekucyjny z SS-Wachsturmbann „Eimann” pod dowództwem SS-Sturmbannführera Maxa Pauly’ego, późniejszego komendanta obozu koncentracyjnego Stutthof i Neuengamme, skazanego po wojnie za zbrodnie przez brytyjski sąd wojskowy na karę śmierci i straconego.

Stracenie pocztowców z punktu widzenia prawa wojennego było z całą pewnością czynem bezprawnym. Podjęcie przez nich walki w obronie gmachu poczty, będącej placówką eksterytorialną RP znajdującą się w chwili wybuchu wojny w Wolnym Mieście Gdańsku, a więc na obszarze leżącym poza terytorium III Rzeszy, nie mogło być w żadnym razie uznane za działalność partyzancką. Gdyby strona niemiecka postrzegała stawianie oporu w Gdańsku jako akt bezprawny, polegający na podjęciu walki na zapleczu frontu, to przecież konsekwentnie w taki sam sposób jak obrońców poczty Niemcy potraktowaliby broniących Westerplatte polskich żołnierzy. Tak się jednak nie stało i wziętym do niewoli obrońcom WST przyznano status jeńców wojen-

nych. Co więcej, sugestia niemieckiego sądu wojennego wskazująca, że pocztowcy nie byli żołnierzami WP, w związku z czym nie byli uprawnieni do stawiania oporu, była sprzeczna z zapisami konwencji haskiej z 1907 r., której art. 2 wyraźnie mówił: „Ludność terytorium niezajętego, która przy zbliżeniu się nieprzyjaciela dobrowolnie chwyta za broń, aby walczyć z wkraczającymi wojskami i nie miała czasu zorganizować się zgodnie z art. 1, będzie uważaną za stronę wojującą, jeżeli jawnie nosi broń i zachowuje prawa i zwyczaje wojenne”.

Tak więc skoro pocztowcy nie toczyli walki na zapleczu frontu, mieli pełne prawo na własnym terytorium – a takim był należący do władz RP budynek poczty – stawiać opór, bo zgodnie z prawem mogły to czynić pod pewnymi warunkami nawet osoby cywilne, nie mówiąc już o formacjach paramilitarnych. Warto dodać, że Niemcy sami podczas działań wojennych na Śląsku we wrześniu 1939 r. posługiwali się jednostkami paramilitarnymi, takimi jak choćby podlegający Abwehrze Sonderformation Ebbinghaus, który atakował stanowiska polskie (pierwszego dnia wojny głównie kopalnie) od strony granicy polsko-niemieckiej (a więc od frontu, a nie zaplecza). Jego członkowie nie byli uważani z racji nieregularnego charakteru oddziału za osoby nieposiadające praw kombatanckich. W roku 1995 – po 56 latach... – sąd krajowy w Lubecie w trakcie rozprawy rewizyjnej uznał, że skazanie pocztowców stanowiło naruszenie reguł

postępowania sądowego oraz konwencji haskiej z 1907 r. i pośmiertnie uniewinnił pocztowców. W wyniku tego werdyktu rząd niemiecki wypłacił w 2001 r. rodzinom rozstrzelanych stosowne odszkodowanie.

Pytanie, którego przy okazji omawiania tego tematu trudno nie zadać, brzmi: Po co zdecydowano się we wrześniu 1939 r. podjąć obronę poczty? Nie jest zrozumiałe, dlaczego władze państwowe RP, planując wiosną 1939 r. obronę poczty w razie niemieckiej akcji militarnej w Gdańsku, w momencie zmiany sytuacji i powzięcia wiedzy o zbliżającej się wojnie, nie wydały jasnej dyspozycji zakazującej podejmowania walk. Szkoda, że sugestia zawarta w depeszy wysłanej 31 sierpnia 1939 r. przez komisarza generalnego w Gdańsku Mariana Chodackiego, w której wskazywał on na bezsensowność obrony poczty, nie została wzięta pod uwagę. A przecież Warszawa musiała mieć pełną świadomość, że po rozwiązaniu Korpusu Interwencyjnego gen. Stanisława Skwarczyńskiego zarówno Westerplatte (o czym poinformowany został mjr Henryk Sucharski), jak i poczta zostaną odcięte, a ewentualna walka, wobec przewagi niemieckiej i przy braku zewnętrznego wsparcia, zakończyć się musi całkowitą klęską. Abstrahując jednak od mało odpowiedzialnego zachowania decydentów, przyznać należy, że polscy pocztowcy wypełnili swój obowiązek wobec ojczyzny wzorowo.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Michał Kozłowski

Joannici na dwieście lat opanowali wyspę Rodos. Stała się opoką w zaciętej walce z muzułmanami o Morze Śródziemne

Po upadku Akki i ostatecznej likwidacji Królestwa Jerozolimskiego (1291) zakon joannitów zwany też szpitalnikami przeniósł się na Cypr. Na główną siedzibę wyznaczono im miasto Limassol, które ufortyfikowali i zamienili na silny port wojenny. Zakon usiłował przewyciężyć wówczas finansowe trudności częściowo poprzez ograniczenie rekrutacji oraz zakaz wznoszenia nowych budynków. Pobyt na wyspie nie trwał jednak długo.

W 1306 r. wielki mistrz joannitów Fulko de Villaret (1305–1319) stwierdził, że jego zakon nie ma już środków, aby odpowiednio wspierać chorych i prowadzić swoją działalność. Było to spowodowane brakiem funduszy. W 1306 r. genueński pirat Vignolo dei Vignoli zaproponował wspomnianemu wielkiemu mistrzowi wspólną akcję, której celem miał być podbój bizantyńskiego archipelagu Dodekanezu. 23 czerwca 1306 r. mała flotylla joannitów składająca się z sześciu okrętów ze stosunkowo niewielką załogą (35 braci zakonnych) wypłynęła z Cypru. Wraz z genueńskim sojusznikiem rozpoczęło podbój od wyspy Rodos.

Przeciw Turkom

Piracki najazd został uwieńczony sukcesem dopiero w sierpniu 1309 r. Wtedy skapitułowało miasto Rodos, będące stolicą wyspy. Chociaż najazd skierowany był przeciwko prawosławnym Grekom, to zapewnił zakonowi niezależność, której nie miał on na Cyprze. W rezultacie prestiż joannitów pomyślowo wykorzystał mistrz Fulko z Villaret. Odwiedził Zachód i zebrał ochot-

ników, którzy w 1310 r. pod komendą mistrza dokonali podbojów kosztem Turków w Anatolii. Jednocześnie po 1312 r. joannici na Zachodzie byli zajęci rozległym procesem zabezpieczania i przejmowania przekazanego im przez papieża ogromnego spadku ziemskiego po templariuszach. Stanęli także wobec kryzysu finansowego, spowodowanego kosztowną kampanią rodyjską i ekstrawaganckimi pomysłami Fulka, które zresztą doprowadziły do usunięcia go z urzędu wielkiego mistrza.

Chociaż interesy joannitów nie pokrywały się z interesami papieżstwa, to od 1312 do 1378 r. papież awinioński rozstrzygał ich wewnętrzne spory. Szczęśliwa formuła zakonnego państwa na wyspie pozwoliła joannitom przetrwać przez wiele wieków, a odpowied-

nia konstytucja ograniczała mistrza. Miał on na Rodos rozległe uprawnienia, lecz jego autorytet we własnym zakonie był skutecznie ograniczany i hamowany przez wielonarodową oligarchię zakonną starszych oficerów, okresowe kapituły generalne i obostrzenia statutowe. Rodos było względnie małe, a jego zasoby ograniczone, lecz można je było otoczyć kamiennymi fortyfikacjami i bronić przy wykorzystaniu minimum siły ludzkiej. Zbrojny konflikt nie trwał nieustannie. Liczba joannitów na Rodos wynosiła prawdopodobnie, podobnie jak w przypadku Ziemi Świętej, od 250 do 450 osób.

Rodos jest dużą żyzną wyspą, położoną zaledwie dwadzieścia kilka kilometrów na południowy zachód od wybrzeży Azji Mniejszej. W tym czasie



Zakon Szpitalników św. Jana z Jerozolimy

Edouard-Alexandre Odier
„Zakończenie oblężenia
Rodos w 1480 r.”

FOT. CHÂTEAU DE VERSAILLES

na Rodos

panowała ona na jednym z najważniejszych szlaków morskich we wschodniej części Morza Śródziemnego. Jej populację stanowiło ok. 10 tys. Greków (w 1522 r. – 20 tys.). Rodos potrzebowało jednak nie tyle ludzi, ile pieniędzy, szczególnie na opłacenie importu podstawowych produktów żywnościowych. Część funduszy pochodziła z rozwoju portu i gospodarki wyspy, większość pozostałych dochodów płynęła z klasztorów na Zachodzie. Przejmowanie tych funduszy musiało być uzasadnione swego rodzaju pokazami świętej wojny, dlatego państwo zakonne pieczołowicie budowało tradycję morską i ukierunkowywało lokalną gospodarkę na wsparcie przedsięwzięć obronnych.

Do portu przybywali: statki, pielgrzymi, piraci, handel i podatki; wyspa

była dość zaludniona, by dostarczać artykułów żywnościowych i sił pomocniczych, a jej lasy zapewniały drewno niezbędne do budowy statków. Mieszkańcy budowali, służyli w wieżach i zamkach lub zaciągali się na galery jako wioślarze. Przenosząc się z Cypru na Rodos, joannici odeszli od schematu dawniejszej krucjaty, skierowanej na Jerozolimę, chociaż cały czas zapewniaли okazjonalną pomoc chrześcijanom w Armenii Cylicyjskiej (na pograniczu dzisiejszej Turcji i Syrii).

W XV w. Rodos było jednym z najlepiej ufortyfikowanych miast na świecie. Wraz z bezpieczeństwem wzrosła też jego pozycja handlowa. Port też był ważnym miejscem dla pielgrzymów udających się do Ziemi Świętej. Szpitalnicy na Rodos zbudowali własną flotę.

Jej okręty patrolowały szlaki handlowe, zapewniając w tym rejonie bezpieczeństwo od zakusów tureckich piratów. Flota ta była stosunkowo niewielka, liczyła bowiem od siedmiu do ośmiu galer. Na galerach wiosłowali Grecy, gdyż na muzułmańskich niewolnikach nie można było polegać.

Jednym z ważniejszych sukcesów zakonu odniesionych po 1306 r. było zahamowanie morskiej agresji Turków z Anatolii. Joannici brali również udział w katolickich ligach morskich, skierowanych przeciwko Umurowi z Aydinu (na zachodnim wybrzeżu Azji Mniejszej, 1334 r.), dzięki którym podreperowano znacznie finanse zakonu. Jednakże w latach 1343–1345 joannici utracili ogromną sumę ponad 360 tys. florenów, gdy zbankrutowali ich bankierzy we Włoszech (rodziny: Bardi, Acciaiuoli i Peruzzi). Załamanie finansowe na Zachodzie drastycznie ograniczyło rekrutację i działalność wojskową zakonu. Rodos chroniły jedna galera bądź dwie z 50 lub 100 marynarzami. W 1344 r. wraz z krzyżowcami zajęli Smyrnę na wybrzeżu Azji Mniejszej i aż do 1402 r. byli za nią odpowiedzialni.

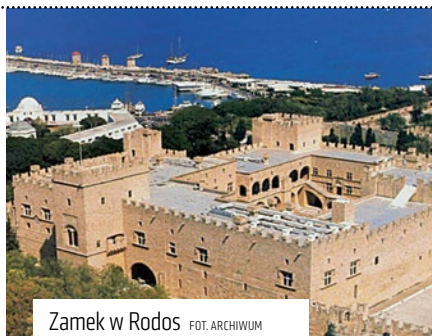
Agresja Osmanów

Nieco później, w 1359 r., 50 joannitów walczyło z Osmanami w Dardanelach. Około 100 braci na czterech galerach wzięło udział w pirackim najeździe (zwanym „krucjatą”) na Aleksandrię w 1365 r. Nieokreślona ilość szpitalników walczyła w krucjacie pod Nikopolis w 1396 r. Po klęsce udało im się ocalić tam króla Węgier – Zygmunta Luksemburskiego (1387–1437). W 1377 r. zakon wzięł w dzierżawę na 25 lat łańcińskie księstwo Achai w Grecji, lecz nie zdołał go nawet utrzymać. Z kolei w latach 1383–1389 doszło do ponownych prób osiedlenia joannitów na Peloponezie, gdzie mieli oni bronić przesmyku niedaleko Koryntu przed najazdami Osmanów. Wysiłki utrzymania się w kontynentalnej Grecji spełzły jednak na niczym.

Nieustającym problemem zakonu na Rodos był spadek dochodów z zachodnich przeoratów. Komandorie szpitalników były jednak czymś więcej niż tylko dostarczycielami pieniędzy i ludzi. Były również ważnymi ośrodkami rekruta-

dla cji i przygotowania żołnierzy, domami dla wycofanych ze służby, rezydencjami dla wielu księży zakonnych i punktami ożywionych kontaktów z ludnością. Pamiętajmy, że bracia składali pełne śluby zakonne, toteż jedną z najistotniejszych wykonywanych przez nich czynności była modlitwa, której duchowa wartość była ważna, jeśli nawet nie wymierna. Niemniej ważne było z pewnością to, że modlitwa przynosiła również bogactwo z powodu donacji i opłat za msze wspominkowe.

Wielka schizma zachodnia (1378 r.) podzieliła joannitów na dwa odłamy. Stworzyło to wyraźnie bardziej sprzyjające warunki do naruszania dyscypliny i niepłacenia powinności należnych Rodos, gdzie zdominowany przez Francuzów konwent opowiadał się zdecydowanie po stronie papieży awiniońskich. Korona angielska wspierała rzymskiego papieża, lecz pozwalała Anglikom udawać się na Rodos i wysyłała tam pieniądze. Rodos w 1398 r. rzekomo miało wsparcie jedynie dziewięciu zachodnich przeoratów z 21. Gdy w 1413 r. okazało się, że antypapież Jan XXIII sprzedał



Zamek w Rodos FOT. ARCHIWUM

bogatą komandorię Cypru pięcioletniemu synowi króla Janusa (1398–1432), bracia zakonnicy zagrozili opuszczeniem Rodos. Schizma papieska zakończyła się ostatecznie w 1417 r. soborem w Konstancji, na którym wielki mistrz joannitów występował nawet w roli strażnika konklawe.

Na początku XV w. joannici byli już uzależnieni od wypraw korsarskich. Dostarczało im to ok. 47 tys. dukatów rocznie. Piracki przyciółek szpitalników wyraźnie jednak przeszkadzał muzułmanom. Najazdy mameluków z Egiptu nastąpiły w latach 1440–1444. Z kolei w 1480 r. atak na dużą skalę przeprowadzili Osmanowie. W rezultacie joannici wzniesli masywne fortyfikacje chroniące przed bronią palną,

które mogły wytrzymać ostrzał nawet najcięższych dział tureckich. Osmanowie byli trzymani w szachu. Po 1482 r. u joannitów wzięto brata sułtana Bajazyta II (1481–1512) – legendarnego Dżema.

Po podboju Egiptu przez Osmanów (1517 r.) pozycja Rodos, leżącego na szlakach komunikacyjnych do Egiptu, doprowadziła do kolejnego oblężenia (1522 r.). Sułtan Bajazyt II był zdeterminowany, by ostatecznie wyprzeć rycerzy z tego rejonu Morza Śródziemnego. Wyprawa Osmanów, która przybyła na Rodos, liczyła 70 tys. wojowników. Szpitalnicy mogli jej przeciwstawić jedynie 7 tys. ludzi. Po kilku miesiącach ostrzeliwania umocnienia joannitów zostały poważnie uszkodzone, kończyły się również zapasy amunicji, a na dodatek Grecy z Rodos domagali się kapitulacji. Na pomoc Zachodu nie można było liczyć. 18 grudnia 1522 r. wielki mistrz Filip de Villiers de l'Isle-Adam (1521–1534) poddał miasto, uzyskawszy wcześniej zgodę na opuszczenie wyspy na swych okrętach, z bronią i całym dobytkiem. 27 grudnia 1522 r. sułtan Bajazyt II wkroczył do miasta Rodos.

1 stycznia 1523 r. kawalerowie rodyjscy na zawsze opuścili Rodos. Pomimo że szpitalnicy byli głównie Francuzami, hiszpański król i cesarz Karol V (1516–1556) podarowali im w 1530 r. małą i nieurodzajną wyspę Maltę. Stąd mieli bronić nowego lądowego przyczółku w Trypolisie w Afryce, zajętego przez Hiszpanów w 1510 r. Bracia, choć początkowo niechętni, nie mieli jednak wielkiego wyboru. Od tego momentu rozpoczęła się historia kawalerów maltańskich.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Zakon Joannitów A.D. 1450

Bibliografia:

M. Balard, „Łaciński Wschód XI–XV wiek”, przek. W. Czeran, Kraków 2010; J.D. Brandes, „Korsarze Chrystusa. Joannici – władcy Morza Śródziemnego”, przek. M. Dobija, Kraków 2010; A. Cieślak, „Zakon Szpitalników św. Jana Jerozolimskiego jako podmiot prawa międzynarodowego do 1798 roku”, Radom 2009; M. Koszutski, „Fenomen państwa militarno-szpitalnego na przykładzie dziejów Zakonu Maltańskiego”, Radom 2009; T.W. Lange, „Szpitalnicy. Joannici. Kawalerowie Maltańscy”, Poznań 1994; A. Luttrell, „Zakony rycerskie 1312–1796”, [w:] „Historia krucjat”, Warszawa 2000, s. 345–384; E. Potkowski, „Zakony rycerskie”, Warszawa 1995; J. Riley-Smith, „Krucjaty. Historia”, przek. J. Ruskowski, Poznań 2008; H.J.A. Sire, „Kawalerowie maltańscy”, przek. H. Szczerkowska, Warszawa 2000.

Już 23 listopada w „Do Rzeczy” dodatek



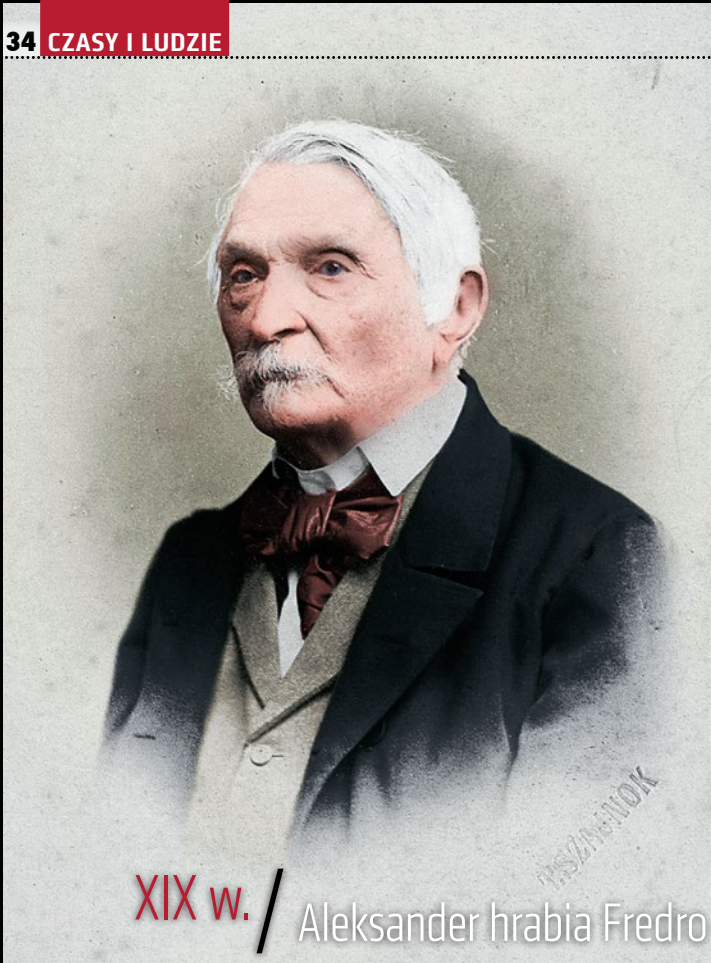
WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI



XIX w. / Aleksander hrabia Fredro



Aleksander i Zofia
Fredrowie FOT. WIKIPEDIA

i Zofia z Jabłonowskich

Kompleksy wielkiego kpiarza



Sławomir Koper

**/ Sensacyjne kulisy
nadania tytułu
hrabiowskiego
Aleksandrowi Fredrze.
Pisarz ożenił się
z arystokratką, która
nie chciała popęlić
mezaliansu**

Wprawdzie w gronie wybitnych polskich literatów było kilku arystokratów, jednak wszyscy podpisali książki wyłącznie imieniem i nazwiskiem. Wyjątek stanowi Aleksander Fredro, który nigdy nie dawał zapomnieć, że był hrabią, chociaż jego tytuł był wyjątkowo świeżej daty. Fakt ten wpływał jednak z powodów czysto osobistych, a nie prestiżowych.

O rodzinnym majątku Fredrów krążyły sprzeczne informacje. Wprawdzie od pokoleń uchodzili za dość bogatych, ale ciągle podzieliły majątkowe wśród rozro-

dzonych członków rodziny nie wpływały pozytywnie na ich osobistą zamożność. W efekcie ojciec Aleksandra startował do kariery z niskiego pułapu finansowego.

„Pan Jacek – wspominał szwagier komediopisarza Ludwik Jabłonowski – pochodził z dobrej, ale podupadłej rodziny, dziedziczył tylko lichą wioskę koło Liska – Cisną, a chcąc się dorobić, długo chodził dzierżawami, wreszcie zaarendował część jarosławskiego hrabstwa, a odziedziczywszy po Urbańskich Beńkową Wisznę, lepsze uzyskał położenie na świecie. Jacek Fredro dorobił się znacznego majątku. Podobno jednym z jego źródeł było odkrycie rud żelaza

w okolicy Cisnej, dzięki czemu założył hutę i odlewnię produkującą narzędzia rolnicze. Przynosiło to znaczne dochody, a wówczas Fredro, jak przystało na posiadacza stosunkowo »młodych« pieniędzy, uznał, że tytuł hrabiowski mu nie zaszkodzi”.

„Poważniejsi ojcowie rodziny – przytaczał ówczesne opinie pamiętnikarz Zygmunt Kaczkowski – mianowicie ze starożytnych, bez przerwy w pierwszym rzędzie stojących rodów, mocno na nich [Fredrów – przyp. S.K.] nosem kręcili, a przy tym puszczali w obiegi złośliwe wieści, że nawet nie wiedzieć, skąd ci Fredrowie wzięli się na świecie”. Dlaczego jednak jego syn, Aleksander, znakomity i popularny komediopisarz, niemal na każdym kroku podkreślał ten austriacki tytuł? Przecież doskonale zdawał sobie sprawę z jego rzeczywistej wartości, a kilka lat wcześniej w komedii „Pan Geldhab” wyśmiewał upodobanie do tytułomani. Za wszystkim stała jednak kobieta, a właściwie miłość do znacznie lepiej od niego urodzonej kobiety.

Austriacy hrabiowie

Tytuły arystokratyczne przez stulecia były w Polsce bardzo źle widziane. Obalały bowiem mit równości stanu szlacheckiego („szlachcic na zagrodzie – równy wojewodzie”), a przy okazji sygnalizowały, że ich posiadacze otrzymali je od obcych monarchów. Polscy królowie nadawali bowiem tytuły wyłącznie cudzoziemcom, natomiast rody książęce z Litwy i Rusi pochodziły od dawnych miejscowych dynastii. W efekcie nowi kandydaci na książąt lub hrabiów musieli starać się o odpowiedni reskrypt u cesarza lub papieża, co wzbudzało sprzeciw szeregowej szlachty.

Tytuły mogli nadawać także inni monarchowie europejscy, z czego czasami korzystali polscy możnowładcy. Szczególnie w rozdrobnionych politycznie Niemczech nie było problemem uzyskanie odpowiedniego dyplomu, a tamtejsi władcy chętnie je wydawali za odpowiednią gratyfikację.

Sytuacja zmieniła się po upadku Rzeczypospolitej, gdy władze w Wiedniu rozpoczęły niemal hurtowe wydawanie arystokratycznych dyplomów ziemia-

nom z Galicji. Była to całkiem rozsądna polityka z punktu widzenia interesów Wiednia. Zaspokajano miłość własną nowych poddanych, a przy okazji zadbać o zyski dla skarbu, gdyż opłaty były bardzo wysokie. Jednocześnie zapewniono sobie lojalność nowych arystokratów, gdyż w przypadku przyłączenia się do ruchu niepodległościowego cesarz zawsze mógł cofnąć reskrypt, co oznaczałoby katastrofę towarzyską rodziny.

W efekcie na blisko 250 polskich rodzin posiadających tytuł hrabiowski ponad sto otrzymało go z Wiednia. Podobnie układały się proporcje wśród rodów baronowskich – na niespełna sto rodzin ok. 40 otrzymało tytuł od cesarza Austrii.

Inna sprawa, że przedstawiciele dawnej polskiej magnaterii nie traktowali zbyt poważnie tych tytułów. Nie bez powodu właśnie wówczas pojawiło się określenie „austriacki hrabia” jako synonim człowieka, który solidnie zapłacił za zaliczenie go w szeregi arystokracji. Oczywiście nie oznaczało to, że w Wiedniu każdy mógł starać się o odpowiedni dyplom, gdyż należało udowodnić szlachectwo i wykazać, że w rodzinie byli kasztelanowie, senatorowie lub wojewodowie. Gdy takich zabrakło, koszty znacznie wzrastały, albowiem także za łapówki można było otrzymać tytuł.

Wydaje się, że podobnie było z rodziną Fredrów, gdyż wśród przodków komediopisarza brakuje wyższych dostojników dawnej Rzeczypospolitej. Wprawdzie powoływano się na pochodzenie od żyjącego w XVII w. Andrzeja Maksymiliana, senatora i wojewody, ale pochodził on z linii rodu, która wygasła w kolejnym pokoleniu.

Nie zmienia to jednak sytuacji, że w 1822 r. Jacek Fredro, ojciec komedio-

pisarza, uzyskał wreszcie upragniony tytuł hrabiowski dla rodziny.

Zofia Jabłonowska

Aleksander Fredro poznał miłość swojego życia, gdy była żoną jednego z najbogatszych ludzi w Galicji, hrabiego Stanisława Skarbka. Małżonek był od niej starszy o 18 lat, Zofia w chwili ślubu miała zaledwie 15 lat. Związek uchodził za wyjątkowo nieudany, a główną przyczyną takiego stanu rzeczy było to, że w tym czasie pan hrabia zajmował się głównie traceniem majątku. Dopiero w późniejszych latach przyszło opamiętanie, zarzucano mu nawet bezwzględność w pogoni za pieniędzmi.

„Widywałem go nieraz – kontynuował Jabłonowski – obliczającego paki banknotów z wyrazem skąpcza na twarzy, potężny nos zakrzywiał się dziobem krogulca, brwi rozchodziły się, oczy świeciły, wąskie a szerokie usta poruszały się lubieżnie, wszystkimi zmysłami połykał rozkosz posiadania”.

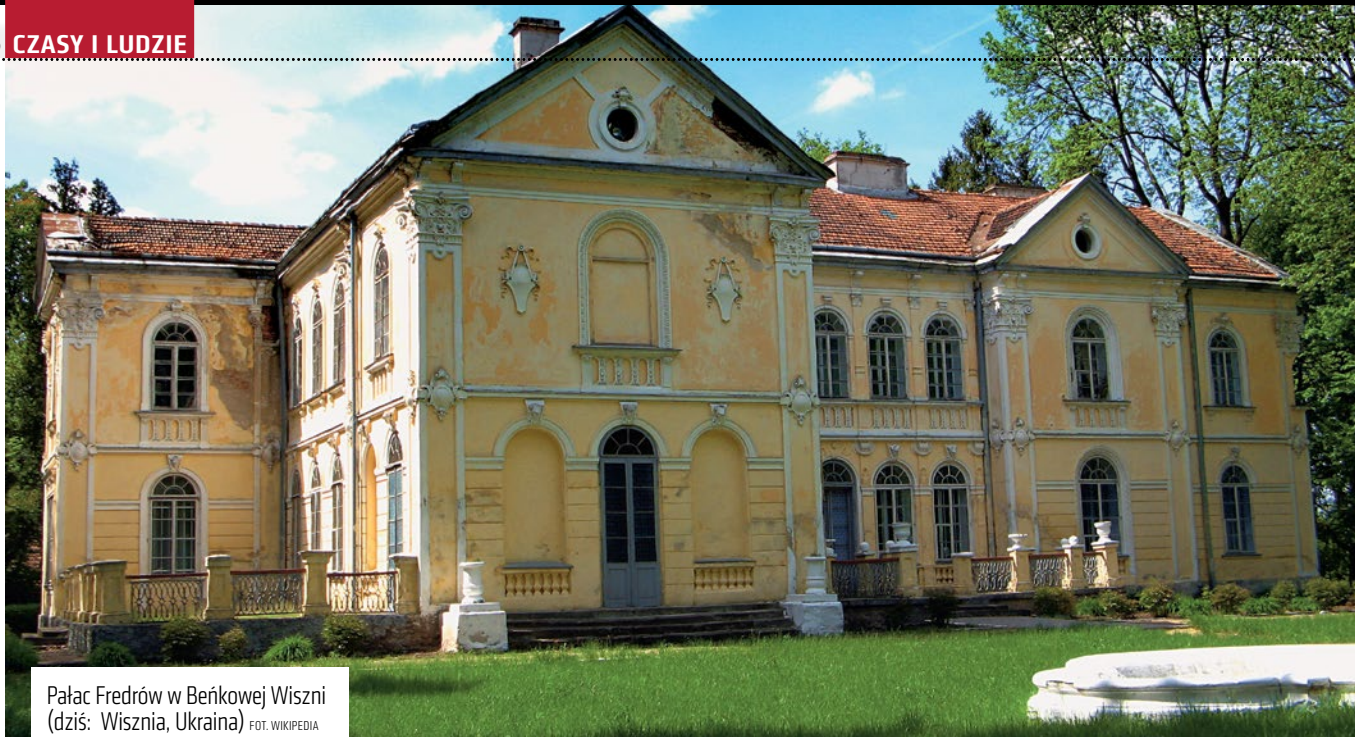
Nie wiadomo jednak, jak potoczyłyby się losy małżeństwa, gdyby Zofia nie spotkała Aleksandra Fredry. Było to we Lwowie w 1817 r., według legendy miała to być miłość od pierwszego wejrzenia. Trochę jednak inną relację przedstawił na ten temat brat Zofii, twierdząc, że Fredro, uchodzący wówczas za wyjątkowego playboya, założył się z przyjaciółmi, że „do sześciu miesięcy Skarbkowi czoło uwieńczy”. Okazało się jednak, że uczynienie hrabiego rogaczem wcale nie było takie łatwe, a – co gorsza – Fredro zakochał się nieprzytomnie w Zofii.

Miał wówczas 25 lat i za sobą piękną kartę w armii Księstwa Warszawskiego i wojskach napoleońskich. Po klęsce Napoleona powrócił w rodzinne strony i „szalał” towarzysko we Lwowie. Był człowiekiem pełnym radości życia i raczej mało pruderyjnym, co sam przyznawał po latach.

„W latach szalonej młodości – informował jednego z przyjaciół – napisałem dwa dzieła, które wiem, żeby były w Twoim guście: jedno »Sztuka jebania«, poemat w IV pieśniach, do 800 wierszy, drugie »Piczomira, królowa Branłomani«, tragedia w 3 aktach wierszem”.

Oficjalna „fredrologia” niechętnie przyznaje się do tych utworów, cho-





Pałac Fredrów w Beńkowej Wiszni
(dziś: Wisznia, Ukraina) FOT. WIKIPEDIA

■ ciał były wydawane drukiem („Sztuka jebania” jako „Sztuka obłapienia”). Michalina Wisłocka wspominała, że gdy chciała się zapoznać z nimi w Bibliotece Narodowej, wprowadzie po długiej dyskusji wydano jej zamówione pozycje, ale „niemal na łańcuchu” i przez cały czas obsługa obserwowała ją jak groźnego zbrojeńca...

Nie zmienia to faktu, że pisarz miłośić do Zofii traktował bardzo poważnie. Skoro miała być jego kobietą życia, zadbał przede wszystkim o zdrowie i wyjechał do Karlsbadu, by wyleczyć chorobę weneryczną. Kuracja zakończyła się podobno sukcesem, a Fredro przystąpił do zdobywania ukochanej.

Zofia była mu bardzo przychylna, Skarbek interesował się głównie traceniem majątku, natomiast prawdziwe problemy stwarzali Jabłonowscy. Szczególnie matka Zofii, Maria, która była „babą dumną snadź jak sam stolnik Horeszko”, „broniącą się zębami i pazurami” przed małżeństwem córki z Fredrą.

Obie rodziny faktycznie dzieliła przepaść towarzyska. Wprawdzie Jabłonowscy nie mieli nic wspólnego z linią książęcą i hetmańską o tym samym nazwisku, ale i tak znacznie przewyższali Fredrów. Dla nich ojciec komediopisarza był nuworyszem, któremu powiodło się w interesach, wobec czego kupił sobie prawo nazywania się hrabią. Starano się nie pamiętać, że ich tytuł był starszy za ledwie o niespełna pół wieku, gdyż otrzymali go od cesarzowej Marii Teres w 1775 r.

Nikt z Jabłonowskich nie chciał słyszeć o unieważnieniu małżeństwa, nie liczyło się, że małżeństwo ze Skarbkiem było nieudane, podobnie jak to, że Zofia kochała Fredrę. Sytuacja wyglądała na patową, wprawdzie Zofia była pełnoletnia, ale nie dysponowała własnymi pieniędzmi, a kościelne unieważnienie związku trwało długo i było kosztownym przedsięwzięciem.

Tajemnicze daty

Według oficjalnych biografów Aleksander i Zofia pobrali się 9 października 1828 r., a ich syn, Jan Aleksander, przyszedł na świat 11 miesięcy później. Wszystko to wydaje się logiczne, ale cała ta historia nie wytrzymuje konfrontacji ze wspomnieniami Zygmunta Kaczkowskiego. Był on synem rządcy majątku Fredrów, a informacje podawane przez niego w pamiętnikach sugerują zupełnie inny przebieg wydarzeń:

„Wprowadził mnie ojciec do [lwowskiego] domu p. Aleksandra Fredy, który wówczas mieszkał przy ulicy Sykstuskiej i gdzie się chował jego syn Oleś, głośny później jako Jan Aleksander w naszej literaturze dramatycznej, tylko półtora roku ode mnie młodszy, a w domu uczył się mniej więcej tych samych przedmiotów szkolnych. Oleś jako dziecko był śliczny, jasny blondynek z niebieskimi ciągle uśmiechniętymi oczami, był przy tym pełen chłopięcej pustoty, miał pokój osobny, przepełniony zabawkami naj-

rozmaitszego rodzaju, gdzie znajdował się także pult [pulpit – przyp. S.K.], przy którym ojciec jego, stojąc, pisywał, bo mieszkanie to nie było bardzo obszerne”.

Ważne są daty. Kaczkowski urodził się w maju 1825 r. i twierdził, że młody Fredro przyszedł na świat półtora roku później, zatem pod koniec 1826 r. Ponadto, na co zwrócić już uwagę „Boy”, wspomnienia te dotyczą 1835 r., zatem według oficjalnej metryki małżeństwo Fredro miał mieć niespełna sześć lat, a Kaczkowski 10. Różnica wydaje się zbyt duża, by chłopcy w tym wieku mogli znaleźć wspólny język, a tym bardziej „uczyć się mniej więcej tych samych przedmiotów”. Poza tym Kaczkowski do późnych lat cieszył się znakomitą pamięcią i na pewno dobrze znał datę urodzenia syna pisarza. Przecież jego ojciec był rządcą majątku Fredry!

Hipotezę o niewielkiej różnicy wieku pomiędzy chłopcami potwierdza też kolejny fragment wspomnień dotyczący spotkań we lwowskim mieszkaniu pisarza: „Pomiędzy latami 1835 a 1838, o których tu mówię, odbywały się u niego co czwartek literackie obiady, do których i nas przypuszczano. Pan Aleksander sadzał nas zawsze obok siebie, Olesia po jednej, a mnie po drugiej stronie i dawał nam objaśnienia o tym, o czym właśnie mówiono”.

Czy pięć- lub siedmioletni chłopiec rozumiałby sens takich spotkań? Nawet jeżeli był bardzo inteligentny? I czy spokojnie usiedziałyby przez dłuższy czas? Wydaje się zatem, że hipoteza

o przedmałżeńskim pochodzeniu syna Zofii i Aleksandra jest jak najbardziej prawdopodobna. Co więcej, można też zrozumieć, dlaczego sukcesor pisarza przyszedł na świat przed ślubem.

Jabłonowscy dalej bowiem stawiali opór i po dziewięciu latach zakochani wzięli sprawy we własne ręce. Postanowili postawić rodzinę Zofii przed faktem dokonanym i zagrozić skandalem. Jabłonowska zaszła w ciążę i w tej sytuacji natychmiast rozpoczęło pilne starania o rozwiązanie małżeństwa ze Skarbkiem. Także sam hrabia nie stwarzał problemów, jednak procedura zajęła aż dwa lata. Mały syn Fredry zapewne wychowywał się w tym czasie w całkowitej dyskrecji w pałacu Jabłonowskich w Lubieniu Wielkim. Metrykę urodzenia odpowiednio podretuszowano, co w porównaniu z kosztami unieważnienia małżeństwa nie stanowiło zapewne zbyt dużego wydatku.

Pomimo kapitulacji nie wybaczone jednak córce mezaliansu i Jabłonowscy niemal w komplecie zbojkotowali ślub Zofii i Aleksandra. Pojawił się tylko brat Zofii – Ludwik, który „niezno-

śną zalewał nudę i tak przetrzymał i przespał ten ciemny, długi dzień”. W zamian „nazajutrz w Krościenku jego bratowa, a siostra triumfatora wyprawiła babilońskie weselne gody”.

Zapewne teraz dopiero można zrozumieć, dlaczego Fredro (jego małżonka również) na każdym kroku podkreślał hrabiowski tytuł. Nieważna była jego świeża data, liczyło się tylko, że hrabianka Jabłonowska, była żona hrabiego Skarbka, została hrabiną Fredro. Sugerować to miało, że małżonkowie byli sobie równi urodzeniem i nie doszło do żadnego mezaliansu. Pisarz poszedł tak daleko w swoich działaniach, że nawet podpisywał tytułem swoje utwory, co innym arystokratom się nie zdarzało. Nikt też nie pamięta o przedmałżeńskim pochodzeniu jego syna, a próby przypominania tego faktu uważane

są za „szkalowanie pamięci” pisarza i jego rodziny.

Aleksander Fredro zmarł w lipcu 1876 r. we Lwowie, Zofia przeżyła go o sześć lat. Ich syn, Jan Aleksander, poszedł w ślady ojca, został komediopisarzem i autorem pamiętników. Córka (imienniczka matki) także zajmowała się literaturą, poza tym była uzdolniona plastycznie.

W 1861 r. wyszła za Jana Szeptyckiego, który pod jej naciskiem 10 lat później otrzymał z Wiednia dyplom hrabiowski. Zapewne teściowie nowego hrabiego byli z tego faktu bardzo zadowoleni.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Cytaty za: L. Jabłonowski, „Pamiętniki”, Kraków 1963; Z. Kaczkowski, „Mój pamiętnik”, Lwów 1899; B. Lasocka, „Aleksander Fredro. Drogi życia”, Warszawa 2001; T. Boy-Żeleński, „Obrachunki fredrowskie”, Warszawa 1956.



REKLAMA

WYSTAWA CZASOWA

10 LUTEGO 2020 / 30 MAJA 2021

SPICHLERZE NA OŁOWIANCE



PUCK 10 LUTEGO 1920 OCZAMI ŚWIADKÓW

niepodległa

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

DORFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MKiDN W RAMACH
PROGRAMU WIELOLETNIEGO NIEPODLEGŁA NA LATA 2017-2022



NARODOWE MUZEUM MORSKIE W GDAŃSKU
www.nmm.pl



NARODOWE
MUZEUM
MORSKIE
w Gdańsku



TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ
NARODOWEGO MUZEUM
MORSKIEGO W GDAŃSKU

TVP
KULTURA

TVP
GDAŃSK

Radio Gdańsk

Dziennik
Bałtycki

Pogrzeb Erwina
Rommla FOT. SZ-PHOTO/FORUM

1944 r. / Kulisy końca najlepszego feldmarszałka Führera

Tajemnica śmierci Rommla



Jakub Ostromecki

„Za paręnaście minut umrę. Führer dał mi wybór między zażyciem trucizny a procesem przed Sądem Narodu...” – powiedział do żony

Utraciliśmy jednego z najlepszych dowódców. Jego nazwisko jest dzisiaj, w okresie walki narodu niemieckiego o przyszłość, symbolem odwagi i nieustraszonego zuchwalstwa. [...] Armia, dumna i pogrążona w smutku, opuszcza wojenną flagę Rzeszy, oddając hołd temu wielkiemu żołnierzowi”. Był 18 października 1944 r. Ostatnie słowa rozkazu dziennego Adolfa Hitlera rozbrzmiały na placu ratuszowym

w szwabskim Ulm. Rozpoczynała się ceremonia pogrzebowa Erwina Rommla, jednego z najlepszych generałów III Rzeszy.

„Lisowi Pustyni” w jego ostatniej drodze asystowało kilka kompanii honorowych, orkiestra grała zaś fragmenty „Marszu żałobnego Zygryda” Ryszarda Wagnera. Syn generała, Manfred, oraz jego żona Lucie wiedzieli jednak bardzo dobrze, że biorą udział w obrzydliwej farsie. Erwin Rommel, wzór niemieckiego oficera, pogromca Francuzów i postrach Anglików, został bowiem zmuszony przez Hitlera do popełnienia samobójstwa. Feldmarszałek Gerd Von Rundstedt nie wiedział wówczas jeszcze o prawdziwej przyczynie śmierci Rommla, ale był świadomy, że III Rzesza ginie. Kilka tygodni wcześniej przewodził „sądowi honorowemu”, który zwalniał z wojska oficerów podejrzanych o zamach 20 lipca. Przed ceremonią feldmarszałek utopił pocucie winy w butelce wina i wybełkotał raczej, niż odczytał, rozkaz Hitlera.

Erwin Rommel był najwyższej klasy produktem wilhelmińskiego wychowania. Przyszłemu feldmarszałkowi szorst-

ki, aczkolwiek troskliwy ojciec wpajał od małego, że obowiązek jest ważniejszy niż osobiste potrzeby. Młodemu Erwinowi pozwalano jednocześnie włączyć się po dzikich wzgórzach i dbano o jego tężyznę fizyczną. To między innymi stąd wzięta się jego znakomita orientacja przestrzenna. Ów system wychowawczy tworzył nowoczesnych ascetów, oszczędnych w słowach, surowych dla siebie samych, podwładnych i najbliższych. Do tego skrajnie pryncypialnych. Oto kilka przykładów.

W 1942 r. po zdobyciu Tobruku Rommel zamiast afrykańskich precjozów przywioził do domu kilka puszek wołowiny. Na pretensje żony odparł: „Posłuchaj, jak ci się zdaje, za co moi ludzie walczą w tej wojnie. Za moje zachcianki?!”. Zabronił jej też odwiedzać się w szpitalu po operacji wyrostka, ponieważ taki zakaz obowiązywał też jego podwładnych. Był zarazem wiernym mężem, a swojemu otoczeniu dawał wyraźnie do zrozumienia, że nie życzy sobie świntuszenia, pikantnych żartów ani opowiestek. Asceza owa nie przeszkadzała Rommlowi podkarmić raz na

jakiś czas swojej próżności – lubił być fotografowany i często specjalnie ustawiał się tak, aby prezentować swój regularny indoeuropejski profil.

Nie był tęgim humanistą. Na tyle jednak rzetelnym, aby napisać poczytny podręcznik z dziedziny wojskowości „Piechota atakuje”. Zdecydowanie bliższe były mu mechanika i majsterkowanie – w młodości rozebrał i złożył swój pierwszy motocykl, „bo musiał dowiedzieć się, jak działa”, a potem w czasie wojny zadziwiał swoich mechaników, właściwie diagnozując „na ucho” usterki czołgów.

Rommel, jak określił to Norman Schwarzkopf, „świetnie czuł pole bitwy”. W tłumaczeniu z wojskowego żargonu oznacza to, że wizytując najdalej wysunięte rubieże, jakimś szóstym zmysłem wyczuwał, gdzie wróg jest najsłabszy i którędy należy poprowadzić natarcie, aby go zaskoczyć. Rommel nie lubił sztabowców. Uważał, że miejsce dowódcy jest wśród żołnierzy. Kapralom doradzał, jak się lepiej okopywać, a czołgistom, które wzgórze mają ominąć, aby uniknąć kłopotów. „Fortel” to jego kolejne ulubione słowo. W Afryce kazał obudować ciężarówkami płytami, tak aby wyglądały jak czołgi, innym zaś razem kazał wzbudzać tumany kurzu, przez co zmylił Brytyjczyków co do kierunku i siły własnego natarcia.

General Hitlera?

Temu „walczącemu czysto” niemieckiemu generałowi trudno zarzucić współudział w jakichkolwiek zbrodniach. W 1941 r. Rommel spalił rozkaz mówiący, że schwytanych w szeregach armii brytyjskiej Żydów należy natychmiast rozstrzeliwać. Dlaczego zatem przez dłuższą część wojny był jednocześnie wielkim miłośnikiem Hitlera i mówił wprost, że jest narodowym socjalistą, choć do NSDAP nie należał? Autor biografii feldmarszałka Charles F. Marshall stwierdza: „Obaj, z Rudolfem Schmundtem [adiutantem Hitlera – przyp. J.O.], uważali, że oburzających aktów represji popełnianych w imię czystości rasy aryjskiej nie dokonywano z inicjatywy Führera, lecz były one efektem działań politycznej koterii wokół niego”. Wywołującemu się z klasy średniej Rommlowi imponowało, że przeciętny Niemiec

odczuł w latach 30. poprawę warunków życia i że Hitler skończył z trwającym od 1918 r. upokarzaniem Rzeszy.

Niektóre jego wypowiedzi można by zważyć na karb zwykłego oportunisty, gdyby nie to, że padły w osobistych, niecenzurowanych przecież listach do żony: „Ogromna siła, która promieniuje z Führera, jego niezachwiana pewność, umiejętność oceny sytuacji i jej rozwoju [...] uświadomiły nam w tych dniach, że w porównaniu do Führera wszyscy jesteśmy marnymi nic nieznaczącymi osobami”. Pisał to jeszcze w sierpniu 1943 r. Już po upadku Afryki, po Stalingradzie i Kursku. Z innych bije wręcz groteskowa dziecinna naiwność. „Napełnia mnie nieskończoną dumą fakt, że przy natłoku obowiązków, jakie na nim spoczywają,



Erwin Rommel FOT. ARCHIWUM

Führer znalazł jeszcze czas, by przestudiować moją kronikę dywizyjną i oświadczyć do mnie napisać”. Naprawdę owo „studiowanie” wyglądało tak, że Hitler przekartkował kilka stron oprawionego w czerwoną skórę dzieła, po czym cisnął je na półkę, każąc adiutantowi napisać kilka okrągłych zdanków na odczepnego. Innym razem przy okazji wizyt w jednej z kwater Hitlera Rommel chełpił się jak dziecko: „Czasem mogę nawet zabrać głos”.

Wojskowi w państwach totalitarnych na pytanie o swoje motywacje odpowiadają często formułką: „Jestem tylko żołnierzem. Nie interesuje mnie polityka”. W przypadku Rommla nie był

to wykręt – w jego bibliotece 90 proc. książek dotyczyło wojskowości. Czas na politykę przyszedł w połowie 1944 r. Trudno w to uwierzyć, ale Rommel dowiedział się o szczegółach zbrodniczej polityki Niemiec na wschodzie dopiero po spotkaniu z Blaskowiczem 9 lutego 1944 r. „Na górze niestety brud. Wielka wina” – wymamrotał pod nosem. Wciąż twierdził jednak, że ów brud to ludzie otaczający wodza, nie on sam.

Bunt

Na samym początku 1944 r. Rommel został dowódcą Grupy Armii B, która miała powstrzymać spodziewaną inwazję aliancką. Dwoił się i troił, aby wzmocnić Wał Atlantycki, ale nie wierzył z zwycięstwo w wojnie z Zachodem. Jeszcze w Afryce poznał skutki alianckiego panowania w powietrzu i, jak sam się wyraził, „walczących za pomocą maszyn liczącej” Amerykanów. Myślał to, co wielu generałów – trzeba zawrzeć pokój z USA i Wielką Brytanią, cofnąć się do Renu, nawet zgodzić na okupację części terytorium i całe siły skierować przeciw Sowietaom.

Z niemieckimi spiskowcami spotkał się przypadkowo. Żona Alfreda Gausego – szefa sztabu Rommla – mieszkała przez pewien czas u Lucie Rommel. Panie zrazu dobrze się dogadywały, aż w marcu 1944 r. w czasie pewnego wesela okazało się, iż pani Gause zajmuje bardziej szczytne miejsce przy stole od Rommlowej. Wywołało to złość żony feldmarszałka. Natychmiast zażądała, aby mąż zwolnił Gausego ze stanowiska szefa sztabu – ten, o dziwo, się zgodził, przenosząc swojego podwładnego na inne stanowisko. Tak nowym szefem sztabu został Hans Speidel blisko związany ze spiskowcami, którzy 20 lipca 1944 r. dokonają zamachu na Hitlera.

Ludzie ci liczyli na to, że po odsunięciu Hitlera od władzy Rommel, jeden z najpopularniejszych ludzi w Niemczech, zostanie ich liderem i porozumie się z Zachodem w kwestii honorowej kapitulacji. Feldmarszałek spotykał się z nimi kilkakrotnie wiosną 1944 r. Rommla nie do wszystkiego udało się przekonać. Gotów był osobiście negocjować z aliantami, nawet przed nimi skapitulować, ale nie chciał słyszeć o zabiciu Hitlera. Wciąż liczył, że wódz



Muzeum Rommla w Blaustein FOT. WIKIMEDIA

■ zmieni swoje decyzje. Jak pisze biograf feldmarszałka M.P. Remy: „Zabicie głowy państwa i naczelnego wodza Wehrmachtu w tym momencie przekraczało po prostu granice wyobraźni Rommla”. „Nie można liczyć na Rommla” – oznajmił rozgoryczony gen. Ludwik Beck, jeden z najważniejszych członków antyhitlerowskiego sprzysiężenia.

Rommel wołał osobiście jeździć do Wilczego Szańca i wpływać na Hitlera. Wizyty te wywoływały jednak jedynie ataki szału przerywane napuszonymi tyradami o tym, że już wkrótce rakiety V1 zniszczą siły aliantów. 6 czerwca alianci wylądowali jednak w Normandii. Rommel, widząc beznadziejność niemieckiego położenia, wysłał więc Hitlerowi ultimatum pt. „Rozważania o sytuacji militarnej”. Kończyło się ono zdaniem, które wypowiedziane przez mniej sławnego dowódcę skończyłoby się natychmiastową dymisją: „Z tego faktu trzeba [...] koniecznie wyciągnąć konsekwencje polityczne. Jako głównodowodzący grupy armii czuję się w obowiązku jasno to powiedzieć”. Zwierzchnik Rommla, von Kluge, wysłał jednak ów dokument do kwatery głównej po dwóch tygodniach, już po nieudanym zamachu na Hitlera 20 lipca.

17 lipca myśliwce RAF ostrzelały samochód Rommla, w wyniku czego doznał on bardzo poważnych urazów czaszki. W momencie, gdy w Wilczym Szańcu Stauffenberg kładł swoją walizkę z bombą pod dębowym stołem, Rommel znajdował się w szpitalu. Gdy wybudził się ze śpiączki, wyznał swojemu lekarzowi dr. Albrechtowi: „Ten człowiek [Hitler – przyp. J.O.] jest patologicznym kłamcą. Jest szaleńcem, który poświęci ostatniego Niemca, zanim doczeka własnego końca”.

Tymczasem w zeznaniach kolejnych uczestników fatalnego spisku zaczęło pojawiać się nazwisko feldmarszałka.

W czasie rekonwalescencji Rommel odwiedził znajomego starostę Ulm – Wilhelma Maiera. Powiedział mu kilka gorzkich prawd na temat Hitlera. Ów radny, zapewne w dobrej wierze, powtórzył to burmistrzowi Heidenheim – Rudolfovi Meierowi. Ten z kolei był za pan brat z szefem miejscowej komórki NSDAP Kronmüllerem. 19 września partyjniak nie omieszkiał napisać donosu bezpośrednio do Martina Bormanna. Straszliwy sekretarz Hitlera czekał na ten moment pięć lat. Pamiętał upokorzenie, jakie zgotował mu Rommel w podbitej Polsce. Przepędził go wtedy z konwoju, którym jechał Hitler, wymyślając od przedszkolaków. „Rommel zdradził” – zakomunikował Führerowi.

Mord

Sądzić i wieszać jednego z największych Niemców byłoby niezręcznie, trzeba było zatem załatwić sprawę w białych rękawiczkach. Nazistowscy prominenci zeznali w Norymberdze niezależnie od siebie – rozkaz przymuszenia Rommla do samobójstwa miał wydać sam Hitler. Jego wykonawcami zostało dwóch generałów: szef sekcji prawnej oddziału personalnego armii Ernst Maisel oraz główny adiutant Hitlera – Wilhelm Burgdorf.

W połowie października Rommel zaczął przeczuwać, że grozi mu coś niedobrego. Gazety poinformowały, deprecjonując go, że został ranny w wypadku samochodowym, a nie podczas ataku wroga. Wokół domu zaczęli kręcić się zaś podejrzani osobnicy. 13 października Rommel spotkał się ze swoim kolegą, niegdyś antyhitlerowskim politykiem, Oskarem Farnem. Rzekł mu: „Jestem w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Hitler chce się mnie pozbyć. Jeśli cokolwiek mi się stanie, to błagam, dbaj o mojego syna”. Żona Farnego przestrze-

gała Rommla: „Nie możesz odebrać sobie życia! Jeśli to zrobisz, to twoja dusza też umrze!”. Obiecał, że tego nie zrobi.

W tamtym czasie Rommel dostał wezwanie do Berlina, ale zdołał się wykręcić złym stanem zdrowia. Berlin przyjechał więc do niego. 14 października żona odebrała kilka telefonów od sąsiadów, którzy ostrzegali, że esesmani obstawiają drogi w mieście. W południe w domu pojawili się Maisel i Burgdorf. Rozmawiali z Rommlem przez 30 minut, po czym wyszli do zaparkowanego samochodu. Wyszli sami, co zdziwiło adiutanta Rommla, bo feldmarszałek zawsze odprowadzał swoich gości do furtki. Do swojej przerażonej żony rzekł: „Za paręnaście minut umrę. Führer dał mi wybór między zażyciem trucizny a procesem przed Sądem Narodu. Nie dotrwał żywy do Sądu Narodu. Jeśli odbiorę sobie życie, to będę miał pogrzeb państwowy, a wy weźmiecie w nim udział. Jeśli nie zrobię tego, to straciecie wszystko”.

Rommel ubrał się w swój pustynny mundur, wzięł buławę i wsiadł do samochodu Maisela i Burgdorfa. Przy jednej z bocznych dróg samochód zatrzymał się i Rommel, siedzący na tylnym siedzeniu, połknął truciznę. Świadkowie oglądający ciało w szpitalu mówili, że twarz feldmarszałka zastygła w wyrazie pogardy. Dwadzieścia minut po morderstwie Maisel i Burgdorf wpadli do szpitala w Ulm, udając przejętych i z troskanych. Już na osobności Burgdorf ostrzegł jednak lekarzy: „Nie dotykać ciała! Wszystko przejmuje Berlin!”. Wiadomość dla prasy była przygotowana już wcześniej: „Feldmarszałek nagle zmarł, najwyraźniej w wyniku zakrzepu w sercu. W czasie rekonwalescencji zbierał grzyby w lesie. Ciągłe schylanie się wywołało zawał”.

Kilka miesięcy po wojnie Lucie Rommel w rozmowie z Charlesem F. Marshalllem wyznała, jaki ma stosunek do Hitlera: „I jak pomyślę, że każdego wieczoru przez całe lata modliłam się o powodzenie tego człowieka, mordercy mojego męża”. Trzeba było dopiero osobiście tragedii, aby otworzyć pani Rommel oczy na zbrodniczy system. Tysiące innych niemieckich żon nie doświadczyły jednak takiej przemiany i jak skwitował Marshall: „Wiedziały tyle, by wiedzieć, że nie chcą wiedzieć więcej, niż wiedziały”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA
RADOSŁAW GOLEC

„GENERAŁ I DIUK. TAJEMNICE RZĄDU SIKORSKIEGO
I POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH NA ZACHODZIE”

**TAJEMNICE RZĄDU RP NA UCHODŹCTWIE, SEKRETY
NACZELNEGO WODZA I POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH NA ZACHODZIE
AŻ DO KATASTROFY GIBALTARSKIEJ.**

Premier polskiego rządu na uchodźstwie nie wątpił, że Polska znajdzie się w gronie państw zwycięskich i usiłował wzmocnić sytuację geopolityczną Polski w ramach nowego, powojennego rozdania. Rozpoczął tworzenie federacji państw środkowo-europejskich z Rzeczypospolitą jako ośrodkiem wiodącym. Gwarantem trwałości nowego tworu politycznego miała być Wielka Brytania. W tym celu Sikorski snuł plany unii personalnej Zjednoczonego Królestwa i odrodzonego królestwa polskiego. Na tronie federacji środkowo-europejskiej miał zasiąść Jerzy Windsor a plan postawienia na jej czele księcia Kentu stanowił, jak zapisał sekretarz Sikorskiego, Karol Estreicher, *największą polityczną tajemnicę Jenerała.*

Co kryją jeszcze brytyjskie archiwa, skoro home office przesunął klauzulę tajności wielu dokumentów dotyczących Sikorskiego na kolejne dziesięciolecie?

81 zł

oszczędność 71 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO:

UWAGA NOWY NR.

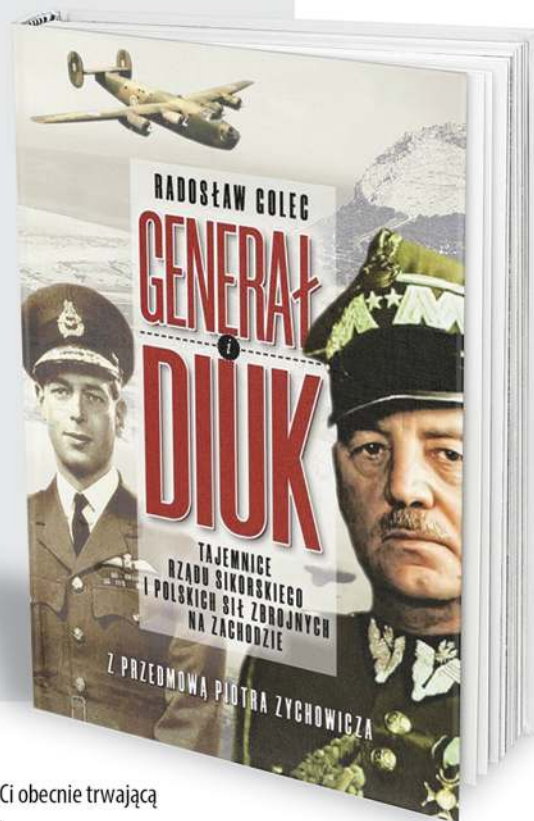
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006

ORLE PIÓRO sp. z o.o.,

Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.



Czekistowski oddział
egzekucyjny FOT. DOMENA PUBLICZNA

Lata 20., lata 30.

Nadrepzentacja Polaków w organach ZSRS

Polska Czeka?



Mikołaj Iwanow

/ Wszystkich rodaków „Żelaznego Feliksa” w bolszewickich służbach specjalnych spotkał smutny koniec

W moich licznych rozmowach z Rosjanami na temat stosunków polsko-rosyjskich dość często pojawia się kwestia „polskiej CzeKa” i jej twórcy Feliksa Dzierżyńskiego. Czy rzeczywiście był to Polak, który zgładził największą liczbę Rosjan w historii? Czy mają rację ci z Rosjan, którzy nazywają „czerwony terror” okresu wojny domowej „polskim terrorem komunistycznym”, skierowanym przeciwko Rosjanom? Czy rzeczywiście,

jak twierdzi Aleksander Sołżenicyn, Polacy i Łotysze w rewolucji bolszewickiej zrobili najwięcej, aby „złamać kręgosłup narodowi rosyjskiemu” i pogrążyć go w „komunistycznej czarnej zapaści”?

W sowieckich służbach specjalnych Polacy od samego początku władzy sowieckiej zajmowali miejsce szczególne. Symbolem „czerwonego terroru” i niezwyklej twardości w postępowaniu z wrogami władzy ludowej na zawsze pozostał Feliks Dzierżyński. Urodzony na kresach (Mińszczyzna) w rodzinie szlacheckiej był on jednym z najbliższych współpracowników Lenina. Wódz rewolucji wierzył mu bezgranicznie i głównie dlatego powierzył mu najważniejsze zadanie – stworzenie służb specjalnych bolszewickiej Rosji. Bez przesady możemy stwierdzić, że w latach 20. Polacy-bolszewicy na czele z „niezlomnym rycerzem” rewolucji Feliksem Dzierżyńskim uchodzili za swoistą gwardię rewolucji bolszewickiej. Polskość zupełnie nie przeszkadzała licznym Polakom w robieniu kariery w słynnej CzeKa, przemianowanej później w GPU, OGPU,

NKWD, KGB i wreszcie FSB. Jak można to wytłumaczyć? Jak można wytłumaczyć fakt, że naród – który w swej większości nie przyjął komunizmu, stawiał bolszewickiej agresji zaciepły opór, a w 1920 r. po zwycięskiej Bitwie Warszawskiej ledwo nie złamał kręgosłupa bolszewizmowi – oddał tak wielu swych synów na służbę sowieckich służb specjalnych i innych zbrodniczych organizacji?

Odpowiedź na to pytanie nie jest prosta, ale na początku spróbujmy wyjaśnić, czy to prawda, że Polaków było sporo w CzeKa. Czy ten „karzący miecz rewolucji” w rzeczywistości chociaż częściowo miał polski charakter?

Polских komunistów w kierownictwie CzeKa było rzeczywiście sporo, ale mówić o polskim charakterze tej zbrodniczej organizacji to jawna przesada. Według danych oficjalnych w 1918 r. Polacy stanowili wśród kierowniczych pracowników CzeKa 8,9 proc. Wyraźnie ustępowali oni Łotyszom (50,4 proc.), Rosjanom (razem z Ukraińcami i Białorusinami – 25,9 proc.), Żydom (12,1 proc.).

Dominującą rolę Łotyszy w Cze-
ka można wytłumaczyć tym, że
prawie wszystkie łotewskie
jednostki armii carskiej, razem
ze swym dowódcą płk. Joakimem
Wacetisem, złożyły przysięgę rzą-
dowi Lenina i wstąpiły do Armii
Czerwonej. Dywizja łotewska tuż po
rewolucji październikowej stała się
swoistą gwardią Lenina i praktycznie
uratowała jego rząd podczas kryzysu
politycznego w lipcu 1918 r., kiedy prze-
ciwko bolszewikom zbrojnie wystąpili ich
dotychczasowi sprzymierzeńcy i rządowi
koalicjanci – lewicowi eserowcy. Zmobi-
lizowani najczęściej w dalekiej łotewskiej
prowincji, niekiedy bardzo słabo mówią-
cy po rosyjsku i prawie nieorientujący się
w meandrach rosyjskiej polityki we-
wnętrznej, ci łotewscy chłopcy byli bardzo
podatni na bolszewicką propagandę, a po
wstąpieniu do CzeKa byli bezwzględni
w stosowaniu terroru. Wysoka dyscypli-
na żołnierzy łotewskiej dywizji, w odróż-
nieniu od kompletnego upadku moral-
ności w rosyjskich jednostkach armii
carskiej, tworzyła z nich prawie idealnych
wykonawców woli Lenina.

Polscy bolszewicy

W odróżnieniu od Łotyszy Polacy-
czekiści wywodzili się przeważnie
z kręgów zawodowych rewolucjonistów.
Byli to ludzie od dawna związani z partią
bolszewicką, z eserowcami, czasem
z ruchem anarchistycznym. Polskość
była dla nich wartością drugorzędą.
Wyzwolenie świata, walka klasowa po
stronie klasy robotniczej – oto podstawy
ich ideologii. Tak wielka liczba Polaków
w CzeKa tłumaczy się przede wszystkim
ogólnym stanem podziałów politycznych
w społeczeństwie imperium. Rewolucja
bolszewicka była konfrontacją rosyj-
skich elit politycznych, składających się
prawie wyłącznie z Rosjan, z opozycją
bolszewicko-eserowską, wśród której
działaczy przeważali przedstawiciele
narodowych mniejszości.

Na nadreprezentację Polaków w so-
wieckich służbach specjalnych złożyło
się kilka istotnych przyczyn:

- wysoki autorytet Polaków jako dziel-
nych i zdyscyplinowanych dowódców
wojskowych o wysokich kwalifikacjach;
- spory odsetek komunistów polskich
na kierowniczych stanowiskach w partii

i państwie sowieckim w okresie wojny
domowej;

- aktywna rola w tzw. budownictwie
socialistycznym czołowych Polaków,
komunistów w pierwszych latach po
rewolucji bolszewickiej;

- autorytet Feliksa Dzierżyńskiego
i innych Polaków na kierowniczych sta-
nowiskach w CzeKa.

Paradoksalnie, w pierwszych latach
rewolucji bolszewickiej, mimo toczącej
się wojny polsko-bolszewickiej, w komu-
nistycznym środowisku przynależność
do narodowości polskiej u członków
RKP(b) mogła świadczyć o całkowitej
lojalności partyjnej, o oddaniu sprawie
rewolucji. Polacy byli mile widziani na
wszystkich odpowiedzialnych stanowi-
skach w partii i aparacie państwowym,
wojskowym, a także w służbach bezpie-
czeństwa. Na ich wysiłki patrzono jak
na znak symbolizujący w perspektywie
szybką sowietyzację II Rzeczypospolitej.
Można powiedzieć więcej: przyzwolenie
partii na założenie polskich rejonów
narodowościowych Marchlewszczyzny
i Dzierżyńszczyzny w połowie lat 20.
było rozpatrywane jako swoisty zarodek
przyszłej komunistycznej Polski. Był to
symbol uznania wielkich zasług Polaków-
komunistów w zwycięstwie rewolucji
i utrwaleniu władzy sowieckiej.

Znaczny udział Polaków w stworzeniu
i funkcjonowaniu CzeKa był spowodo-
wany również istnieniem u polskich ko-

munistów licznych własnych jednostek
wojskowych, a od sierpnia do grudnia
1920 r. nawet własnej Armii Czerwonej
pod dowództwem Romana Łagwy. Armia
ta nigdy nie była liczącą się jednostką
wojskową, zdolną do odgrywania poważ-
nej roli strategicznej. Istniała głównie na
papierze. Utworzono ją w celach pro-
pagandowych w czasie natarcia Armii
Czerwonej na Warszawę w 1920 r. i dla
zademonstrowania siły proklamowanej
w Białymstoku Polskiej Republiki Rad.

Po porażce pod Warszawą w sierpniu
1920 r. i zawarciu układu pokojowego
w Rydze w 1921 r. władze sowieckie
wbrew swoim zobowiązaniom poko-
jowym przez kilka lat utrzymywały
niektóre struktury niedosłej czerwonej
Polski, wykorzystując je jako rezerwę
strategiczną Międzynarodówki Komu-
nistycznej i źródło nacisku na władze
II Rzeczypospolitej. Najdłużej, aż do
1927 r., istniała szkoła oficerska Polskiej
Armii Czerwonej działająca pod nazwą
„Szkoła Czerwonych Komunardów”.
Stworzono ją w roku 1918 w celu przygo-
towania kadry dowódczej dla Polskiej Ar-
mii Czerwonej. Budulcem tej armii niedo-
słej Polskiej Sowieckiej Socjalistycznej
Republiki były liczne jednostki polskie
w Armii Czerwonej, a przede wszystkim
Zachodnia Dywizja Strzelców. Składała
się ona przeważnie z Polaków – zwolen-
ników władzy sowieckiej – i walczyła na
wielu frontach wojny domowej, w tym
również na froncie polsko-sowieckim
w latach 1919 i 1920.

W latach 30., kiedy w Związku Sowiec-
kim rozpoczęła się unikatowa nagonka
na Polaków, mająca wszystkie cechy
ludobójstwa, istnienie tej szkoły uznano
za dowód tworzenia antysowieckich cen-
trów dywersyjnych przez Polaków. Szef
NKWD Nikołaj Jeżow w swym rozkazie
00485 pisał na ten temat: „Tę szkołę
wojenną zwłaszcza w pierwszym okresie
jej istnienia kompletowano Polakami,
których tu kierowały przede wszystkim
placówki biura polskiego, znajdujące
się przy centralnych i terenowych
organach partyjnych. Członkowie POW,
którzy przeniknęli do polskiego biura,
kierowali do szkoły zarówno członków
organizacji, jak i kadrowych agentów
polskiego wywiadu, którzy pozostali
w ZSRS i podawali się za jeńców wojen-
nych okresu wojny sowiecko-polskiej,
którzy nie chcieli powrotu do Polski oraz
którzy przyjechali do ZSRS i podawali



Władysław Mienżyński

FOT. DOMENA PUBLICZNA

■ się za uciekinierów; w samej szkole istniała silna grupa POW, prowadząca samodzielną pracę werbunkową... Organizacja utrzymywała regularną łączność z Warszawą z użyciem najrozmaitszych, wielopłaszczyznowych sposobów”.

Operacja lat 30.

Cały okres międzywojenny to powolna, ale konsekwentna czystka organów bezpieczeństwa Związku Sowieckiego mająca wyeliminować Polaków. Śmierć twórcy sowieckich służb specjalnych Feliksa Dzierżyńskiego w grudniu 1926 r. symbolizowała początek procesu odejścia Polaków ze służb. Operacja polska w latach 1937–1938 ten proces przypieczętowała. Po śmierci Dzierżyńskiego sowieckie służby specjalne teoretycznie jeszcze przez osiem lat znajdowały się w polskich rękach. Do 1934 r. szefem GPU (NKWD) był kolejny Polak Wacław Mienżyński, cieszący się dużym zaufaniem Stalina. Związany z Polską swym pochodzeniem był także kolejny szef tych służb Żyd Gienrich Jagoda. Jego rodzina przeprowadziła się do centralnej Rosji (Rybinsk) z Płocka. Dopiero w 1937 r. na czele NKWD stanął rodowity Rosjanin Nikołaj Jeżow, który doprowadził wkrótce do całkowitej depolonizacji tych służb.

Dostępne obecnie źródła świadczą o tym, że nikt z Polaków zatrudnionych w NKWD operacji polskiej i tzw. pojeżowskiej czystki organów NKWD nie przeżył. Od czasów Feliksa Dzierżyńskiego udział procentowy Polaków w sowieckich służbach specjalnych cały czas się zmniejszał, ale przed rozpoczęciem wielkiego terrorku Polacy wśród etatowych pracowników NKWD piastujących kierownicze stanowiska nadal stanowili znaczący odsetek: w 1936 r. – 5,5 proc. W lipcu 1937 r. liczba Polaków zmniejszyła się do 3,5 proc., we wrześniu 1938 r. pozostało ich niewiele ponad 0,5 proc., a w lipcu 1939 r. nie było już tam żadnego Polaka.

Prawie wszyscy Polacy w kierownictwie NKWD rozpoczęli pracę w aparacie terrorku w latach 1917–1923. Byli to poplecznicy „Żelaznego Feliksa”, założyciele sowieckich karnych organów, w większości ślepo wierzący w idee komunistyczne, przekonani, że dla zwycięstwa komunizmu dozwolone są wszystkie metody represyjne. Wśród pracowników NKWD średniego i niższego szczebla było rów-



Feliks Dzierżyński FOT. ARCHIWUM

niez nowe pokolenie sowieckich Polaków, skierowanych do służb przez partyjne i komсомolskie organizacje w okresie realizacji polityki tworzenia tzw. polskiej autonomii socjalistycznej. Nie brakowało wśród NKWD-zistów również „zbiegów z II Rzeczypospolitej”, byłych współpracowników polskich służb specjalnych, którzy przeszli na stronę bolszewików w czasie wojny domowej i w pierwszych latach po jej zakończeniu. Polski wydział kontrwywiadowczy NKWD, jak również wywiad wojskowy Armii Czerwonej składały się prawie wyłącznie z Polaków.

Trzech pracujących na Łubiance Polaków miało stopnie generalskie, jeden pułkownika i jeden podpułkownika. Najwyższy stopniem Polak w NKWD – Stanisław Redens (komisarz GB pierwszej rangi) – stał na czele NKWD Kazachstanu i wyglądał na nietykalnego. Był krewnym Stalina (żonaty z siostrą Nadieżdy Allilujewej, żony Stalina). Był również bliskim przyjacielem i osobistym sekretarzem Feliksa Dzierżyńskiego w czasie wojny domowej i po jej zakończeniu.

Romuald Pilar stał na czele obwodowego NKWD w Saratowie i miał stopień komisarza GB drugiej rangi. Jego zastępcą w Saratowie był również Polak z tytułem generalskim (komisarz GB trzeciej rangi) Ignacy Sosnowski (Dobrzyński). Byłego kierownika Polskiej Organizacji Wojskowej (POW) w Rosji wykryto jeszcze w 1920 r. i zwabiono do pracy w GPU-NKWD na podstawie decyzji samego Lenina, z którym na ten temat rozmawiał Dzierżyński. Szefem NKWD w obwodzie kalinińskim był Władysław Dombrowski. Stanisław Pintal kierował regionalnym NKWD obwodu południowokazachstańskiego.

Z tej piątki najwyższych rangą NKWD-zistów jedynie Stanisław Redens dożył do 1940 r. Reszta została rozstrzelana jeszcze w 1937 r. w ramach operacji polskiej. Z Ignacego Sosnowskiego zrobiono rezydenta II oddziału Polskiego Sztabu Głównego, wiceszefa POW na cały Związek Sowiecki. Pilar z Dombrowskim i Pintalem mieli rzekomo wchodzić w skład ścisłego kierownictwa POW. Kolej na Redensa przyszła po upadku Jeżowa, z którym miał on bliskie koleżeńskie stosunki. W czasie śledztwa przyznał się do szpiegostwa na rzecz Polski, ale główne oskarżenie przeciwko niemu polegało na założeniu spisku antypartyjnego i antypaństwowego razem z Jeżowem.

Stanisław Redens złożył w czasie śledztwa obszerne zeznania, pokazujące całą metodykę przestępstw stalinowskich wobec Polaków. We własnoręcznie sporządzonych zeznaniach napisał: „W czasie operacji w okręgu Moskiewskim aresztowano 2500 lub 2700 Polaków. W tym czasie operacja przyjęła taki rozmiar, że albumy (listy skazanych na śmierć lub obóz koncentracyjny) zaczęły spływać w ogromnej ilości i wtedy jeszcze bardziej uproszczono rozpatrywanie tych spraw, zaczęto rozdawać naczelnikom oddziałów albumy tysięcy aresztowanych i naczelnicy oddziałów jednoosobowo decydowali o losie aresztowanych, a Jeżow, nie czytając ich, podpisywał gotowe protokoły i to samo, niestety, robił i Wyszyński. Po moim wyjeździe do Kazachstanu Zakowski prowadził jawnie przestępczą działalność w tych sprawach, on przez 2 miesiące aresztował 12 500 osób, przy czym aresztowania przeprowadzono przy pomocy książki telefonicznej, byle było nazwisko tylko podobne do polskiego”.

Znamienne jest to, że aresztowani kierownicy NKWD prawie natychmiast zaczęli współpracować w czasie śledztwa, przyznając się do wszystkiego, czego od nich wymagano. Zнали bardzo dobrze reguły tej śmiertelnej gry... Jeszcze tak niedawno sami występowali w roli oskarżycieli. Rozumieli bezsens zapierania się. Stanisław Redens na przesłuchaniu podczas osobistej konfrontacji ze swym niedawnym szefem Nikołajem Jeżowem posłusznie oświadczył, że został przez Jeżowa wciągnięty w spisek antysowiecki. Jeżow natychmiast to potwierdził. Jedynie Ignacy Sosnowski przez prawie trzy miesiące na początku śledztwa próbował trzymać się twardo

i wszystkiemu zaprzeczać. Prawdopodobnie przedłużyło mu to trochę życie.

Kaci przeciw katom

Represje antypolskie w NKWD objęły swym zasięgiem również te wydziały służb specjalnych, które pracowały przeciwko Polsce: kontrwywiadowcze NKWD, a także wywiad wojskowy (wydział wywiadowczy Armii Czerwonej, poprzednik słynnego GRU). W jednostkach tych na stanowiskach operacyjnych pracowali prawie wyłącznie sami Polacy, w większości byli współpracownicy polskiego wywiadu, którzy zdradzili ojczyznę i przeszli na stronę ZSRS.

Aby rzekomy spisek w wydziale wywiadu przeciwko Polsce wyglądał solidnie, na jego czele postawiono jednego z bliskich popleczników Dzierżyńskiego, pełniącego w 1920 r. podczas marszu Tuchaczewskiego na Warszawę i krótkotrwałego istnienia Polskiej Republiki Rad funkcję czerwonego komisarza okręgu

białostockiego, Mieczysława Łoganowskiego. W latach 1922–1924 Łoganowski był półoficjalnym rezydentem GPU w Warszawie i tworzył podwaliny sowieckiego wywiadu w II RP. Później zrobił błyskotliwą karierę sowieckiego dyplomaty, którą przerwał areszt w maju 1937 r.

Drugą znaczącą osobą, aresztowaną w związku z wykryciem tego spisku, był inny bliski współpracownik Dzierżyńskiego – Jan Olski (prawdziwe nazwisko Kulikowski), były szef Czecha Białorusi, który w latach 1927–1930 stał na czele całej służby kontrwywiadowczej GPU-NKWD. Aresztowano również i dołączono do spisku wielu agentów operacyjnych, którzy koordynowali działalność wywiadowczą przeciwko Polsce w NKWD i wywiadzie wojskowym. Po krótkim śledztwie rozstrzelano: Staszewskiego A., Messinga S., Żbikowskiego, Janiszewskiego, Sędzikowskiego, Barańskiego, Bortnowskiego i wielu innych.

Oskarżenie brzmiało: „Kompletne sparaliżowanie naszej kontrwywiadowczej działalności przeciwko Polsce, zabezpieczenie bezkarnej działalności polskiego wywiadu w ZSRS, ułatwie-

nie przeniknięcia i legalizacji polskiej agentury na terenie ZSRS i w różnorodnych placówkach życia gospodarczego kraju... Zagarnięcie i sparaliżowanie całej pracy wywiadowczej NKWD przeciwko Polsce, szerokie i konsekwentne dezinformowanie nas i wykorzystanie naszego wywiadu za granicą w celu dostarczenia polskiemu wywiadowi potrzebnych informacji dotyczących innych państw i w celu działań antysowieckich na arenie międzynarodowej”.

Polacy na najwyższych stanowiskach w NKWD na pewno byli zdyscyplinowanymi wykonawcami tzw. woli partii, co w rzeczywistości oznaczało „wolę Stalina”. Są to ludzie, na których rękach była krew, w tym również krew polska. Przypomnijmy, że to Stanisław Redens był jednym z architektów wykrycia tzw. spisku POW na Ukrainie na początku lat 30. Pilar, Pintał i Sosnowski byli weteranami walk bolszewików przeciwko polskiej niepodległości, pracownikami GPU-NKWD z prawie 20-letnim stażem. Dombrowski również przeszedł do pracy w NKWD na początku lat 20.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

WSPOMNIENIA TEJ, KTÓRA CUDEM PRZETRWAŁA

Po raz pierwszy dostępne dla czytelników

Osobiste doświadczenie Holokaustu spisane w latach 70. XX wieku o tysiącach ludzi, którzy umierali pobić, zagłodzeni, zamarznięci, rozstrzelani, zagazowani...



Ludowa Historia Polski NOWA SERIA KSIĄŻEK



Już w księgarniach



Zapowiedź



www.rm.com.pl

Patronat medialny:



Polecają:



Zajęcie Lwowa przez Armię Czerwoną w końcu lipca 1944 r. nie przerwało tam działalności polskiej konspiracji niepodległościowej. Po kilkuletnich zmaganiach z okupantem niemieckim i wzięciu udziału w próbie oswobodzenia Lwowa przez oddziały Armii Krajowej w akcji „Burza”, mocno osłabiona wskutek masowych aresztowań dokonanych przez sowiecki aparat przemocy, trwała ona nadal na posterunku. Zgodnie ze złożoną przez jej uczestników przysięgą. W tym podziemnym polskim życiu politycznym i wojskowym Lwowa ważny element stanowiła istniejąca poza strukturami AK konspiracja piłsudczykowska. Ona także pozostała na posterunku.

Druga okupacja

Piłsudczycy, którzy przetrwali pierwszą okupację sowiecką, latem 1941 r. z dużą energią przystąpili do działalności konspiracyjnej przeciw Niemcom. Pod przywództwem płk. Jana Sokołowskiego, dawnego legionisty i uczestnika wojen z Ukraińcami i bolszewikami, utworzyli organizację Wierni Polsce. Potocznie nazywana od jego pseudonimu organizacją „Trzaski”, z czasem została podporządkowana przezeń piłsudczykowskiemu Konwentowi Organizacji Niepodległościowych, którego centrum działalności znajdowało się w Warszawie. Latem 1942 r. Wierni Polsce doznali dużych strat wskutek aresztowań niemieckich. Ponadto przez cały rok odbywał się „transfer” jej członków do Armii Krajowej, co wiązało się z akcją scaleniową. Niemniej do końca okupacji niemieckiej organizacja „Trzaski” pozostała ważnym elementem konspiracyjnej mapy Lwowa.

W swoich strukturach miała ona grupę bojową, jednak przede wszystkim prowadziła aktywną działalność polityczną, w kilku czasopismach podziemnych upowszechniając swoje idee i poglądy, m.in. zwracając uwagę na rosnące dla sprawy polskiej zagrożenie sowieckie. Wśród tych gazetek znajdowały się „Komunikat”, a także powstałe nieco później: „Służba Państwu”, „Skrzydła” (przejściowo ukazujące się jako „Czyn”), „SUP”, pod którym to kryptonimem kryły się sprawy ukraińsko-polskie. Powstanie tego małego konspiracyjnego koncernu



RYS. KRZYSZTOF WRZYKOWSKI

Lwów 1945–1946 / Ostatnia konspiracja piłsudczykowska

Lwowski szaniec



Marek Gałęzowski

Po tym, gdy Sowieci po raz drugi zajęli Lwów, w mieście doszło do konfrontacji między NKGB a polskim podziemiem

prasowego było zasługą Jadwigi Tokarzewskiej, która zorganizowała druk i kolportaż piłsudczykowskich wydawnictw. Stryjezna siostra gen. Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza, w czasie wojen o granicę wschodnią Polski sanitariuszka wywodząca się z 5. Pułku Piechoty Legionów, następnie dyrektorka gimnazjum w Busku, w konspiracji była obecna od

początku pierwszej okupacji sowieckiej, posługując się pseudonimem Teresa.

Chociaż zajęcie Lwowa przez Armię Czerwoną nie przerwało działalności organizacji płk. Sokołowskiego, to znacznie zmniejszyło jej rozmach. Ograniczyła się ona przede wszystkim do wydawania „Komunikatu”, redagowanego przez Tokarzewską, której pomagali Jadwiga



Pułkownik Jan Sokołowski

FOT. WIKIPEDIA

Turba i Adam Korkosz. Pismo powielało w mieszkaniu Zofii Hussakowskiej w rejonie ulic Głębokiej i Nabelaka. Kolportowały je głównie kobiety – oprócz Hussakowskiej m.in. nauczycielka Maria Hemerling oraz uczennica Teresa Swodoba. „Komunikat”, w liczbie ok. 200 egzemplarzy, był rozprowadzany nie tylko we Lwowie, lecz także na terenie województwa lwowskiego.

W piśmie propagowano konieczność walki z nową okupacją i piętnowano działalność kolaboracyjną. Między innymi w numerze z 9 lutego 1945 r., który został skonfiskowany przez NKGB, znalazł się na ten temat artykuł „Kłamstwo i zdrada”. Tytuł tekstu lapidarnie oddawał charakter działalności kolaborantów, którzy przybrali miano Związku Patriotów Polskich, gdzie miłość ojczyzny była prawdziwa, ale odnosiła się nie do Polski, jak sugerowała nazwa, ale do Związku Sowieckiego. Piśsudczycy potępili w artykule wystąpienia prasowe owych patriotów sowieckich, w których gorliwie podkreślali oni swoją aprobatę włączenia Lwowa do ZSRS.

Uderzenie NKGB

Sowieci natrafili na ślad organizacji płk. Sokołowskiego we Lwowie bardzo szybko, zapewne jeszcze późnym latem 1944 r. Działania na rzecz likwidacji tego odłamu polskiej konspiracji niepodległościowej były częścią operacji skierowanej przeciwko całości polskiego podziemia na tym obszarze, która nosiła kryptonim Sejm. W pierwszej połowie października 1944 r. aresztowano 18-letniego Henryka Wołoszyna „Konrada” oraz Stanisława Żurakowskiego „Sulimę”. Ten drugi w chwili próby zatrzymania podjął walkę, podczas której zastrzelił żołnierza Armii Czerwonej, a sam został ranny. Miał zostać następnie schwytyany przez dwóch żołnierzy Ludowego WP. Wołoszyn, a najpewniej i Żurkowski byli przetrzymywani w więzieniu przy ul. Łąckiego, w celi o powierzchni ok. 7 mkw., w której przebywało blisko 30 osób. Z relacji „Konrada” wiadomo, że podczas śledztwa był bity, stosowano wobec niego tzw. stojki, czyli wielogodzinne stanie twarzą do ściany, oraz przesłuchania nocne, co – biorąc pod uwagę, że w dzień nie można było spać – było jeszcze jednym rodzajem wymyślnych tortur.

Wkrótce NKGB aresztowało dwóch bliskich współpracowników płk. Sokołowskiego – por. Mariana Mysłakowskiego, dawnego legionistę II Brygady, oraz Stanisława Matusiaka, także byłego legionistę i znanego lwowskiego artystę malarza (oba byli kawalerami Krzyża Niepodległości). Sowieci nie mieli jeszcze wówczas pełnej wiedzy o organizacji piśsudczyków we Lwowie, kilku już aresztowanych łącząc z AK. Było to możliwe dopóty, dopóki milczał na ten temat Stanisław Żurkowski. Jednak 29 stycznia 1945 r. w wyniku aktywnego przesłuchania – jak w sowieckim języku nazywano bicie więźnia – Żurkowski ujawnił nazwiska płk. Sokołowskiego i Zofii Hussakowskiej z zespołu wydającego „Komunikat”.

Hussakowska została aresztowana 8 lutego 1945 r. Podczas rewizji w jej mieszkaniu początkowo nie znaleziono żadnych dowodów jej udziału w konspiracji, a powielacz udało się wcześniej przenieść do mieszkania Zofii Zielińskiej przy ul. Hetmana Tarnowskiego 78. Sama Hussakowska uporczywie zaprzeczała, by prowadziła działalność w podziemiu. Jednak NKGB otrzymało doniesienie, że materiały prasowe KON ukryto w różnych skrytkach rozmieszczonych w mieszkaniu. W czasie powtórnej rewizji odkryto egzemplarze „Komunikatu”, a także wałki do maszyny drukarskiej (rotatora), znaczną ilość woskówki, papieru, farby drukarskiej i innych materiałów do wydawania gazety.

Hussakowska po okazaniu tych przedmiotów przyznała się do działalności, wymuszono też na niej ujawnienie adresu Zielińskiej, pod którym przebywała też Tokarzewska. Została ona aresztowana, a w czasie rewizji Sowieci znaleźli liczne materiały konspiracyjne, wśród których ich uwagę zwróciły szablony z hasłem: „Lwów był, jest i będzie polskim”, przygotowane do rozpowszechniania w mieście. Aresztowanie „Teresy” przyspieszyło podjętą już przez Sokołowskiego decyzję opuszczenia Lwowa, z którego wyjechał wraz z Adamem Korkoszem. Udali się do Krakowa, gdzie kontynuowali działalność

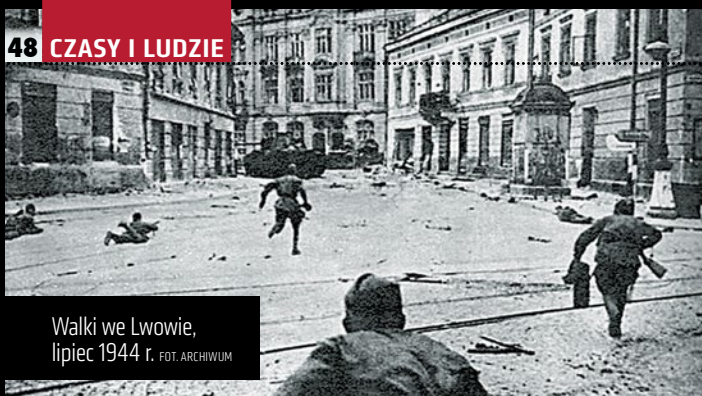
podziemną aż do aresztowania ich przez władze komunistyczne. Za nimi podążyli inni członkowie Wiernych Polsce, m.in. kpt. Franciszek Jeżowski (także dawny legionista), a po nim Teresa Swoboda. Wszyscy mieli dużo szczęścia, gdyż ich nazwiska były już znane NKGB.

Jeżowski został ostrzeżony o groźącym niebezpieczeństwie przez Antoniego Pietruniaka (Pietruniuka), pracownika osłony powielarni i kolportera „Komunikatu”, który jednak sam nie zdołał się uratować, trafiając do sowieckiego więzienia. W rękach NKWD znalazła się też Jadwiga Turba. Więziona przy ul. Jachowicza, ciężko zachorowała i po dwóch tygodniach została przeniesiona do szpitala przy ul. Rappaporta. Uratował ją dr Budzanowski, który podsunął jej zdjęcie rentgenowskie płuc. Wynikało z niego, że jest chora na gruźlicę. Została zwolniona, po czym natychmiast wyjechała ze Lwowa na zachód, by osiąść we Wrocławiu, podobnie jak wielu lwowian zmuszonych do expatriacji.

A jednak wszystkie te represje nie rozbiły jeszcze w pełni organizacji Wiernych Polsce. Redakcja „Komunikatu” została odbudowana, a pismo ukazywało się do końca sierpnia 1945 r. „Szkoda, że nie wiemy, kim byli ci zawzięci i niestrudzeni drukarze” – pisał kiedyś pierwszy badacz lwowskiej konspiracji, jej uczestnik Jerzy Węgierski. Nazwiska niektórych członków tej grupy udało się jednak ustalić. To Maria Żmudzka i Maria Grygłaszewska, jak pisano w sowieckich dokumentach policyjnych, „odbudowały łączność organizacyjną między członkami organizacji. Z utworzonego funduszu pieniężnego wspomagają rodziny aresztowanych. Prowadzą aktywną antysowiecką robotę, rozpowszechniając wśród polskiej ludności różnorodne prowokacyjne wymysły, głównie poprzez nielegalną gazetę”.

Obie panie wspierał Aleksander Rybicki. Wcześniej był on wybitnym oficerem łączności zagranicznej ZWZ, m.in. jako organizator tras kurierskich z Czerniowiec do Bukaresztu, a stamtąd do placówki łączności w Stambule „Bey”. Uwięziony w 1943 r. przez władze rumuńskie, wrócił do Lwowa po zajęciu miasta przez Armię Czerwoną i kontynuował działalność konspiracyjną w czasie drugiej okupacji sowieckiej.

Zasięg ostatnich numerów „Komunikatu” nie był duży, gdyż pisma nie powielano, lecz przepisywano je ręcznie.



Walki we Lwowie,
lipiec 1944 r. FOT. ARCHIWUM



Pozostałości łagru
w Permie FOT. GERALD PRASCHL
WIKIPEDIA, CC BY-SA 3.0

■ W lipcu 1945 r. służby sowieckie ustaliły personalia wspomnianych osób. Brak jednak informacji, czy Gryglaszewska i Żmudzka zostały aresztowane przez Sowietów. Natomiast Rybicki ukrywał się aż do października 1946 r., po czym został aresztowany i skazany na 25 lat łagrów. Numery „Komunikatu” zapisane pięknym, czytelnym, kaligraficznym pismem ocalały i dziś znajdują się w zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej.

„Komunikat” był rozpowszechniany wraz z kilkoma innymi ukazującymi się jeszcze we Lwowie gazetkami polskiego podziemia przez grupę, którą w części tworzyli byli żołnierze AK: Seweryn Tomasik, Witold Tomasik, Krystyna Tomasik (córka Witolda), Anna Kis, Józef Hegediusz, Ludwik Hegediusz i Józef Wojcieszko. Seweryn Tomasik i jeden z braci Hegediuszów mieli również pisać w „Komunikacie”, chociaż raczej pomagali po prostu w przepisywaniu gazetki. Wszyscy trzej i Wojcieszko zostali aresztowani 17 września 1945 r., a wiosną następnego roku otrzymali długoletnie wyroki zesłania.

Ci ostatni kolporterzy piłsudczykowski „Komunikatu”, który zaczęto wydawać w czasie okupacji niemieckiej i kontynuowano pod drugą sowiecką, nie byli już rzecz jasna działaczami konspiracji politycznej, związanej z nazwiskiem Wielkiego Marszałka. Byli to Polacy ze Lwowa, trwający na jednym z ostatnich szczytów obrony miasta zawsze wiernego – tym razem przed komunistycznym zniewoleniem.

Łagry Uralu

Spośród wspomnianych uczestników antysowieckiej konspiracji piłsudczyków najwcześniej zostali osądzeni i skazani: Matusiak, Mysłakowski i Wołoszyn, których w maju 1945 r. z wyrokiem 10 lat łagrów wywieziono na Wschód; pierwszy z nich zmarł jeszcze w tym samym roku w Nowosybirsku. Taki sam wyrok

otrzymała Zofia Hussakowska. Więziona w obozie w pobliżu Połowinki w obwodzie mołotowskim (obecnie permski), na zachodnich stokach środkowego Uralu, wkrótce umarła.

Dziesięć lat w łagrze miała spędzić również Jadwiga Tokarzewska, jedna z najbardziej aktywnych i ofiarnych postaci w dziejach całej konspiracji lwowskiej, poszukiwana kolejno przez NKWD i gestapo. Była więziona w obwodzie mołotowskim (obecnie permskim) w pobliżu Swierdłowska, a od końca 1949 r. w Minłagu – specjalizacji OŁP-2, czyli obozie dla więźniów politycznych o szczególnie zaostrzonych warunkach. Leżał on w pobliżu miejscowości Abież, na południowy zachód od Workuty.

„Abież rozsiadła się w bardzo nieprzychylnym terenie – w krainie za kręgiem polarnym. Niezmierzone, płaskie równiny przerażały monotonią, nie rosły tu żadne drzewa prócz małych, karłowatych brzołek i świerczków. Kępy wysokich traw pokrywały obszary bagienne. Latem, jak okiem sięgnąć, tylko bagna i bagna, zimą – dookoła śnieg kłujący oczy bielą. Każdy silniejszy wiatr podnosił tumany śnieżne, z wyciem skręcał je w trąby, w migotliwe spirale, w długie mleczne pasma. Lato było tu jeszcze krótsze niż w krainach peczorskich, ubogie, surowe i aż do bólu milczące” – opisywała obóz towarzyszska Tokarzewskej Elżbieta Zawadzka.

Uczestnicy lwowskiej konspiracji piłsudczyków opuścili sowieckie łagry w latach 1955 i 1956. Do Polski wrócili wówczas: Jadwiga Tokarzewska, Marian Mysłakowski, Aleksander Rybicki i Henryk Wołoszyn. Rybicki, który przeszedł Workutę, osiadł w Sanoku, gdzie pracował w Muzeum Ziemi Sanockiej, a później założył w tym mieście Muzeum Budownictwa Ludowego i był jego pierwszym dyrektorem. Mysłakowski osiadł we Wrocławiu, gdzie po latach spotkał się z płk. Sokołowskim. Obaj dożyli sędziwego wieku przeszło 90 lat – Mysłakowski zmarł w 1985 r., Sokołowski rok później.

Do końca czynny w oporze wobec komunistów „Trzaska”, w swoim mieszkaniu udzielał schronienia działaczom Solidarności Walczącej, w związku z czym w lutym 1983 r. przeżył szczegółową rewizję SB. Osobistą decyzją Kornela Morawieckiego, który spotkał się z płk. Sokołowskim latem 1985 r., Solidarność Walcząca wydała wspomnienia lidera lwowskich piłsudczyków. On sam do końca życia dawał wyraz nadziei na odzyskanie przez Polskę niepodległości:

„Polska musi dążyć do wielkości. Nasze doświadczenia powinny być pomocne i zachęcające do tego marszu. Żyjemy w czasach triumfującego zła, ale to nie może nas złamać. To przecież Marszałek Piłsudski powiedział: Być zwyciężonym, a nie ulec, to zwycięstwo. Musimy wierzyć, że zło, które nas otacza, niezbyt już długo będzie cieszyć się swoimi zwycięstwami [...]. Duch Piłsudskiego żyje. Jego zwycięstwo nad Czerwoną Armią jest jednym z najbardziej jasnych i oczywistych drogowskazów dla tych, którzy nie zwątpili, że Polska wolna i niepodległa jest możliwa” (cyt. za Antoni Lenkiewicz, „Zapomniany pułkownik”, Wrocław 1992).

Tokarzewska ostatnie lata życia spędziła w Olszynie pod Warszawą, korzystając z opieki kombatantów AK. Henryk Wołoszyn zamieszkał w Żywcu, założył rodzinę i pracował jako technik budowlany. Zmarł w 2012 r.

Wielką niezłomność tych ludzi dobrze oddają słowa Tokarzewskej z 1955 r., kiedy ciężko chora przebywała w domu inwalidów w rejonie zubowsko-polańskim w Mordwińskiej ASRS. Nie tracąc nadziei na powrót do kraju, pisała: „Wszyscy stąd wrócimy, bo tego wymaga sytuacja obecna i obecna racja stanu”. I dodawała: „O sobie mówię jedno: »Na stos rzuciłaś swój życia los, więc trwaj do ostatniego tchnienia«”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN, profesorem Uczelni Łazarskiego.

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
DO
RZECZY



STRAŻNIK PAMIĘCI

2020

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

MECENAS



PARTNER STRATEGICZNY



PARTNER



Ofiary zbrodni UPA w Łataczu

FOT. ZBRODNIAWOLYNSKA.PL

1943 r. / Polacy konali w osamotnieniu

Wołyń zdradzony



Piotr Zychowicz

/ Władysław Studnicki podjął desperackie próby ratowania Polaków przed UPA. Polski germanofil oskarżał AK o bierność wobec ludobójstwa

9 lutego 1943 r. do wsi Parośla na Wołyniu wkroczył oddział UPA. Banderowcy zgromadzili ludność wioski w chatach, skrupowali sznurami i ułożyli na podłogach. Następnie, siekierami, metodycznie zamordowali Polaków. Dorosłych uderzali w głowy ostrzami siekier, a dzieci – obuchami.

Świadkowie, którzy następnego dnia przybyli do wioski, byli wstrząśnięci. Niektóre ofiary zostały „porąbane na sieczkę”. W jednym z domów nie można

było wyrwać noża, którym do stołu przybite zostało niemowlę. W tej szokującej masakrze zginęło 150 Polaków.

Tego dnia rozpoczęło się ludobójstwo polskiej ludności Wołynia i Galicji Wschodniej. Na tym pierwszym terytorium osiągnęło apogeum latem 1943 r. A wiosną kolejnego roku fala krwawych mordów zaczęła rozlewać się na Galicję. Celem operacji UPA była depolonizacja obu spornych terytoriów. Zagłada.

Do Lwowa!

Dla polskiego germanofila Władysława Studnickiego ziemie wschodnie zawsze były najważniejsze. Dlatego natychmiast, gdy stało się to możliwe, pośpieszył do Lwowa. Do miasta dotarł w czerwcu 1943 r.

Ciągnął mnie do Lwowa mój sentyment do tego miasta – wspominał. – Dwa odcinki mego życia przeżyłem we Lwowie: 1901–1905 oraz 1909–1914 r. W pierwszym okresie poznałem i pokochałem Lwów, zwany „pomnożycielem polskości”. To miasto germanizowane, kolonizowane przez urzędników i kupców niemieckich oraz Ormian, wszystkich ich przeobraziło

w najlepszych patriotów. Lwów miał rozległe życie polityczne i temperament polityczny, którym przewyższał wszystkie miasta polskie. Drżałem o Lwów.

Na miejscu Studnicki natychmiast nawiązał kontakt z miejscową polską inteligencją, z przywódcami lwowskich Polaków. Miasto żyło wówczas tylko jedną sprawą – zaostojącym się konfliktem z Ukraińcami.

Studnicki przekonał się, że Niemcy faworyzują tę społeczność kosztem Polaków, co zresztą nie mogło dziwić.

Ukraińcy wciąż proklamowali, że są sprzymierzeńcami Niemiec – pisał Studnicki – że okażą im znaczną pomoc w walce z Sowietami, Polacy zaś głosili, że są nieprzejednanymi wrogami, a prasa podziemna polska chwaliła się ciągle dokonywanym sabotażem, zapisując częstokroć na swój rachunek sabotaż dokonany przez bandy dywersyjne sowieckie.

Ukraińcy swoją uprzywilejowaną pozycję wykorzystywali do rugowania Polaków z Galicji, pozbawiania ich wpływów i wzmacniania swego stanu posiadania. Jednocześnie w szeregach ukraińskich nacjonalistów rodził się plan eksterminacji Polaków.

Gdy Polaków w tym kraju nie będzie – rekonstruował Studnicki rozumowanie ukraińskich radykałów



na Wołyniu – uda się skłonić Niemców do zgody na stworzenie oddziałów samoobrony. Uzbrojonej przez Wehrmacht organizacji paramilitarnej, która chroniłaby polską ludność cywilną.

Polski germanofil uważał, że pozyskanie galicyjskich Polaków do tej koncepcji nie będzie trudne, niemiecka polityka okupacyjna na tym terenie nie była bowiem tak represyjna jak w pozostałych częściach Generalnego Gubernatorstwa.

Choć podczas okupacji niemieckiej byliśmy pokrzywdzeni – wspominał Studnicki – jednak ludność Polski odczuwała pewną ulgę i wrocie usposobienie do Niemców było tam znacznie słabsze niż w tej części Generalnej Guberni, która nie poznała jeszcze okupacji sowieckiej. Ludność polska rozumiała i odczuwała, że w Galicji głównym jej wrogiem są Ukraińcy. Oni to w okresie okupacji sowieckiej byli ostrym narzędziem dla tępienia polskości, oni dokonywali rzezi na Wołyniu i przygotowywali się do rzezi w Galicji Wschodniej. Rosja bolszewicka była wrogiem nr 2, Niemcy wrogiem nr 3.

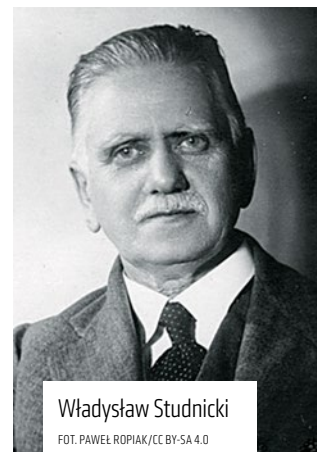
Na pomoc AK Studnicki nie liczył. Zawiodła ona bowiem całkowicie na Wołyniu, gdzie nie broniła ludności cywilnej przed pogromami. Jego zdaniem wpływało to z proukraińskiego nastawienia kierownictwa Polskiego Państwa Podziemnego.

Już się lała krew polska wskutek rzezi dokonanej przez Ukraińców – wspominał – a prasa podziemna pisała o przymierzu polsko-ukraińskim. Tak, to była głupota potęgowana przez Delegaturę i naczelne władze AK. W okrutny sposób mordowano nie tylko mężczyzn, ale i kobiety i dzieci, przy czym w rozmaity sposób dręczono: obcinano języki, wyłupywano oczy. W wielu wypadkach napadano na kościoły, gdy te były przepełnione modlącą się ludnością. Rzucano w modlących się granaty ręczne, a do wychodzących z kościoła skierowywano ogień karabinów maszynowych. Czasem podpalano kościoły i mordowano wychodzących z kościoła. O wszystkich tych wypadkach milczała prasa podziemna w Warszawie. Znajdowały się one bowiem w sprzeczności z sugestionowaną ideą przymierza polsko-ukraińskiego. Warszawa o dokonywanych mordach nie wiedziała.

Dajcie nam broń!

Informacje Studnickiego były bardzo precyzyjne. Po przyjeździe do Lwowa udał się do siedziby miejscowej Rady Głównej Opiekuńczej. Zastał przed nią tłumy uchodźców, którzy uciekli z wiosek spalonych przez banderowców. Otoczyli go oni zwartym kołem i ze szczegółami opowiadali mu o horrorze, którego byli świadkami.

Aby ratować rodaków, Studnicki postanowił zwrócić się do Niemców o wydanie im broni. Okazało się jednak, że wystąpiła o to już Rada Główna Opiekuńcza. Niemcy się zgodzili, ale inicjatywę zablokowało... polskie podziemie! Wolało ono, aby polscy chłopcy ginęli z rąk banderowców, niż żeby Polacy „skompromitowali się” przed Brytyjczykami współpracą z Niemcami.



Władysław Studnicki

FOT. PAWEŁ ROPIAK/CC BY-SA 4.0

Do zorganizowania samoobrony nie doszło – relacjonował Studnicki – gdyż zjawił się komendant AK i zawiadomił, że „jeżeli będziecie robili samoobronę przy pomocy Niemców, to my was wystrzelamy”.

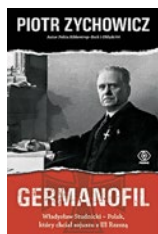
– To brońcie nas sami – powiedział dyrektor lwowskiego RGO.

– AK istnieje dla obrony państwa, a nie dla obrony jednostek.

Nie dopuszczając samoobrony i nie organizując samodzielnej obrony, AK ponosi moralną odpowiedzialność za 100 000 zamordowanych Polaków i 500 000 wyrzuconych z siedzib rodzimych.

Zdumiony i rozgoryczony postawą podziemia był także prezes RGO Adam Ronikier, który wynegocjował z niemieckimi władzami zgodę na stworzenie polskich formacji samoobrony i wydanie im broni oraz amunicji z magazynów Wehrmachtu. Był pewien, że w ten sposób uratował tysiące rodaków przed śmiercią. Weto Delegatury Rządu na Kraj spadło na niego jak grom z jasnego nieba. Dla starego arystokraty było to szokiem.

Gwałty i morderstwa dokonywane na Polakach z dniem każdym przybierały na sile i barbarzyńskich formach – wspominał Ronikier. – Topniał stan posiadania polskiego w tej odwiecznej do Polski należącej ziemi, a panowie z Delegatury, nie pozwalając nam na organizowanie obrony, nie raczyli myśleć o tym, że złemu trzeba było przynajmniej próbować zaradzić, a nie zostawiać te rzesze polskie na Kresach bez



PIOTR ZYCHOWICZ
„GERMANOFIL”

REBIS

– a będą tylko Ukraińcy, bez względu na to, jakie mocarstwo będzie decydowało o losie tego kraju, przynęca go Ukraińcom.

Polski germanofil ze zgrozą przyjął wieść o tym, że na Wołyniu trwa właśnie rzeź Polaków. Że polskie wioski są wyrzynane przez oddziały UPA i ukraińskich cywili uzbrojonych w cepy, widły i siekiery. Jedyną pociechą było to, że w niektórych częściach Wołynia skuteczną walkę z banderowcami podjęła polska samoobrona, która – jak podkreślał Studnicki – „powstała za zgodą władz niemieckich i one ją uzbroiły”.

Studnicki przewidywał, że prędzej czy później również Polacy z Galicji Wschodniej staną przed groźbą zagłady. Do tego nie można było dopuścić! Studnicki miał nadzieję, że – tak jak

■ **żadnej pomocy. Trzeba było działać, a nie przyglądać się suchym okiem dziełu zniszczenia odpychającego granicę Polski na zachód.**

Ostatecznie z powołania większych polskich jednostek zbrojnych na terenie Galicji Wschodniej nic nie wyszło. Skończyło się to tak, jak można było przewidzieć. Wiosną i latem 1944 r. fala zbrodni doszła pod Lwów. Ukraińscy nacjonaliści bestialsko wymordowali kolejne tysiące bezbronnych Polaków. Znowu przy biernej postawie miejscowej AK, która wołała zachować siły do akcji „Burza”. Czyli do współpracy z wkraczającymi do Polski bolszewikami.

III Rzeszy wobec Słowian jest samobójczym absurdem.

Przed spotkaniem Studnicki posłał mu egzemplarz swojej książki „System polityczny Europy”. Oczywiście z dedykacją.

Przyjął mnie bardzo uprzejmie – wspominał Studnicki – bardzo chwalił książkę, zapytywał, czy posłałem kiedy tę książkę Führerowi. Powiedziałem, że doręczyłem mu ją w Norymberdze, gdzie byłem w charakterze gościa honorowego na Parteitagu. Mówiłem o międzynarodowym znaczeniu Galicji Wschodniej, o tym, że przygotowuję ten kraj dla Ukraińców, zagrażając Austrii i całej środkowej Europie.

Potem przeszedłem do sprawy rzezi. Wächter upewnił, że jest obecnie przytłumiona, że cofanie się frontu

samoobrony. Generał SS upewnił, że polska samoobrona, działająca bez formalnego pozwolenia, nie jest i nie będzie prześladowana. Wszystko to było za późno.

Rozmowy prowadzone przez Studnickiego były bardzo uważnie śledzone przez podziemie. Już 30 czerwca 1944 r. Bolesław Stachon „Zbrozek”, naczelnik wydziału informacji lwowskiej Delegatury Rządu na Kraj, wysłał następujący meldunek do Warszawy:

Już drugi raz w ciągu roku zwiedza Lwów Władysław Studnicki. Owocem jego poprzedniej bytności na naszym gruncie była znana, wydana w 1943 roku, broszura o rządach Rosji sowieckiej we wschodniej Polsce.

Obecnie zajmuje go sprawa ukraińska. Opowiada, że był w tych dniach u Wächtera i szefa SS i policji, gen. Thiera.

Na skargę Studnickiego, że Ukraińcy wymordowali na ziemiach wschodnich 200 000 Polaków, Wächter zaprzeczył, twierdząc, że cyfra ta wynosi najwięcej 30 000–40 000, a szef SS i policji określił ją na maksimum 100 000 (!). Obydwaj obiecali, że właśnie myślą o stworzeniu w Galicji polskiego Selbstschutzu (samoobrony).

Wracając do Warszawy, Studnicki zatrzymał się w Krakowie. Tam, w asyście hrabiego Adama Ronikiera, udał się do kolejnego oficera SS, nowego szefa gestapo w Generalnym Gubernatorstwie, Obersturmbannführera Hansa Schindhelma. Cel spotkania był ten sam: skłonienie Niemców do powstrzymania ludobójstwa i wydanie broni Polakom.

Przybyły ze Lwowa w dniu 21 czerwca profesor Władysław Studnicki – wspominał hrabia Adam Ronikier – opowiadał nam swe wrażenia i poczynione kroki dla ukrócenia hajdamaków ukraińskich. Zdawało mu się, że uzyskał u władz zrozumienie niebezpieczeństwa tkwiącego w judzeniu jednych przeciw drugim i konieczności ostrych zarządzeń dla wstrzymania ciągle trwających rzezi.

Akcję ratowania Polaków z ziem południowo-wschodnich Studnicki prowadził dwutorowo. Z jednej strony czynił zabiegi u władz niemieckich, a z drugiej – starał się przekonać władze podziemne do zmiany dotychczasowej, fatalnej koncepcji politycznej.

Po powrocie do Warszawy – pisał – domagałem się wysłania oddziałów AK do Galicji Wschodniej dla obrony życia i mienia polskiej ludności. Wiedziałem, że jest parcie do powstania. Otóż usunięcie oddziałów AK z Warszawy uniemożliwiłoby powstanie.

Rzeczywiście realizacja takiego programu miałyby wręcz zbawienne skutki. Uratowałyby tysiące Polaków przed drastyczną śmiercią w banderowskich pogromach, a zarazem uchroniłyby Warszawę od powstańczej hekatombi.



Wizyta Ottona Wächtera, gubernatora Dystryktu Galicja, w ukraińskiej wsi. FOT. NAC

Studnicki – mimo że wiedział o niepowodzeniu Ronikiera – postanowił podjąć jeszcze jedną próbę skłonienia Niemców do pomocy Polakom. Sytuacja była bowiem rozpaczliwa, a on, w przeciwieństwie do szefa RGO, nie zamierzał przejmować się zdaniem podziemia.

W efekcie w czerwcu 1944 r. ponownie wyjechał do Lwowa. Spotkał się tam z gubernatorem Dystryktu Galicja, Ottonem Wächterem. Był to rozsądny człowiek, który zdawał sobie sprawę, że rasistowska polityka

wywołała pewną dezorganizację władzy, następnie wyrażał ubolewanie, że nie zamieszkałem we Lwowie. Zwróciłem mu uwagę, że dyrektor Rady Opiekuńczej jest bardzo rzeczowym i rozumnym człowiekiem i że szkoda, że jego postulaty tak często były nieuwzględniane.

– Tak. Oni przychodzą z każdą poszczególną sprawą – odparł Wächter – pan z całą koncepcją polityczną.

We Lwowie Studnicki spotkał się jeszcze z SS-Brigadeführerem Theobaldem Thierem, odpowiedzialnym za bezpieczeństwo i zwalczanie partyzantki.

Powiedziałem, że gdy nie mogą przeciwdziałać skutecznie terrorowi ukraińskiemu – relacjonował Studnicki – niech dadzą carte blanche Polakom co do

Niestety – wojskowe kierownictwo podziemia miało diametralnie odmienne plany.

Polak – Węgier...

Studnicki zabiegał również o pomoc u Węgrów. Podczas jednej ze swoich wojennych podróży do Lwowa nawiązał kontakt z madziarskimi oficerami. Ich oddziały stacjonowały na terenie Galicji Wschodniej i Wołynia. Niektórzy Węgrzy chętnie sprzedawali Polakom karabiny i granaty, chronili polskie wioski przed banderowcami. Inne węgierskie jednostki zachowywały jednak wobec Polaków dużą rezerwę.

Chcąc to zmienić, Studnicki wybrał się do Stryja na pertraktacje z miejscowym węgierskim dowództwem.

Udałem się do komendy węgierskiej. Rozpocząłem rozmowę z komendantem. Komendant mi potakiwał. Wówczas powiedziałem:

– Teraz nas Ukraińcy wyrzynają. Czemu nas nie bronić?

– Nie jesteśmy tu gospodarzami kraju, lecz gdy łapiemy na gorącym uczynku bandę ukraińską, to ją rozstrzelujemy.

– My chcemy, ale nie możemy zorganizować samoobrony. Brakuje nam broni, dajcie ją nam.

– Nie możemy tego uczynić – odparł węgierski oficer i wyciągnął tłumaczenie węgierskie z polskiej prasy podziemnej o zepsuciu toru kolejowego, spalaniu składu itp. Otóż tym sabotażem pomagacie Rosji sowieckiej, z którą my walczymy. Jaką pan może dać gwarancję, że ta broń, którą my wam damy, nie będzie zużyta na akcję sabotażową?



Pomnik Rzezi Wołyńskiej, Warszawa

FOT. APILEK/WIKIPEDIA, CC BY-SA 3.0

Gwarancji dać nie mogłem. Broni więc nie otrzymaliśmy, a akcja sabotażowa dawała pretekst dywizji ukraińskiej do palenia polskich osiedli leżących nieopodal dokonanego sabotażu.

Tą dywizją była oczywiście 14. Dywizja Grenadierów Waffen-SS „Galizien”. W jej skład weszli m.in. ukraińscy żołnierze niemieckiego 4. Pułku Policyjnego SS, którzy 28 lutego 1944 r. bestialsko wymordowali mieszkańców Huty Pieniackiej. Wieś ta – w której stacjonował oddział AK – udzielała schronienia bolszewickim partyzantom ze zgrupowania pułkownika NKWD Dmitrija Miedwiediewa.

Współdziałanie polskiego podziemia z bolszewikami, które tak potępił Studnicki, zaczęło przynosić coraz bardziej katastrofalne skutki dla polskiego stanu posiadania.

Wśród Polaków pogłębia się przygnębienie i niepokój – czytamy w meldunku Delegatury Rządu

na Kraj z 26 kwietnia 1944 r. – Bezpośrednią tego przyczynę stanowił nakaz współpracy AK z armią sowiecką. Koła polskie Ziemi Wschodnich wygłaszają pogląd, że fakt ten pogorszył położenie ludności polskiej. W miarę zbliżania się frontu bolszewickiego Niemcy starali się zjednać sobie ludność polską i stwarzali możliwości obrony przeciw terrorowi ukraińskiemu, w wielu wypadkach dając polskim mieszkańcom broń i amunicję.

Ogłoszenie współpracy z Sowietami spowodowało odebranie broni polskim bazom samoobrony z obawy wykorzystania jej przeciwko Niemcom. Krok ten uznaje się jako pozostawienie Ukraińcom wolnej ręki wobec ludności polskiej. Wobec braku szeroko pojętej przeciwwakcji polskiej i większych oddziałów polskich na ziemiach objętych mordami sytuacja Polaków jest niemal beznadziejna.

„Ofiarujemy Sowietom współpracę Armii Krajowej, która nie jest zdolna zabezpieczyć życia i mienia ludności polskiej wobec Ukraińców – mówi memoriał Polaków z prowincji lwowskiej. – Gdyby nawet trzeba dla pozyskania Niemców wprowadzić milczącą stan zawieszenia broni między nami a Niemcami w formie biernej lojalności, to pożytek byłby wielokrotnie większy niż straty, jakie ponosimy”.

W przyszłości należy przewidywać całkowitą likwidację elementu polskiego na Kresach Wschodnich. Memoriał kończy się stwierdzeniem, że społeczeństwo polskie, dotychczas karne i pełne zaufania do poczyniń i wskazań Rządu Polskiego, przeżywa kryzys zaufania.

Trudno się dziwić, że w takich warunkach akcja Studnickiego zmierzająca do ratowania substancji biologicznej narodu polskiego była skazana na fiasko.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



**MALUCHEM
DO RAJU,**
CZYLI
PRL RODEM Z FILMÓW
STANISŁAWA BAREI...

BELLONA

REKLAMA

Cortés podczas ataku na stolicę
Azteków – Tenochtitlán

FOT. WIKIPEDIA



XV–XVI w. / Międzykontynentalna wymiana zaraźliwych chorób

Kiła pomściła ospę

Akurat w latach 2019–2021 miją równe pół tysiąclecia od wyprawy Hiszpanów na państwo Azteków (dziś Meksyk) pod wodzą Hernána Cortésa. Stało się to dokładnie ćwierć wieku od zawarcia pod auspicjami papieża układu w Tordesillas (1494), dzielącego Nowy Świat niejako „w ciemno” między Hiszpanię a Portugalię wzdłuż południka biegnącego 1184 mile na zachód od Wysp Zielonego Przylądka. Mijało wtedy 27 lat od pierwszej wyprawy Kolumba (1492) i od zawleczenia za Atlantyk zabójczych dla Indian, zaraźliwych chorób – zwłaszcza ospy. W ciągu życia jednego pokolenia liczba autochtonicznej ludności Ameryki Środkowej i Ameryki Południowej zmalała przynajmniej o trzy czwarte...

Od schyłku XV w. uczestnicy pierwszych wypraw wracają na Stary Ląd. Zza



Maciej Rosalak

/ Moment, gdy ospa trafiła na ląd amerykański, nadszedł dokładnie pół tysiąca lat temu, podczas krwawych walk w stolicy Meksyku...

oceanu przywożą – jakby w zamian za tamte zaraźliwe wirusy i bakterie, ale też jako karę za nie – inny patogen. A mianowicie bakterię niebezpiecznej choroby roznoszonej drogą płciową, czyli kiły zwanej również syfilisem.

Zaraza z Europy

Większość kontynentu obu Ameryk znalazła się w XVI w. w rękach Hiszpanów i Portugalczyków, do których

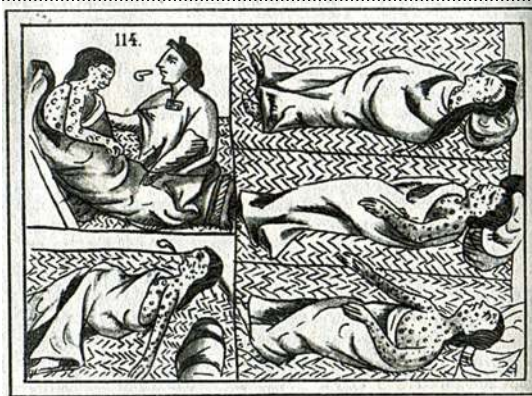
w następnym stuleciu dołączyli Anglicy, Francuzi i Holendrzy. Kilkuwiekowa propaganda anglosaska, która katolicką Hiszpanię od wypraw Cortésa i Francisca Pizzara (w latach 30. XVI w. podbił państwo Inków, zaczynając od Peru – patrz „HDR” nr 90) oskarża o wszystko co najgorsze, stara się natomiast nie wspominać o nie mniej przerażających efektach podboju Ameryki Północnej. Z początkiem XVII w. podbój ten przedsięwzięli Anglicy, ruszając od atlantyckiego wybrzeża tego kontynentu, a z końcem

XIX w. sfinalizowali Amerykanie nad Pacyfikiem (kończąc tam zresztą również władzę Hiszpanów). Wedle najbardziej ostrożnych szacunków z ok. 1,3 mln Indian (nie licząc kręgu arktycznego), którzy żyli w Ameryce Północnej na początku kolonizacji anglosaskiej, po upływie ponad 300 lat jej trwania, naszych czasów dożyło niespełna ćwierć miliona.

Zauważmy, że w Ameryce Południowej – licząc bez Meksyku i innych krajów Ameryki Środkowej – pod koniec bieżącej dekady mieszkało ponad 32 mln Indian. Z krajami Ameryki Środkowej, gdzie żyją m.in. potomkowie Majów i Azteków, drugie tyle! W dwóch krajach – gdzie akurat żyli Inkowie! – rdzenni mieszkańcy stanowią największe grupy etniczne. To Peru (45 proc.) i Boliwia (62 proc.). A wracając do Ameryki Środkowej, rdzenną ludność samego Meksyku oblicza się obecnie na ponad 21 mln, czyli 10 proc... Nawet pomijając ogromną liczbę ludzi z mieszanymi (w różnych konfiguracjach rasowych) małżeństw, w których żyłach płynie domieszka krwi indiańskiej, liczba potomków samych Indian i tak przekroczyła znacznie liczbę swych prekolumbijskich przodków. Nie da się tego powiedzieć w odniesieniu do anglosaskiej Ameryki Północnej.

Jedno na pewno łączy podboje obydwu Ameryk. Liczni Indianie i tu, i tam ginęli od przewagi oręża – hiszpańskich rapierów i arkebuzów oraz anglosaskich strzelb czy w XIX w. rewolwerów i karabinów powtarzalnych. Jednak przytłaczająca większość z nich – i tu, i tam – traciła życie w wyniku nieznanym im przedtem chorób epidemicznych, przy jednoczesnym, drastycznym pogorszeniu warunków bytu.

Moment, gdy oспа trafiła z Karaibów (gdzie wcześniej już wybuchały epidemie) na stały ląd amerykański, nadszedł pół tysiąca lat temu, w drugim roku niezwykle zaciętych i krwawych walk w Tenochtitlán (dziś – miasto Meksyk). Jeden z ludzi Cortésa zakaził się na Kubie od afrykańskiego sługi i gdy powrócił do Tenochtitlán, przywłókł ze sobą chorobę. Chory na ospę Hiszpan stracił życie podczas boju, ciało przesyłali Aztekowie i zostali zainfekowani. Do sierpnia 1521 r., gdy stolica Azteków definitywnie padła, oспа zabiła większość azteckich



wojowników, wraz z nowym (po Montezumie) władcą, a rychło ponad 75 proc. ludności Meksyku.

Hiszpański ksiądz opisał to tak: „Jako że Indianie nie znali lekarstwa na chorobę, umierali gromadnie, umierali jak pluskwy. Nierzadko zdarzyło się, że każdy z domu umarł i że niemożliwe było zakopać martwe ciała; zawałano ich domy, żeby stały się ich grobowcami”. Wygłodzeni do cna i wyniszczeni ospą Aztekowie stawiali słaby opór, więc szybko stali się ofiarami potwornej rzezi. W Tenochtitlán Cortés stwierdził, że oспа zabiła więcej Azteków niż armaty. Aztekowie mówili, że nie można było przekroczyć ulicy bez stąpania po ciałach jej ofiar. Ospa, gruźlica, grypa zdziesiątkowały ludność tubylczą. Przed konkwistą na terenie dzisiejszego Meksyku żyło ok. 25 mln ludzi, a w 1548 r. – 6,3 mln.

Już w 1633 r. w Plymouth tamtejszych Indian zaatakował przeniesiony z Karaibów wirus ospy, który położył wszystkich trupem. Trzy lata później całe wioski Irokezów żniwo śmierci wyludniło w okolicach jeziora Ontario. Najbardziej znane epidemie ospy prawdziwej wybuchły w Bostonie, nekąnym od 1636 do 1698 r. aż sześcioma falami zarazy. Choroba rozprzestrzeniała się najpierw wśród białych mieszkańców, ale rychło – z jeszcze bardziej zabójczym skut-

kiem – dotykała czerwonych. Kiedy w 1721 r. nastąpiło najmocniejsze uderzenie epidemii, wszyscy mieszkańcy uciekli z miasta, przynosząc tym samym wirusa do pozostałych 13 kolonii, a następnie racząc nim większość indiańskich plemion Wschodniego Wybrzeża.

Wyginęły niemal całkowicie liczne plemiona zamieszkujące Florydę. W Nowej Anglii do połowy XVIII w. zmarło z powodu chorób prawie 80 proc. populacji Indian. Ospa wyniszczyła też połowę licznego plemienia Cherokee. Nie trzeba było kontaktu osobistego między ludźmi. Wymieniano zakażone towary, szczególnie tkaniny i przedmioty codziennego użytku. Odbывало się to na ogół bez celowego działania kolonistów.

Zdarzały się jednak wyjątki, choćby w 1763 r. pod Fort Pitt. Otóż podczas wojny konfederacji indiańskich plemion pod wodzą Pontiac przeciw białym zdarzył się ów jeden historycznie potwierdzony i udo-

wodniony wypadek, kiedy to najeźdźcy celowo – perfidnie i zbrodniczo – użyli zarazków śmiertelnej choroby, aby zabić tubylców. Oficer armii brytyjskiej Jeffrey Amherst nakłonił płk. Henry'ego Bouquet, by ten dostarczył Indianom, atakującym ich w pobliżu Fort Pitt, koce i chusty używane wcześniej przez chorych i zakażone przenoszonymi przez nich patogenami. Były to wirusy ospy.

Spośród identyfikowanych dziś ok. 200 plemion północnoamerykańskich Indian, liczących niegdyś od kilku do kilkudziesięciu tysięcy członków, pozostały śladowe resztki.

Bezwstydny Stary Kontynent

Wyprawą króla Francji Karola VIII do Włoch po Królestwo Neapolu rozpoczęły się w 1494 r. trwające kilkadziesiąt lat tzw. wojny włoskie. Wielkie armie przemieszczały się po ziemiach całej Italii, a żołnierze najemni z różnych stron Europy Zachodniej wracali po kolejnych bataliach do rodzimych krajów. Akurat wtedy też wracali spoza Atlantyku coraz liczniejsi żeglarze i wojacy, którzy brali udział w kolejnych wyprawach odkryw-
czych. Po przybyciu ze swej pierwszej

■ wyprawy transatlantycznej Kolumb wylądował w Barcelonie już 15 marca 1493 r. Jednym z efektów (a właściwie – defektów) wyprawy zajął się Ruy Díaz de Isla w „Rozprawie przeciwko gryzącej chorobie, która przyszła z wyspy Hispanioli” (czyli z Haiti).

Zdobywcy bezwiednie przywozili bowiem ze sobą niewidocznego gołym okiem krętka bladego, czyli pasożytniczą bakterię spiralną wywołującą syfilis (inaczej: kiłę), a przenoszoną drogą płciową. Rozpowszechniona teoria głosi, że nosicielkami tej choroby były południowoamerykańskie kobiety; u nich miała przebieg łagodny, natomiast u zarażonych przez nie Europejczyków – gwałtowny i groźny. Twierdzi się także, że syfilis istniał w Europie od wieków, a właśnie pod koniec XVI stulecia zmutował do szczególnie zjadliwej postaci. Może jednak taka reakcja zachodziła tylko u Europejczyków po zetknięciu z południowoamerykańską jego wersją?

Ponad 30-tysięczne wojsko Karola VIII znawcy nazywają pierwszą nowoczesną armią. Na dużą skalę koordynowano w niej działania artylerii, piechoty i kawalerii. Artyleria została zmodernizowana, wyposażona w bardziej skuteczny oręż oraz regulamin działań na polu bitwy. Szkoda, że żołnierzy nie pouczono o konieczności zachowania ostrożności na polu ars amandi. Cóż, ani król, ani dowódcy, ani zresztą nikt inny nie wiedział wtedy, jaką pokutą zaczęły grozić miłosne igraszki z przygodnie spotykanymi osobami, czyli łamanie szóstego przykazania.

Choroba, mająca cechy epidemii, rozpoczęła się z końcem lutego 1495 r. podczas 80-dniowej pijackiej orgii w zajętej i nader gościnnym (jeśli chodzi o damy) Neapolu. Żołdacy włamywali się do klasztorów, aby zgwałcić szukające tam schronienia kobiety. Pamiętajmy, że niemal dwa lata wcześniej pojawili się na Starym Kontynencie uczestnicy pierwszej wyprawy Kolumba. I tak zwyrodnieniowa choroba o groźnych dla życia następstwach zadziwiająco szybko rozprzestrzeniła się wśród ludności cywilnej oraz żołnierzy – zwłaszcza francuskich – i marynarzy statków zawijających do europejskich portów.

Zaczęto łączyć następujące po sobie zdarzenia: gwałty zadawane kobietom na nieznanym wcześniej lądzie przez zdobywców; ich romanse, a szczególnie



Kampania przeciw zarażeniom syfilisem podczas drugiej wojny światowej FOT. DOMENA PUBLICZNA

odwiedziny u pań wiadomej profesji po powrocie do Europy; kontakty najemników francuskich z tymi paniami we Włoszech; dalsze poróbstwo we Francji, w Hiszpanii, Niemczech itd. Najczęściej spotykana łacińska nazwa owej przypadłości brzmiała: morbus gallicus – choroba francuska. We Francji opatrywano ją jednak przymiotnikiem – neapolitańska, w Portugalii – kastyljska, w Rosji – polska, w Persji – turecka... zależnie od tego, skąd ją przywleczono. Toteż najpopularniejszą nazwą w Polsce stała się choroba francuska, zwana popularnie francą.

Pierwszą znaną ofiarą kiły padł 4 maja 1519 r. 27-letni zaledwie władca Florencji – Wawrzyniec II Medyceusz, którego córka urodziła się zaledwie trzy tygodnie przed jego śmiercią. W przyszłości – jako żona Henryka II Walezjusza – została królową Francji, a do historii przeszła jako złowroga dla otoczenia Katarzyna Medycejska. Czy była dziedzicznie obciążona syfilisem, co zdarza się przy tej chorobie? Nie dowiemy się tego. Miała wprawdzie wyłupiane oczy, ale przeżyła 70 lat. Piękny wiek jak na te czasy...

Nie wszyscy zarażeni oczywiście umierali, wielu męczyło się z tą przypadłością długo, aż do śmierci... na przykład z powodu innej z zaraz, które buszowały wtedy po świecie, lub złej diety i opilstwa czy od oręza. Chorowali na kiłę król angielski Henryk VIII, król francuski Franciszek I, a także Jagiellonowie: Jan I Olbracht (1459–1501), Fryderyk (1468–1503, kardynał) i Aleksander (1461–1506). Zauważmy, że żyli, kolejno: 42 lata, 35 lat, 45 lat. Tak wielu przedstawicieli najwyższych warstw społecznych chorowało w wiekach od końca XV do

XVII na kiłę, że nasuwa się wniosek o rozwiązalność będącej rozpowszechnionym stylem życia. I o powszechności choroby, która nierzadko latami trwała w stadium utajonym.

Pierwszy nasz król elekcyjny – Henryk I Walezy – przyjechał do Polski z francją, o którą nietrudno było na dworze francuskim. Mógł ją też odziedziczyć. Rychło zabrał ją tam z powrotem podczas swej słynnej ucieczki, aby zająć opróżniony tron francuski. Nie wiadomo, ile pań i panów zdążył tam zarazić, nim ugodził go sztyletem fanatyk w dominikańskim habicie. Czasu i sposobności miał jednak sporo, bo zanim otrzymał śmiertelny cios, jako Henryk III panował we Francji 14 lat.

W XVII stuleciu na tę przypadłość cierpieli Jan II Kazimierz oraz Jan III Sobieski. Był to prawdopodobnie największy zdrowotny problem naszego wielkiego króla i wojownika, leczzonego rtecją całe dziesięciolecie. Miało to fatalny wpływ na stan nerek, o czym świadczą liczne objawy, na które skarżył się nawet w listach do Marysieńki, sprawozdania lekarzy i osób będących na dworze podczas ostatnich dni życia króla, jak również protokoły sekcji jego zwłok. Chorobą – która pośrednio spowodowała jego zgon w 67. roku życia – zaraził się zapewne od ukochanej żony, a ona nabawiła się syfilisu od pierwszego męża Jana Zamoyskiego „Sobiepana”. Ten zaś zmarł właśnie na kiłę, a żadne z ich czworga dzieci nie doczekało się dorosłości. Dotyczy to także aż dziewięciorga dzieci (z 13), które przyszły na świat w małżeństwie z Sobieskim...

Z przełomu XIX i XX w. nieodżałowanym, wielkim twórcą, który umarł z powodu syfilisu w wieku zaledwie 38 lat, był Stanisław Wyspiański. Zaraził się nim między 1895 a 1898 r. – podobno od dziewczyny pracującej w drukarni. Później zdarzało się, że tracił przytomność i dotykał go paraliż. W 1905 r. zasnął w teatrze podczas premiery. Skutkami były: pogłębienie paraliżu palców u prawej ręki, wrzody, niezagojone rany, kłopoty ze snem i z przełykaniem. Zmarł 28 listopada 1907 r. Ilu wspaniałych dramatów nie zdążył napisać, ilu cudownych obrazów, akwarel i pastelii nie namalował, ile nie powstało projektów związanych z ukochanym Krakowem...

I w ubiegłym stuleciu kiła zabierała przedwcześnie znanych ludzi. Niektórych żałować nie trzeba. Szybki uwiad fizyczny i umysłowy 50-lletniego Włodzimierza Lenina na początku lat 20. wskazuje na działanie syfilisu, którym mógł się zarazić w pierwszych latach XX w., gdy opuścił Rosję i udał się na Zachód. Wiadomość o potwierdzających kiłę wynikach sekcji jego zwłok w 1924 r. pochodzi od słynnego fizjologa rosyjskiego Iwana Pietrowicza Pawłowa, który powiedział: „Rewolucji dokonał szalenie z syfilisem mózgu”.

Natomiast Adolf Hitler miał się zarazić kiłą w 1908 r., przed pierwszą wojną światową w Wiedniu. Tak twierdził – wedle Szymona Wiesenthala – wspierający Hitlera już w czasach puczu monachijskiego Ernst Hanfstaengl, zwany pieszczotliwie „Putzi”. Chorowanie na kiłę zdają się potwierdzać zatrudnienie w latach 30. jako prywatnego lekarza syfilologa Theo Morella oraz wyraźne objawy niezrównoważenia emocjonalnego, a nawet szaleństwa Hitlera, coraz częstsze z upływem lat.

Rtęć i penicylina

Syfilis (inaczej – kiła) pozostawał do czasów HIV najgroźniejszą chorobą weneryczną. Bywał na ogół rozpoznawany po wystąpieniu zmian skórnych w okolicach narządów rodnych. Występował w różnych odmianach i stadiach rozwoju, a zabijał, atakując na przykład system nerwowy i od zapalenia opon mózgowych prowadząc do uwiadu rdzenia. Celnie opisuje kiłę anonim z początku XVIII w.:

*Venus zdradliwa rozkosz cukruje,
Wkrótce nad kata ciało morduje
Uprzyksozneni, zbyt bolesnemi
Wrzody, guzami zaraziłwemi...
Usta wyrzuca y podniebienie,
Mowę odmienia jej zarazienie...
Rękom y nogom władzę odjęła,
Wszystkiego człeka w niewolę wzięła...
Zmieszała głowę, snu nie pozwoli,
Sumienie gryzie dla swojej woli.
O jak mizerna uciecha ciała,
Niejednemu się we znaki dała.
(Ten i następny cytat za Wikipedią)*

Leczono tę przypadłość na różne domorosłe sposoby, takie jak wkładanie natartego rtęcią człeka do pieca. Po

wielu próbach zakończonych śmiercią chorego nieszczęśnika w końcu rtęć istotnie okazała się pomocna, ale jako podstawowy składnik tzw. szarej maści, którą smarowano syfilityczne ropnie, krosty i wrzody oraz wszawicę łonową. Jak to ujęto w przeboju z czasów wojny:

*Najlepsza jest szara maść,
nie trzeba jej dużo kłaść.
Nacierać wszędy,
aż zginą mendy...*

Aż do zastosowania w 1947 r. penicyliny – a potem innych rodzajów antybiotyków – stanowiła podstawowy środek terapeutyczny, a i dziś stosuje się ją podobno w leczeniu zamkniętym.



Słoik na leki zawierające rtęć, Włochy FOT. ARCHIWUM

Na początku XXI w. doszło do wzrostu zachorowań na kiłę w świecie zachodnim, z USA i Australią włącznie. Przyczyniło się do tego uprawianie homoseksualnego seksu męskiego, co wynika z publikacji takich autorów jak C.K. Fairley, J.S. Hocking, N. Medland („Syphilis: back on the rise, but not unstoppable”) w fachowym piśmie „Medical Journal of Australia”. Potwierdzały to oficjalne statystyki w Stanach Zjednoczonych. Zjawisko nie ominęło Polski; co roku zaraża się syfilisem ponad pół tysiąca ludzi. Współczynnik zapadalności (niespełna 2 osoby na 100 tys. rocznie) jest jednak u nas niższy niż w innych państwach Europy Wschodniej (5 osób na 100 tys.), a o wiele niższy od Rosji (od 100 do 300 osób na 100 tys.)!

Niespełna 40 lat mija od czasu, gdy świat dowiedział się o chorobie wirusowej, która – niby kara za łamanie praw natury respektowanych jeszcze wówczas w społeczeństwach

zachodnich – poraża ludzi cierpieniami i śmiercią. Oto amerykańskie Centra Kontroli Chorób (ODC) opublikowały w 1981 r. opis rzadko spotykanego rodzaju zapalenia płuc, podobnie jak równie rzadkiego nowotworu, które zaatakowały pięciu homoseksualistów. Przyczyną zachorowań był nieznaną dotąd ludzki wirus niedoboru odporności (skrót nazwy po angielsku – HIV), a choroba przezeń przenoszona otrzymała miano zespołu nabytego niedoboru odporności (AIDS).

W końcu 1981 r. na AIDS chorowało 150 osób, a następnie liczba zachorowań oraz zgonów wzrastała w postępie geometrycznym. Światowa Organizacja Zdrowia podała, że od początku notowań w latach 80. do 2015 r. HIV wywołał chorobę u 78 mln ludzi, z których niemal połowa (35 mln) zmarła. Wedle opublikowanych w ubiegłym roku danych UNAIDS za 2018 r. na całym świecie żyło ok. 38 mln osób zakażonych wirusem HIV (w Polsce – 24 tys.) i ta liczba stale wzrastała. Nie ma jakiegokolwiek skutecznej szczepionki przeciwdziałającej zarażeniu. Prezerwatywa jako środek ochronny też bywa zawodna. Jedynym skutecznym środkiem zapobiegawczym pozostaje unikanie seksu z przypadkowymi osobami, czyli – na przykład – wierność małżeńska. A przynajmniej ograniczenie swobody seksualnej, wynaturzonych praktyk erotycznych i unikanie osobników z grup wysokiego ryzyka.

Cytuję: „Do populacji o zwiększonym ryzyku zakażenia należą homoseksualni mężczyźni, osoby transseksualne, osoby świadczące usługi seksualne, osoby stosujące dożylną narkotyki oraz więźniowie”. Aktywistów ruchu LGBT pragnę uprzedzić, że zdania tego nie wygłoszono z żadnej ambony. Zawiera je raport programu ONZ na temat monitorowania i przeciwdziałania tej epidemii – UNAIDS – z 2016 r.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Na podstawie książki, która właśnie ukazała się w sprzedaży:

MACIEJ ROSALAK
„WIELKIE ZARYZY
LUDZKOŚCI”

FRONDA

Bój pod Doberdó w 1916 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA



XIX–XX w. / Konflikt Włochów i Austriaków w Alpach

Tyrolska ziemia niezgody



Piotr Semka

Austriacy parli na południe i żądali Trydentu, a Włosi dążyli na północ – do przełęczy Brenner. Pogodzili się dopiero w UE...

Dokładnie 100 lat temu – 10 października 1920 r. – Południowy Tyrol formalnie wszedł w skład Królestwa Włoch. Kolejnych pięć dekad historii tej ziemi naznaczonych będzie ostrym konfliktem między większością mieszkających tam niemieckojęzycznych Tyrolczyków a włoskimi władzami. Dopiero ugoda w 1971 r. przyniosła realne porozumienie między włączoną w obręb nowego państwa społecznością a władzami w Rzymie. Nie oznacza to jednak, że Tyrolczycy

zapomnieli o pierwszej, burzliwej połowie stulecia współbywania w jednym państwie włoskim. Dzień 10 października uważają za dzień żałoby.

Upokorzyć Austrię

We włoskim imaginariusz niepodległościowym z XIX w. Austria zajmowała zawsze pozycję arcywroga. Habsburscy cesarze widzieli w sobie spadkobierców średniowiecznych władców Niemiec, którzy uważali całe Włochy za swoją

naturalną domenę. Dlatego w XIX w. dla władców z Wiednia rządy nad Mediolanem czy Wenecją Julijską były czymś naturalnym. Urzędników z Wiednia też niespecjalnie obchodziła kwestia zamieszkiwania tych terenów przez Włochów. W końcu całe imperium habsburskie złożone było z dziesiątek podbitych narodów. Dlaczego Włosi mieliby być lepsi od Polaków czy Rusinów?

Dla włoskich nadziei na zjednoczenie opór Austrii był nie tylko czynnikiem mobilizacji, lecz także powodem do nienawiści wobec wszelkiej formy austriackości. Po wygnaniu Napoleona z ziem należących do obecnego Południowego Tyrolu Austriacy zajęli cały Tyrol i, przesuwając granice prowincji znacząco na południe, wcielili do Austrii dawne księstwo biskupie Trydentu. Spowodowało to sytuację, w której w granicach Tyrolu znalazła się część zamieszkana w większości przez Włochów. Miało to mieć dla północnego Tyrolu zdominowanego niemal wyłącznie przez ludność niemieckojęzyczną bardzo poważne konsekwencje.

Zjednoczenie Włoch, które nastąpiło ostatecznie w 1870 r., nie zastopowało marzeń włoskich nacjonalistów o objęciu władzą królów dynastii sabaudzkiej rejonów zamieszkałych przez Włochów, a znajdujących się wciąż pod obcą władzą, głównie Austrii. Tak narodziła się ideologia irredentyzmu, w ramach której pojawiło się hasło oparcia przyszłych granic Włoch o przełęcz Brenner. Oznaczało to, że nie tylko chciano odzyskać dominujący w części włoskiej Trydent, lecz także lekką ręką wziąć krainę czysto germańską.

Formalnie relacje na linii Wiedeń-Rzym załagodził udział Italii w tzw. trójprzymierzu, które w 1883 r. połączyło wojskowym paktem Niemcy, Austrię i Włochy. Polityka dyplomatów była jednak jednym, a oddolna rywalizacja nacjonalizmu niemieckiego i włoskiego na terenach Południowego Tyrolu i Trydentu była drugim i – jak się zdaje

– ważniejszym czynnikiem. W Tyrolu hasło mobilizacji przed włoskim zagrożeniem doprowadziło do stworzenia Volksbundu, organizacji przypominającej Polakom tzw. Hakatę. Postulowała ona uświadamianie mieszkańcom dawnego biskupstwa Trentino, że tylko pozornie uważani mogą być za Włochów, ale faktycznie są Niemcami. W swoim szowinistycznym zaślepieniu przekonywano na przykład, że wywodzący się z Trydentu Dante Alighieri faktycznie był Niemcem o nazwisku Durante Aliger.

Rozpoczęła się rywalizacja na pomniki. Włosi wystawili swój pomnik Dantego w Trydencie jako włoskiego bohatera. Z kolei Wszech Niemcy zorganizowali odsłonięcie pomnika poświęconego o sto lat starszemu poecie –

dyszało emocjami antyhabsburskimi. Te nastroje przełożyły się po pewnym czasie na nastawienie dyplomacji włoskiej.

Podarunek z Londynu

Gdy zaczęła się zbliżać pierwsza wojna światowa, Austria zaproponowała jako ewentualne łupy wojenne oddać Włochom jedynie część okręgu Trydentu i ziem prowincji Friuli, ale z wyłączeniem Gorycji i Triestu. Alianci skłonni byli dać znacznie więcej. Dlatego Włochy nie weszły w początkowej fazie wojny do konfliktu (pod pretekstem, że Austria dokonała agresji na Serbię bez konsultacji z królem włoskim) i zaczęły po cichu targi z aliantami. W kwietniu 1915 r. w Londynie podpisany został tajny traktat, w ramach którego Włochy zgodziły się wypowiedzieć wojnę mocarstwu centralnym w zamian za uzyskanie całego Południowego Tyrolu – od Trydentu do Brenner.

Francuzi i Anglicy byli oczywiście hojni, bo płacili nie swoimi terytoriami. Dlatego do ziem tyrolskich i trydenckich dorzucili jeszcze Wenecję-Giulię, część wysp

Quarnaro i północnej części Dalmacji, gdzie żyło sporo Włochów. Wojna, która rozgorzała między Austrią a Włochami, akurat w przypadku terenów Trydentu i Południowego Tyrolu nie przyniosła Włochom wiele sukcesów. Włoscy narodowcy nie tracili jednak czasu. Hasło granicy na Brenner lansował narodził się Ettore Tolomei, który opublikował pseudonaukowe prace o odwiecznym włoskim charakterze Południowego Tyrolu i wymyślił włoskie nazwy dla każdej małej wioski, każdego strumienia na tych ziemiach.

Gorzkim dla Austriaków paradoksem było to, że rywalem Tolomeiego był geograf okręgu trydenckiego i włoski poseł do tyrolskiego landtagu nazwiskiem Cesare Battisti. Po wybuchu wojny zbiegł on na stronę włoską i zaciągnął się do



Słynny alpejski kurort Meran

FOT. ARCHIWUM

Waltherowi von der Vogelweide – jako symbolowi niemieckiego ducha tej ziemi. Gdy w 1904 r. otwarto wydział języka włoskiego na uniwersytecie w Innsbrucku, wszechniemieccy studenci dokonali pogromu na uczelni, niszcząc włoski wydział i doprowadzając do jego zamknięcia. Osobnym zjawiskiem były próby germanizacji Ladinów – starego plemienia łaćńskiego, które wcześniej Austriacy uznawali za jeden ze szczepów narodu włoskiego. W wyniku tej polityki tzw. Val Venosta, gdzie niegdyś dominował język ladiński, jest dzisiaj terenem niemieckojęzycznym, podczas gdy znajdująca się po drugiej stronie granicy, w Szwajcarii, dolina Val Monastero do dziś mówi dialektem retoromańskim. Paradoksem było, że Włosi stali się sojusznikami Austrii, a społeczeństwo aż

armii króla Italii. Battisti zaciekle opowiadał się za nową granicą wzdłuż obszaru zamieszkiwania włoskiej większości. Ostrzegał swoich ziomków, że sięganie po Południowy Tyrol to branie sobie na głowę doskonale zorganizowanej niemieckiej grupy językowej. Tyle że w 1916 r. Austriacy złapali Battistiego we włoskim mundurze i za zdradę stanu – gdyż formalnie był obywatelem austro-węgierskim – rozstrzelali go na zamku w Trydencie.

W październiku 1917 r., przy walnym udziale doborowych jednostek z alpejskich Niemiec, Włosi zostali rozgromieni pod Caporetto. W kwietniu 1918 r. pod wpływem tych zwycięstw rozhuśtany szowinistycznym rauszem Volksbund ogłosił, że w razie wygranej granice Austrii przesuną się znacznie na południe, i zdecydowanie zapowiedział zlikwidowanie jakiegokolwiek autonomii Południowego Tyrolu, czyli ziem dawnego biskupstwa Trydentu. Zapowiadano też „transformację” systemu szkolnictwa we włoskim Tyrolu, co po włoskiej stronie przyjęto jako zapowiedź wyrugowania mowy włoskiej ze szkół.

Karta odwróciła się w październiku 1918 r., kiedy to Włosi przygotowali ogromną ofensywę przeciwko Austriakom, która zbiegła się z rozpadem państwa austriackiego. Rozpadająca się monarchia habsburska dość naiwnie zakładała, że szybka prośba o zawieszenie broni pozwoli zatrzymać marsz oddziałów włoskich na północ. W rezultacie 3 listopada 1918 r. zawieszenie broni weszło w życie. Tyle że w następnych dniach zaczęło dochodzić do totalnego rozpadu armii. Żołnierze z Polski, Ukrainy, Bośni i Węgier zaczęli na własną rękę szykować się do powrotu do swoich ojczyzn i upadła wszelka dyscyplina. Na domiar złego rejon Południowego Tyrolu stały się ofiarami uciekających grup żołnierzy, którzy przebijając się na północ, oddawali się grabieży i przemocy.

Twarda włoska ręka

Południowi Tyrolczycy musieli zacząć na gwałt myśleć o swojej przyszłości. W Bolzano utworzono tymczasową radę narodową dla niemieckiego Południowego Tyrolu. Wydrukowano własne



Alegoria walki Włochów z Austriakami i śmierć Enrico Totiego, włoskiego bohatera narodowego

FOT. WIKIPEDIA

znaczki i banknoty. Ziemie te były jednak niemal bezbronne. Większość młodych mieszkańców powołano do wojska, a na miejscu lokalną milicję obronną tworzyli starzy rezerwiści w wieku powyżej 50 lat i młodzi uczniowie ok. 14–16 lat (przypomina to sytuację, którą dobrze pamiętamy z polskiego Lwowa w listopadzie 1918 r.). Oddziały te nie były w stanie zatrzymać inwazji włoskiej, która między 7 a 11 listopada 1918 r. runęła na północ i dotarła niemal pod Innsbruck.

Włoski zarząd wojskowy szybko demonstrował, że nowe rządy będą twarde i brutalne. Granice z północnym Tyrolem obsadziły silne oddziały włoskie, aby zapobiec jakiegokolwiek pomocy zbrojnej ze strony tworzącego się dopiero pań-

stwa Republiki Austrii. Ogłoszono zakaz wysyłania listów do Austrii i Niemiec czy Węgier. Zdecydowana większość austriackich urzędników została zwolniona. Włoska waluta – lir – stała się jedynym środkiem płatniczym na zdobytych terenach.

Tymczasowa rada narodowa dla niemieckiego Południowego Tyrolu próbowała jeszcze walczyć o prawo mieszkańców tych ziem do połączenia Austrii z Niemcami, ale mogła to czynić już jedynie z emigracyjnych biur w Innsbrucku i Bernie. Rządy brytyjski i francuski nie zwracały jednak na te apele żadnej uwagi. Aneksję Południowego Tyrolu do Włoch zaakceptowano już w czasie wojny i nikt nie miał zamiaru wchodzić z rządem w Rzymie w żadne spory.

Konferencja pokojowa w Saint Germain była dla Austrii upokarzająca. 2 czerwca 1919 r. austriackiemu kanclerzowi Karolowi Rennerowi przekazano warunki pokojowe i wtedy dopiero miał on możliwość przedstawienia stanowiska swego rządu. Nie miało to już jednak żadnego znaczenia. Austriacki mąż stanu mógł już tylko podpisać gotowy traktat, co nastąpiło 10 września 1919 r. Umowa weszła w życie 16 lipca 1920 r., a trzy miesiące później Południowy Tyrol już jako włoska prowincja Alto Adige wszedł w skład Królestwa Włoch.

Dwa lata później do władzy doszedł Mussolini, który rozpoczął brutalną italianizację kraju. Dzięki jego staraniom w ciągu 20 lat liczba Włochów na tych terenach osiągnęła poziom 80 tys. imigrantów. W czasie drugiej wojny światowej po upadku Mussoliniego w 1943 r. III Rzesza włączyła Południowy Tyrol w skład swoich ziem, ale już dwa lata później Włosi znów zajęli te ziemie.

Uгода z 1947 r. między Austrią a Włochami mająca zapewnić tym ziemiom autonomię nie przyniosła spokoju. Dochodziło nawet do zamachów bombowych organizowanych przez grupy oporu Południowych Tyrolczyków. Dopiero kolejna ugoda z 1971 r. przyniosła uspokojenie nastrojów. Ostatecznie daleko posunięta integracja Unii Europejskiej rozładowała wzajemne animozje. Ale data 10 października – formalnego włączenia Południowego Tyrolu do Italii – jest obchodzona w Niemczech, Austrii i wśród Południowych Tyrolczyków jako data żałoby.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Niedziela

w Telewizji Republika



W Punkt
9:06

zaprasza Katarzyna Gójska



Studio prasowe
10:06

zaprasza Adrian Stankowski



Salonik polityczny
11:00

zaprasza Rafał Ziemkiewicz

Salonik
POLITYCZNY
RAFAŁA ZIEMKIEWICZA

Polityczna kawa
12:00

zaprasza Tomasz Sakiewicz



oglądaj również na www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl 979b9f1ddf



Krzysztof Masłoń

1897-1922

Eugeniusz Małaczewski

Eugeniusz Małaczewski napisał wstrząsające opowiadania o wojnie z bolszewikami. Przedwczesna śmierć przerwała karierę znakomitego pisarza

Sławny i, nie bardzo w zgodzie z faktami, uznawany za pochwałę rewolucji reportaż „W czerwonej Hiszpanii” Ksawery Pruszyński opatrzył następującą dedykacją: „Poświęcam tę pracę śp. EUGENIUSZOWI MAŁACZEWSKIEMU, autorowi »Konia na wzgórzu«, człowiekowi, który zrozumiał wojnę, rewolucję i Rosję i który najlepiej z nas wszystkich zrozumiałby dziś Hiszpanię”.

Splot okoliczności nie tylko literackich, lecz także politycznych związanych z tą dedykacją przedstawił w niedawno wydanej książce „Paralele, korespondencje, dedykacje w literaturze polskiej XX i XXI wieku” Maciej Urbanowski i do tego tomu odsyłam czytelników zainteresowanych sprawą. Mnie lektura szkicu skłoniła do sięgnięcia kolejny już raz po „Konia na wzgórzu” i raz jeszcze przeżywania tych niezwykłych dziewięciu opowiadań składających się na



RYS. KRZYSZTOF WIRZKOWSKI

Świadectwo sowieckiej barbarii

jących się na dzieło doskonałe, w prozie arcydzielne w takim stopniu jak w poezji „Karmazynowy poemat” Jana Lechońa.

Analogie są oczywiste, także wynikające z wieku autorów: „Karmazynowym poematem” debiutował 21-letni Lechoń, „Koniem na wzgórzu” 24-letni Małaczewski.

Swoją niewielką rozmiarami, za to potężną siłą ducha książkę wydał Eugeniusz Małaczewski w roku 1921. W następnym roku zmarł; na wojnie nabawił się gruźlicy, której leczenie nie dało rezultatu. W końcu swego jakże krótkiego życia był już jednak legendą. Hołdy składał mu Żeromski i Kasprowicz, na pogrzebie w Zakopanem w jego ostatniej drodze żegnały go tłumy. Potem Małaczewski popadł w zapomnienie, by w PRL stać się pisarzem przeklętym, zakazanym. Dopiero w wolnej Polsce wznowiono „Konia na wzgórzu”, Krzysztof Polechoński wydał jego utwory zebrane, a w 2008 r. odnowiono pod Tatrami jego nagrobek, który zdążył popaść w ruinę. Nie zmienia to faktu, że proza Małaczewskiego rzadko bywa przypominana, a piszący o nim nie powtarzają może stalinowskich ocen Ryszarda Matuszewskiego, według którego pisarz bronił interesów burżuazji i wypaczał obraz rewolucji, ale z jakąś pokretną satysfakcją wypominają jego endeckość. Jakby to miała być skaza na przepięknym życiorysie i równie świetnej twórczości tego autora.

Gdy pisarz umarł, Artur Oppman napisał: „Był cichy, pracowity, górny, był w sercu promienny, a w myślach dziewczęco biały. Walczył za Polskę,



śpiewał dla Polski i zmarł z myślą o Polsce”, a Kornel Makuszyński w swoim niepowtarzalnym stylu tak go pożegnał: „Umarł jeden z najzdolniejszych prozaików polskich, chłopiec bohaterski, co miał serce przeczyste, a duszę gorejącą płomieniem tak jasnym i złotym, jakim niezmiernie płonie miłość”.

Lew Północy

Za swoje wojenne zasługi odznaczony został Orderem Virtuti Militari i Krzyżem Walecznych. Po rewolucji bolszewickiej 1917 r. walczył w polskich formacjach wojskowych (wcześniej służył w armii rosyjskiej): I Korpusie gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego, a następnie – od początku 1918 r. – III Korpusie gen. Eugeniusza Henning-Michaelisa. Po bitwach pod Niemirowem i Kaniowem przedarł się na daleką północ. Tam z niewielką, 40-osobową grupą polskich żołnierzy odbił z rąk bolszewickich Archangielsk. Generał Edmund Ironside, dowódca Brytyjskiego Korpusu Interwencyjnego w północnej Rosji, nazwał wtedy Polaków „lwami Północy”.

W początkach 1919 r. cały ten oddział przerzucony został drogą morską do Francji, gdzie gen. Józef Haller two-

rzył Błękitną Armie. Wraz z nią na wiosnę przybył Małaczewski do Polski, by tu znów walczyć, tym razem we wschodniej Małopolsce z Ukraińcami. Następnie służył na Górnym Śląsku, był też na froncie polsko-bolszewickim. Jednocześnie pogarszający się stan zdrowia spowodował w końcu zwolnienie go ze służby czynnej i skierowanie w 1920 r. do wydziału propagandy Inspektoratu Generalnego Armii Ochotniczej, gdzie znalazł się obok Żeromskiego, Berenta, Grzymały-Siedleckiego, Zegadłowicza czy Makuszyńskiego. W wojsku awansowany został do stopnia porucznika.

Na świat przyszedł w Kiwaczówce pod Humanem jako najmłodsze dziecko Fabiana Małaczewskiego i Klementyny z domu Bielińskiej. Ojciec go wcześniej osierocił, chłopiec po skończeniu szkoły powszechnej musiał podjąć pracę, m.in. był pomocnikiem w kancelarii adwokackiej. Wykształcił się sam, wertując ziemiańskie księgozbiory, by edukację sformalizować maturą zdaną już w trakcie służby wojskowej. A tę ostatnią miał wyjątkową; jeszcze służąc w armii rosyjskiej, przemierzył Rosję wierz i wzdłuż. Był w Woroneżu i Kijowie, pod Smoleńskiem i nad Morzem Azowskim, walczył na Bukowinie i Grodzieńszczyźnie, pod Mołodecznem został zatruty gazami bojowymi. Kilkakrotnie aresztowany przez bolszewików, cudem uniknął wykonania wydanego wyroku śmierci.

Wigilia najpiękniejsza

Największą sławą okryły się dwa opowiadania Małaczewskiego: tytułowy „Konia na wzgórzu” i „Dzieje Bałki Murmańskiej”. To pierwsze, pisane w pierwszej osobie, opowiada o żołnierzu, który przybywa do rodzinnego dworu zdewastowanego przez cofających się bolszewików i dowiaduje się o śmierci siostry, która ścigana przez pijaną hordę rzuciła się do studni. Owładnięty żądzą zemsty, ściga



Brytyjski oficer przed frontem oddziału murmańczyków FOT. WIKIPEDIA

■ morderców do momentu, gdy spotyka konia odartego ze skóry przez czerwonoarmistów i pozostawionego – żywego jeszcze. To ten koń stanie się symbolem całej wojny, skłaniając bohatera do głębokich przemyśleń i do określenia na nowo swojego stosunku do natury, historii, a przede wszystkim do Boga.

Z kolei „Dzieje Bałki Murmańskiej”, które przed wojną znalazły się nawet na liście szkolnych lektur, są wzruszającą, smutną, ale i pełną humoru gawędą o białej niedźwiedzicy przywiezionej przez polskich żołnierzy z dalekiej północy, ulubienicy całego wojska, która jednak bezsensownie zginęła we wsi pod Modlinem, zamordowana z chęci zysku – futro! – przez chłopów. Wcześniej zdążyła wziąć udział w prezentacji murmańskiego oddziału 15 grudnia 1919 r. na pl. Saskim w Warszawie. W obecności samego Józefa Piłsudskiego. To wyjątkowe spotkanie Małaczewski tak opisał: „Naczelnik bardzo się spodobał Bałce. Nigdy go przedtem nie widziała, jednak od razu, z pierwszego rzutu oka doszła do przekonania, że ten wysoki człowiek w skromnym szarym płaszczu, z krzaczystymi włosami, jest na tym placu figurą naczelną, naczelniejszą od Smorgońskiego, który ją, Bałkę, trzymał na łańcuchu i uczy rozumu ogniem i żelazem, najczel-

niejszą od dowódcy oddziału, którego się Smorgoński boi jak Bałka ognia. Ba! Naczelniejszą nawet od niej samej, od Bałki, na którą wszystkie zwracają się oczy! Gdy Naczelnik, chcąc ją pogłaskać, wyciągnął rękę, bez namysłu podała mu łapę, wykonawszy przy tym coś jakby dyg ceremonialny, jakiego by się nie powstydziała najwytworniejsza dama dworu. Rozeszli się bardzo z siebie zadowoleni”.

Oczywiście, nie byłoby Wojtka z armii Andersa, gdyby nie ta Bałka. Bałka Murmańska...

W innym opowiadaniu – „Miodowy tydzień na Ukrainie” – pisarz przedstawia męczeństwo Polaków masakrowanych przez ukraińskich chłopów w rzeziach na Podolu, już wtedy – w 1918 r. W „Cor cordium Poloniae” ukazuje znów tragiczny los polskich skautów na Kijowszczyźnie w roku 1920. Ci bohaterscy harcerze na każdą wydawaną po rosyjsku komendę odpowiadali niezmiennie polskim „Czuwaj!”. „I ha! to – powiada Małaczewski – brzmiało jak nocne zwoływanie się żurawiat, czujnie strażujących na obczyźnie”.

Po kolei można wymienić każde opowiadanie z „Konia na wzgórzu”, bo każde jest perełką. Ale choć jedno zdanie należy się jeszcze „Blokhausowi pod Syreną”, w którym komendant

zawidam siedzących za wigilijnym stołem żołnierzy o odzyskaniu przez Polskę niepodległości. Jest rok 1918. „Była to w ich życiu Wigilia najpiękniejsza – pisał Eugeniusz Małaczewski. – Najpiękniejszą zostanie, bo się wielki cud w życiu nie powtarza”.

Pisarz odwołał się tutaj do osobistych wspomnień, o tym nadzwyczajnym dniu opowiedział także w dramacie wierszem „Wigilia”, wystawionym w styczniu 1922 r. w Teatrze Bogusławskiego w Warszawie.

Grymasy szatańskie

Miał Małaczewski przekonania zdecydowanie antykomunistyczne, a po części i antysocjalistyczne. Najbardziej nienawidził bolszewii, widząc w niej szatańskie dzieło Moskali i Żydów. Skazani przez bolszewików na śmierć bracia Zwadowie, bohaterowie opowiadania „Tam, gdzie ostatnia świeci szubienica”, „wychowani – czytamy – w czasach, gdy religijność była wyśmiewana, a tradycja ojców – z młodych głów wyparta przez europejską filozofię, wykalkulowaną przez Żydów i duchowych ich bastardów, nie słali do

Boga modlitwy, co by wysłana wracała jak cicha gołąbica, składająca na zrozpaczonej piersi oliwną gałązkę łagodnej pociechy. Lecz że byli żołnierzami na ordynansie u niewskrzeszonej Rzeczypospolitej, oto na ich pierwszą myśl o niej, przyszła – ona, najjaśniejsza, wspaniała, wyśniona... Cierpiące dusze roztopiła w wielkości swojej i natchnęła je zbiorowym duchem wszystkich bezimiennych Trauguttów, Toczyskich i Okrzejów”.

– Czy znasz ten wiersz Norwida? – pyta Jerzy brata. „Tam, gdzie ostatnia świeci szubienica, tam jest mój środek dziś, tam ma stolica, tam jest mój gród...”

– Czytałem to kiedyś, ale tego nie rozumiał wtedy, choć względem Norwida robiłem minę ogromnie pojętną i panibracką. A teraz naprawdę rozumiem. Bo jestem żołnierz polski, na którego śmierć już woła. Tyle jest więzień w tej czerwonej Rosji, a w każdym siedzi legionista i czeka swej godziny. Nie pomrzemy dzisiaj samotnie. W każdym więzieniu chodzą wzduż cel nasi koledzy i jak my rozmawiają z sobą. A tam, gdzie ostatnia zaświeci szubienica, gdzie tylko ostatnia rozległ się salwa, będzie dziś środek Polski najlepszej, stolica jej ducha i niezdobyty gród bohaterstwa bez gestu.

W „Państwie ponurej anegdoty” Małaczewski powiada, że bolszewicka Rosja „wynaturzyła się w coś strasznego, niby dowcip sarkastyczny zbrodniarza, prowadzonego pod stryczek.

Potomkowie proroków Bożych: Jeremiaszów, Izajaszów i Ezechieliów, współcześni Żydzi międzynarodowi wzięli w krwawy pacht naród wielomilionowy, wpięrowi uwiódłszy go fałszywym prorocstwem Żyda Marksa. Rzucili w tłum dynamizujące hasła piękne, zasypali go frazesami urocznymi o proletariackiej wolności, równości i braterstwie. Lecz na obliczu każdego wcielenia tych haseł w czyn wyszczerza się potworny grymas Antychrystusowego Szatana Dziejów i zamiar pozornie piękny staje się ponurą anegdotą.

Widziałem te grymasy szatańskie i słyszałem o nich”.

Gdyby ktoś się nie domyślał, dlaczego pisarstwo Eugeniusza Małaczewskiego nie nadaje się adekwatnej do jego wartości rangi, to teraz już chyba wie, dlaczego tak się dzieje. Właśnie przez takie i podobne im fragmenty opowiadań, przez nazywanie Trockiego Lejbą czy cytowanie harcerzy ponoć na Ukrainie wznoszących hasło: „Bit’ Żidow!”, „Przebacmy jednak harcerstwu tamtejszemu ten [...] antysemi-

tyzm – komentował autor. – W kraju, gdzie naród wybrany już doszedł do władzy niepodzielnej, zaiste trudno jest zdobyć się na humanitarny filosemityzm, który jednak obowiązuje społeczeństwo, cackające się ze swą mniejszością narodową niby z naczyniem dziwnego nabożeństwa”.

No cóż, z czegoś wzięło się pojęcie żydokomuny. A że dziś cytaty te zgrzytają, to inna sprawa. Niemniej warto wiedzieć – co wspomina w swoim eseju prof. Maciej Urbanowski – że, zdaniem Ksawerego Pruszyńskiego, autor „Konia na wzgórzu”, „ten hallerczyk i współpracownik endeckiej »Rzeczypospolitej« czytywał w ostatnich latach swego życia konserwatywny krakowski »Czas«. Nie godził się – cytuję słowa Pruszyńskiego – »na jedną nawet z tyłu zasad tego pisma«, ale cenił w nim »spokój, umiar, brak jakiegóżądzy porachunków«”.

Jesteśmy w drzwiach

W „Po naszym życiu” Eugeniusz Małaczewski pisał: [...] Po naszej smutnej, krwawej doli, gdy wszyscy legniemy już pokotem, zbluzgani krwią, okryci błotem – nadejdzie lazurowy świt...

I duch człowieczy się wyzwoli, nakarmi siebie innym chlebem, niż ten, co wzrasta z naszej roli... I będzie trwał wśród pszenic, żyt, niepogrodzonych żadnym płotem, pod jakimś innym nowem niebem – gdy my legniemy już pokotem na naszej krwawej smutnej doli...

To jeden z nielicznych jego wierszy, który przeszedł cało próbę czasu. Generalnie ta poezja już w chwili powstawania nadto była młodopolska. Romantyzm tego autora, który tkwił w nim po uszy, spraw-

dził się w prozie, czego dowodzą również opowiadania, które nie znalazły się w „Koni na wzgórzu”, takie jak wydobyte z zapomnienia przez Krzysztofa Polechońskiego „Miłosierdzie ziemi”, jak „Trzynasty pocisk” czy „Westchnienie Cesarza”.

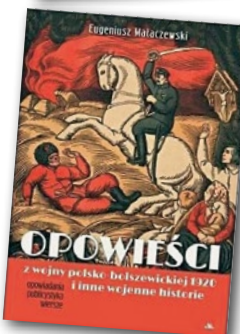
Trudno nie zauważyć mesjanistycznych wlotów tego wyznawcy filozofii Józefa Hoene-Wrońskiego i jego religijności. Z najgłębszym przekonaniem przeciwstawiał on rewolucji bolszewickiej „przeduchowioną patriotyzmem ideę chrześcijańskiej miłości i przebaczenia”. A zakończenie tytułowego opowiadania tomu „Koń na wzgórzu” czytamy i dziś ze ściśniętym sercem:

Im jest gorzej, tym będzie lepiej. Wzmoże się, wywspaniali, wybuchnie duch. Kto umie leżeć duchowo krzyżem na świętej ziemi polskiej i obejmując ją miłością słucha, co się w niej dzieje, ten usłyszyna jakoby niezliczone mnóstwo odmiennie tętniących serc. To my: w nadziei zakonspirowani, legitymujący się wiarą, zbrojni miłością. W zgłębku sejmikującego życia jeszcze nie słysząc nas. Ale wkrótce wzmoże się w rzeszach dotkliwy wielki głód tego, co jest niezbędniejsze niż chleb powszedni. A wtedy przyjdzie my, duchem dzielni, czyli się nim dzielący. Jesteśmy w drzwiach.

[...] już teraz możemy rzec:

– Zdziercom wszelkiego rodzaju, siedzącym, niby na kupach gnoju, na stosach złupionych z bliźniego marek, których wartość spada zawrotnie w dół – politykom, sztukującym zgniłe koncepcje latami nowych pomysłów – pisarzom, lejącym skwaśniałe wino sprzedajnych swych racji do zwiotczałych miechów zadrukowanej bibuły – artystom kunsztu wszelakiego, którym „pogańska żądza doskonałości w pięknie wyjąławiła serce” – tym wszystkim, wszystkim, wszystkim, którzy tyle razy oglądali, lecz nigdy w żaden nie uwierzyli cud – że w Polsce powstaje plemię nowych ludzi, jakich jeszcze nie widziano. Jesteśmy w drzwiach”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Wszyscy słyszeli o Krystynie Skarbak. Pięknej polskiej dziewczynie, która podczas drugiej wojny światowej pracowała dla brytyjskich tajnych służb. Przeżywała niesamowite przygody, wykładała najpilniej strzeżone tajemnice III Rzeszy i – jak głosi legenda – była „ulubionym szpiegiem Churchilla”.

Jerzy Rostkowski w swojej świetnej książce „Piękne i niebezpieczne” przypomina jednak, że Krystyna Skarbak nie była sama. W trakcie ostatniego światowego konfliktu na „cichym froncie” działało wiele Polek. Co ciekawe, wywodziły się one na ogół ze znamienitych rodzin arystokratycznych i ziemiańskich.

Trudno się temu dziwić. Arystokratki znały języki, świetnie czuły się za granicą i na salonach. Posiadały również rozległe znajomości i kontakty w całej Europie. Cechował je patriotyzm, ale miały również – odziedziczony po rycerskich przodkach – pociąg do ryzyka i wielkiej przygody. Były więc naturalnymi i idealnymi kandydatkami na szpiegów.

Jedną z nich była Władysława Szrednicka-Maciesza herbu Pomian. Działalność wywiadowczą rozpoczęła już podczas pierwszej wojny światowej w Legionach i Polskiej Organizacji Wojskowej. Trudno więc się dziwić, że po klęsce 1939 r. znowu rzuciła się w wir pracy konspiracyjnej.

Była zastępczynią przywódcy kobiecego oddziału dywersyjno-sabotażowego „Dysk”, a także agentką Oddziału II ZWZ. Ponieważ mówiła po niemiecku jak rodowita Niemka, jeździła jako kurier do Heidelbergu i Wiednia. Nosiła pseudonim Y-59. To ona dostarczyła Warszawie informacje o próbach niemieckich rakiet V dokonywanych w tajnym ośrodku w Peenemünde.

Niestety wiosną 1943 r. doszło do fali aresztowań wśród podziemnych wywiadowców. Niektórzy zatrzymani zaczęli sypać i wkrótce wpadła cała wiedeńska siatka. Nasza bohaterka znalazła się w rękach gestapo 8 kwietnia 1943 r. w stolicy Austrii.

Władysława Macieszyna – pisze Jerzy Rostkowski – mimo ciężkiego bicia (straciła zęby) i maltretowania nie zdradziła nikogo. Symulowała obłąd i uparcie twierdziła, że jechała do Karłowych Warów się leczyć. Mówiła, że jest osobą samotną, nie ma żadnych znajomych, nikt nie może jej pomóc i poświadczyc niewinność. Obawiała się jednak, że oprawcom uda się wreszcie ją złamać, więc podcięła sobie żyły. Dla oprawców z Gestapo była



Bal w warszawskim Hotelu Europejskim, 1938 r. FOT. NAC

Książka miesiąca / Odważne i mądre

Szpiedzy w spódnicach

ważną osobą, na co wskazuje fakt, że odwieziono ją do szpitala z rozkazem dla lekarzy: „Ratować za wszelką cenę!”.

Odratowana musiała wziąć udział w procesie, który rozpoczął się 22 lutego 1945 roku. Podczas trwającego dwa tygodnie przewodu sądowego postawiono Sławie oskarżenie o spiskowanie przeciw Rzeszy, które ma charakter zdrady głównej. W takim przypadku mógł zapasć tylko jeden wyrok – śmierć.

W uniknięciu śmierci pomogło im ścisłe stosowanie niemieckiego przysłowia Ordnung muss sein, „porządek musi być”, przy egzekwowaniu prawa nawet tak barbarzyńskiego jak nazistowskie. Od chwili przyłączenia Austrii do Rzeszy zrezygnowano na nowych terenach z wykonywania kary śmierci przez powieszenie i zaczęto stosować klasyczną gilotynę.

Gilotyn było niewiele, co stwarzało konieczność przewożenia ich w miejsca wskazane przez sądy, i procedura ta przy wielkiej liczbie wyroków skazujących, ku utrapieniu wykonawców, znacznie spowalniała pracę katów. Prawo niemieckie wyraźnie wskazywało

ponadto, że skazaniec podczas wykonywania wyroku musi być zdrowy i mieć pełną świadomość wykonywanej kary. Dzięki temu kobiety z polskiej siatki wywiadowczej przetrwały do wyzwolenia Wiednia – Sławę ocaliły wysoka gorączka i podejrzenie, że jest chora na tyfus.

To tylko jedna z wielu dramatycznych historii opisanych w „Pięknych i niebezpiecznych”. Stanisław Cat-Mackiewicz napisał kiedyś, że naród polski jest narodem dzielnych kobiet. Książka Jerzego Rostkowskiego potwierdza tę opinię. ©

Piotr Zychowicz



JERZY ROSTKOWSKI
„PIĘKNE I NIEBEZPIECZNE.
ARYSTOKRATKI POLSKIEGO
WYWIADU”

REBIS

Nie przegraliśmy z Wehrmachtem

Autor nie lubi pojęcia „historia alternatywna”, woli określenie „historia niezaistniała”. I proponuje wariant takiej historii pod tytułem „Sowieci nie wchodzą 17 września”. Tymoteusz Pawłowski broni ustawienia polskich armii wzdłuż granic, zauważając, że gdyby nie ono, Berlin dostałby to, czego chciał, i mógłby zakończyć działania wojenne. A Zachód nie chciałby umierać za polskie Pomorze, Górny Śląsk, Wielkopolskę.

Do 16 września, po ponad dwóch tygodniach walk, Niemcom – jak stwierdza autor – nie udało się ich cel: rozbić naszych armii na zachód od Wisły i Narwi. Tymczasem, według obliczeń autora, spoistość bojową miało nadal 6 brygad kawalerii z 11, a z 40 związków taktycznych aż 75 proc. wciąż walczyło.

Prowadziliśmy wojnę koalicyjną – zwraca uwagę Pawłowski – czekając, aż Francja zaatakuje. I to na Zachodzie miała się rozstrzygnąć ta wojna. Marszałek Śmigły-Rydz ścigał wojska na przedmoście rumuńskie. A na tym silnie obsadzonym terenie „w kolejnych miesiącach toczyłyby się walki decydujące o losach Polski”. Zmierzały tam trzy fronty generałów Dęba, Piskora oraz Sosnkowskiego i doszłyby, gdyby nie wejście Sowieców 17 września. Koncentracja naszych wojsk byłaby tak znaczna, że Niemcy musieliby do ataku na przedmoście przygotować się

dwa tygodnie, a to dałoby czas Francji na ofensywę.

Tymoteusz Pawłowski nie zgadza się z powszechnie przyjętym przekonaniem, że w Abbeville 12 września alianci zdecydowali, iż nie udzielą Polsce pomocy. Stwierdza, że od 7 września Francuzi prowadzili działania ofensywne, lecz po tygodniu pogoda się załamała. Kolejna faza działań miała się rozpocząć 17 września, a potem – 21 września. Sowieci weszli jednak 17 września i tylko dzięki nim Wehrmacht zakończył w pierwszych dniach października kampanię w Polsce.

Natomiast w korzystnym wariantcie ofensywy francuskiej front w Polsce biegłby późną jesienią zapewne wzdłuż Wisły, Narwi i Wieprza, a może i Sanu. Na wiosnę 1940 r. do akcji przystąpiliby Brytyjczycy. „I wszystko wskazuje na to, że wiosenno-letnia wielka ofensywa aliantów rozstrzygnęłaby wojnę. Niemcy zostałyby pokonane” – konkluduje autor. ©©

Tomasz Stańczyk



TYMOTEUZ PAWŁOWSKI
„SOWIECI NIE WCHODZĄ.
POLACY MOGLI WYGRAĆ
W 1939 ROKU”

FRONDA

Narodowiec w Auschwitz

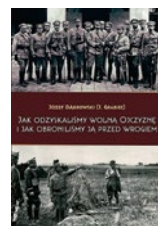
Autor trafił do obozu jesienią 1940 r. Jeśli najbardziej znana jest konspiracja obozowa związana z Witoldem Pileckim, to najbardziej przemilczana była organizacja narodowców, której autor był członkiem i której właśnie poświęca wiele stron. Przypomina sylwetkę Jana Mosdorf, wybitnego działacza ONR, który w Auschwitz przyjaźnie odnosił się do Żydów i komunistów. O innym narodowcu Bolesławie Świdorskim autor pisze, że nikt nie mógł się z nim równać

pod względem rozmiarów niesionej pomocy i opieki, a Świdorski, robiąc to, nie zważał na poglądy polityczne, narodowość ani wyznanie. ©© (t.s.)



JERZY PTAKOWSKI
„AUSCHWITZ BEZ CENZURY
I LEGENDY”

REPLIKA



JÓZEF DĄBROWSKI
„JAK ODZYSKALIŚMY
WOLNĄ OJCZYNĘ I JAK
OBRONILIŚMY JĄ PRZED
WROGIEM”

LTW

DROGA DO NIEPODLEGŁEJ

To historia pisana niemal na gorąco, bo w 1921 r. Rozpoczyna się 6 sierpnia 1914 r. w Kaliszu, zniszczonym przez Niemców, i w Krakowie, skąd wymaszerowali strzelcy Piłsudskiego. Wytrawne pióro publicysty pokazuje wysiłek Polaków w walce o odzyskanie niepodległości i jej utrzymanie. Autor zauważa, że „mało kto na świecie ocenia nas, jak należy, a każdy lekce sobie waży”. ©© (t.s.)



ROBERT SPAŁEK
„NA LICENCJI MOSKWY.
WOKÓŁ GOMUŁKI,
BERMANA I INNYCH
(1943-1970)”

IPN

GOMUŁKA I BERMAN

Książkę „Komuniści przeciw komunistom” (w aparacie partyjnym lat 40. i 50.) uważam za jedną z najciekawszych monografii ostatnich lat. Teraz autor poszedł za ciosem, pisząc o dwóch rozgrywających wczesnego PRL – Władysławie Gomułce i Jakubie Bermanie. Kim byli ci ludzie? Jakie mieli poglądy i plany polityczne? Dlaczego ich kariery uległy załamaniu? Odpowiedź w środku. ©© (p.z.)



ADAM JOŃCA
„POLSKIE POCIĄGI
PANCERNE 1921-1939”

VESPER

POCIĄGI ZAKUTE W ŻELAZO

Miłośnicy militariów otrzymali bogato ilustrowaną księgę. Pociągi pancerne, mające wielki wkład w walki o niepodległość i granice lat 1918-1921, istniały w Wojsku Polskim do końca lat 30. Było wtedy jeszcze 10 „etatowych” pociągów, uzbrojonych w działła 75 mm, a nawet 100 mm, oraz po kilkanaście ckm. Potrafiły – tak jak pod Mokrą – skutecznie wspierać nasze oddziały w obronie i w ataku. ©© (m.r.)



W 1943 r. w barakach obozu na Majdanku osadzono warszawiaków z łapanek ulicznych oraz z getta FOT. USHMM

Pamiętnik z piekła

Swiadeństwo 16-letniej Jadwigi Ankiewicz z obozu koncentracyjnego na Majdanku nie jest wspomnieniem spiswanym jakiś czas po minionych dniach, ale jedynym prowadzonym na bieżąco DZIENNIKIEM, pamiętnikiem z tego piekła. Autentycznym, szczególnie wiarygodnym źródłem. Dziewczyna z dobrego, patriotycznego domu, taka „panna z mokrą głową”, trafiła tam z ulicznej łapanek w połowie stycznia 1943 r. Ponieważ miała ze sobą teczkę, a w niej zeszyt w linie i ołówki, postanowiła po kryjomu notować codzienne przeżycia.

Niemcy porwali owego stycznia kilka tysięcy warszawiaków i mroźną zimą powieźli ich bydłymi wagonami pod Lublin. Jadzia pisała pod datą 17 stycznia:

„Niech już wysadzą nas, gdzie chcą, niech robią, co chcą, byleby wysadzili z tego straszego, zimnego i ciemnego jak grób wagonu... brak wody... powyżywałyśmy już wszystkie szpary, w które nawiało śniegu...”. Po osadzeniu w obozie notuje 14 lutego: „W siennikach są już teraz takie okropne wszy, że noce stają się wprost niemożliwe. W baraku jest zimno, więc śpimy we trójkę na dwóch siennikach: ja, Maria i Janka”.

22 lutego widzi zza drutów karny apel w obozie męskim po próbie ucieczki więźniów. Jednemu się udało. Drugiego przywiązali nagiego na mrozie do słupa, a współwięźniowie stali

i patrzyli do zmiernych, jak umiera. Nato miast 24 lutego warszawianki z łapanek przebrano w pasiaki. Nadzieje na szybkie zwolnienie zmalały niemal do zera. Przed pójściem do kąpieli zostawiła w baraku pawiaczek (więźniarek z Pawiaka) „trefny” zeszyt. Pisz: „[...] wychodziłam już spokojna, gdy wtęm spadła mi czyjaś pięść na głowę, zatoczyłam się i przez kilka sekund szumiało mi w głowie [...]. Jakiś fatalny dzień, pierwszy raz dostałam od Niemca. Najgorsze to upokorzenie i chęć zrewanżowania się”. Jadwiga otrzymała dobrą pracę w pralni obok krematorium. Ale w maju '43 narastała groza: palono zwłoki Żydów z warszawskiego getta. W tym sporo dzieci „maleńkich, niewinnych, z czarnymi oczkami i kręconymi włoskami...”.

Są notatki pogodne, nawet zabawne. Wraz z rówieśniczkami spotykała się z dobrocią i pomocą starszych więźniarek, a nawet z empatią niemieckich nadzorczyń. 15 maja, gdy wygłodzone mdały w upale podczas kilkugodzinnego apelu, jedna z Niemek „została w naszych szeregach i rozplakała się na dobre”. Dwa dni później Jadzię zwolniono. Dziennik wyniosła pod podszewką, z duszą na ramieniu. Została łączniczką w „Szarych Szeregach”. Niemcy zastrzelili ją 30 stycznia 1944 r. na warszawskiej ulicy. Miała niewiele ponad 17 lat. ©© **Maciej Rosalak**

JADWIGA ANKIEWICZ „MAJDANEK 15 I-17 V 43 R. DZIENNIK”

PAŃSTWOWE MUZEUM NA MAJDANKU



Jak legion wygrał z falangą

Widać, że autor – badacz dziejów, ale i amerykański weteran wojenny – bawi się opowieścią jak grą planszową i odpowiada, dlaczego falanga grecka, która w macedońskim wydaniu okazała się niezwyciężona w starciu z Persami, przegrała z rzymskim legionem niewiele lat później.

Analizuje sześć bitew opisywanych przez starożytnych autorów. To trzy batalie stoczone przez Rzymian z epiroczkim królem Pyrrusem, kuzynem samego Aleksandra Wielkiego – pod Heraklą (280 r. p.n.e.), Askulum (279 r. p.n.e.) oraz Benewentem (275 r. p.n.e.). I trzy w kolejnym stuleciu, które położyły kres

macedońskiemu panowaniu na Wschodzie i w Grecji – pod Ksynoskefalaj (197 r. p.n.e.), Magnezji (190 r. p.n.e.) oraz Pydną (168 r. p.n.e.). Rzymianie nie wszystkie wygrywali, ale na końcu to oni byli górą.

Pomogły w tym: organizacja, uzbrojenie, taktyka i szkolenie żołnierzy. Falanga była mało zwrotnym murem wojowników w pancerzach z brązu, wysuwających spoza brązowych tarcz długie dzidy. Lubiła atakować zwartą masą na rozległej płaskiej przestrzeni. Złożony z mniejszych oddziałów legion był elastyczny, zwrotny, a żołnierze ciskali oszczepami, w zwarcu walczyli zaś poręcznymi, krótkimi mieczami. Myke Cole dodaje do

tego łatwość mobilizacji silnej obywatelskiej armii nawet po dotkliwych klęskach (np. pod Kannami z Hannibalem w 216 r. p.n.e. czy pod Heraklą) oraz nieugięty duch Rzymu i złowrogą konsekwencję w budowie imperium. Zajmująca lektura! ©©

Maciej Rosalak



MYKE COLE „LEGION KONTRA FALANGA. EPICKA WALKA PIECHOTY STAROŻYTNEGO ŚWIATA”

REBIS

Prawicowi pionierzy idei zjednoczonej Europy

Tematyka obecności koncepcji europejskich w myśli polskich konserwatystów nie jest zagadnieniem zbyt gruntownie zbadanym. Dlatego osobom zainteresowanym tą problematyką należy polecić do przeczytania książkę dr. Piotra Kosmala „Na straży Starego Kontynentu...”. Na szczególną uwagę zasługuje w niej rozdział dotyczący wizji ładu europejskiego zawartej w publikacjach polskich zachowawców w latach 1939–1945. Kluczową rolę odgrywało w tym względzie środowisko skupione wokół wydawanego za zgodą Niemców pisma „Przełom”. Było ono – jak słusznie pisał Piotr Kosmała – „najważniejszym organem polskich intelektualistów stojących na stanowisku konieczności współpracy z okupującymi Polskę Niemcami”. Perdyk bronił polityki ugodowej, a zarazem formułował krytykę polskiego Rządu na Uchodźstwie oraz podległych agend Polskiego Państwa Podziemnego.

W obszarze zainteresowań publicystów „Przełomu” znajdowały się również kwestie związane z integracją europejską, której zwolennikiem był jeszcze przed wojną główny redaktor pisma Jan Emil Skiński. Te zainteresowania wpisywały się w lansowane przez III Rzeszę koncepcje zjednoczenia kontynentu. Ich propagatorem był niemiecki minister propagandy Joseph Goebbels. Trudno powiedzieć, na ile odwołanie się do tych idei było szczere, a na ile miało charakter taktyczny wynikający z porażek militarnych. Oczywiście państwem jednoczącym wszystkie narody żyjące na Starym Kontynencie miała być III Rzesza jako bez wątpienia najsilniejszy organizm państwowy w Europie. W podobnym duchu wypowiedzieli się publicyści „Przełomu”, aczkolwiek ich konstatacje były oparte na realistycznych przesłankach i ocenach zarówno istniejącej rzeczywistości, jak i nadchodzącej przyszłości.



Jan Emil Skiński pisał: „Musimy uznać fakt, że pojęcie suwerenności poszczególnych małych i średnich narodów jest uznane zgodnie przez wszystkie strony wojujące za przestarzałe i nierealne. Niemcy walczą o nową Europę, którą chcą organizować na podstawach współpracy narodów w ramach wspólnoty europejskiej”. Skiński miał świadomość

PIOTR KOSMAŁA
„NA STRAŻY STAREGO
KONTYNENTU.
JEDNOŚĆ EUROPY
W POLSKIEJ MYŚLI
KONSERWATYWNEJ LAT
1914–1945”

CENTRUM EUROPEJSKIE NATOLIN

wolno stosować metody niedomówień, metody okłamywania lub załgiwania prawd w danej chwili przykrych. Takim najbardziej przykrym wnioskiem jest dla wielu nakaz zasadniczej zmiany naszego stosunku do narodu, który dotąd u nas odgrywa rolę okupanta. Podporządkowanie się Polski, jak w ogóle Europy, pod przewodnictwo Niemiec jest rzeczą decydującą o bycie lub niebycie narodu polskiego i Europy”.

Padły także pod adresem Niemiec jasno formułowane zastrzeżenia i oczekiwania: „W wolnej i zjednoczonej Europie nie mogą istnieć narody »zwycięskie« i »zwyciężone«, nie mogą istnieć »okupanci« i »okupowani«. Może natomiast istnieć naród kierujący i mogą być narody kierowane. Naród wodzowski musi raz na zawsze porzucić rolę narodu zwycięskiego wobec jakiegokolwiek narodu europejskiego. Z chwilą, gdy naród niemiecki zdecydował się wziąć na siebie znojne brzemień przewodnika europejskiego, nakazem dziejowym zmuszony jest oprzeć na nowych postawach swe stosunki z poszczególnymi »zwycięzonymi« narodami”.

Warto dodać, że Skiński swoje przywiązanie do idei europejskiej podkreślał w tekstach pisanych już po zakończeniu drugiej wojny światowej w trakcie pobytu na emigracji. ©©

Arkadiusz Karbowiak

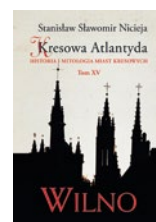
Ludzie Wilna

W XV tomie „Kresowej Atlantyd” prof. Nicieja wyznaje, że mylił się, kiedy twierdził, iż w latach II RP Lwów miał nad Wilnem przewagę, jeśli chodzi o potencjał intelektualny i twórczy. Pisze teraz, że gdy po 1918 r. ze Lwowa nastąpił duży odpływ kadr do Warszawy, Wilno „odbiło się od dna i uzyskało wysoki lot, dając kulturze i nauce świeżego oddechu”. Stało się to w wielkiej mierze dzięki uniwersytetowi. Autor podkreśla ogromne zasługi Józefa Piłsudskiego dla powstania Uniwersytetu Stefana Batorego, nazywając tę uczelnię najszlachetniejszym dziełem Marszałka. A kadrę tworzyły takie znakomitości jak Cezaria Ehrenkreutzowa, Stanisław Pigoń, Ferdynand Ruszczyc, Henryk Elzenberg, Henryk Łowmiański.

Nie mogło w tomie o Wilnie zabraknąć rozdziałów o braciach Stanisławie i Józefie Mackiewiczach. Profesor Nicieja przytacza dłuższy cytat z „Obłędu '44” Piotra Zychowicza, zauważając, że jego oceny wyrażone z dużym talentem publicystycznym i sugestywnością można by wprost przenieść do krytycznej w stosunku do polityki AK wobec Sowietów powieści Józefa Mackiewicza „Droga donikąd”.

W tomie poświęconym Wilnu osobne miejsce zajmują Tadeusz Konwicki, którego twórczość filmowa przepojona jest wątkami wileńskimi, i Zbigniew Żakiewicz, autor „Tryptyku wileńskiego”. Gdyby nie decyzje z Jałty, nad Wilną urodziłaby się Maryla Rodowicz. Autor stwierdza, że do miasta tego piosenkarka ma szczególny sentyment, gdyż z obu stron jej rodzina pochodzi z Wilna. ©©

Tomasz Stańczyk



**STANISŁAW SŁAWOMIR
NICIEJA**

„WILNO. KRESOWA
ATLANTYDA. HISTORIA
I MITOLOGIA MIAST
KRESOWYCH”, T. XV

WYDAWNICTWO MS

Geopolityka

Współczesna Białoruś jak Czechosłowacja w 1939 r.?

Manewry rosyjskich
wojsk na Białorusi

FOT. RIA NOVOSTI/EAST NEWS

Putin coraz bliżej...



Jacek Bartosiak

Tegoroczne lato upłynęło pod znakiem doniesień z Białorusi, gdzie nie tylko decyduje się los tego kraju, lecz także status bezpieczeństwa całego regionu Międzymorza, w tym status Rzeczypospolitej. Działania Rosji, której ręka sięga w ostatnich latach coraz dalej (Gruzja, Osetia, Abchazja, Krym, Donbas, Armenia, Morze Czarne, Syria, Libia), zaczynają dotyczyć naszego bezpośredniego obszaru bezpieczeństwa – między Brześciem a bramą smoleńską.

Gdy 22 września jechałem jako pasażer spod samej granicy białoruskiej nad Bugiem do Warszawy, podróż zajęła mi dwie rozmowy telefoniczne, przejrzenie Facebooka, jeden wpis na Twitterze oraz godzinną sesję z subskrybentami S&F na grupie facebookowej. I ku mojemu zdziwieniu już byłem na moście na Wiśle w Warszawie, choć kierujący autem Albert Świdziński wcale nie pędził jak szalony.

Te ok. 200 km w płaskim i dość dobrze skomunikowanym terenie to porażająco blisko w porównaniu z podróżami samochodem do Wrocławia, Krakowa, Gdańska czy na Warmię, gdzie często przecież jeżdżę.

Mówiąc wprost – byłaby to fundamentalna różnica, gdyby rosyjskie związki

operacyjne, w tym w szczególności 1. Gwardyjska Armia Pancerna, stacjonowały na Białorusi, której terytorium podlegałoby władzy Moskwy. Ostatnie tygodnie debaty w Polsce były równie porażające jak moje wrażenie z czasu przejazdu spod Brześcia do Warszawy. Z innego jednak powodu: niezrozumienia, jaka jest różnica między stacjonowaniem na Białorusi wojsk rosyjskich z całą niezbędną ciężkim jednostkom logistyką (czego się obawiam i właśnie dlatego piszę ten tekst) a jedynie „wpadaniem” przez nie na sojusznicze manewry oraz „wpięciem” ich w system obrony powietrznej czy rozpoznawanie dalekiego zasięgu, jak było do tej pory, względnie w elementy dowodzenia.

Blitzkrieg 1939

Niezależnie od wymiaru zagrożenia uderzeniami raketowymi na duże odległości, które zdominowało polską debatę publiczną, relatywizując znaczenie terytorium Białorusi w razie wojny lądowej na wschodniej flance NATO, Białoruś w wojskowej kontroli rosyjskiej stanowi dla Polski śmiertelne niebezpieczeństwo. Zmusi nas do zmian w stacjonowaniu wojska i zmiany planów kryzysowych, nie mówiąc już o tym, że powinno też zmienić plany modernizacyjne.

Przypomina to kasus wchłonięcia i rozbioru Czechosłowacji tuż przed drugą wojną światową. W dwudziestolecu międzywojennym aż do upadku Cze-

chosłowacji Niemcy mogli na poważnie zaatakować Polskę jedynie z Pomorza Zachodniego. Tylko ten obszar dawał głębię strategiczną i wystarczającą podstawę operacyjną, która zapewniała oparcie dużym jednostkom niemieckim i liniom logistycznym do wyprowadzenia uderzenia na Polskę. Prusy Wschodnie nie dawały takiej podstawy i umożliwiały jedynie uderzenie pomocnicze. Brandenburgia miała z powodu bagien Warty bardzo złe skomunikowanie z Wielkopolską. Śląsk niemiecki był flankowany z Wielkopolski, a przede wszystkim z Czechosłowacji, sprzymierzonej wówczas z Francją, zatem Niemcy nie mogli stamtąd planować wyprowadzenia uderzenia na Polskę, bojąc się interwencji czechosłowackiej lub prewencyjnej akcji polskiego wojska na swoje tyły czy skrzydło i odcięcia od rdzenia Niemiec.

Możliwość niemieckiego uderzenia głównego z jednego tylko kierunku głównego znakomicie poprawiała położenie strategiczne Polski i jej ewentualne przygotowanie obronne. Zwłaszcza że z tego kierunku było stosunkowo najdalej do Warszawy i do doliny górnej Wisły, która mogła stanowić strategiczną linię obrony w razie dłuższej wojny.

Upadek Czechosłowacji dramatycznie zmienił ten stan rzeczy. Niemcy mogli teraz wyprowadzić uderzenie główne zarówno z Pomorza Zachodniego, jak i ze Śląska. I to właśnie zrobili. Zwłaszcza uderzenia ze Śląska na Armię Łódź i potem armię odwodową Modlin

otworzyły im drogę do Warszawy. Do tego wyprowadzili uderzenie pomocnicze z Prus Wschodnich (skąd było najbliżej do Warszawy), przecinając nasze linie obrony pod Mławą.

Dzięki rozbiorowi naszego południowego sąsiada wykonali także pomocnicze, acz bardzo brzemienne w skutki uderzenie ze Słowacji, co zadecydowało o oskrzydleniu kluczowej dla naszego planu wojny Armii Kraków. Już drugiego dnia wojny doprowadzili do jej odwrotu, co złamało wzajemną asekurację skrzydeł wielkich polskich jednostek, i w konsekwencji do przegranej bitwy granicznej na całym długim froncie, i zarządzenia przez Naczelnego Wodza odwrotu za linię Wisły i Sanu dla wszystkich naszych armii. Na marginesie należy dodać, że Niemcy zażądali dostępu do Podkarpacia także od strony Węgier, które po rozbiorze Czechosłowacji zaczęły z Polską sąsiadować, ale satelickie wobec Niemiec Węgry odmówiły, narażając się zresztą na gniew Hitlera.

Do tego uwarunkowania geopolityczne zaistniałe w przededniu wojny stwarzały sytuację beznadziejną dla Polski. Pomińmy nawet pakt Ribbentrop-Mołotow, który czynił nasz kraj tylko przedmiotem gry o równowagę wielkich mocarstw (a nie jej podmiotem, jak myśłano w Warszawie). Analizując sytuację śmiertelnej gry międzynarodowej, która zaczynała się wobec Polski, nasze kierownictwo uznało, że wojsko polskie ma do spełnienia dwa zadania militarne, które przełożą się na cele polityczne naszego rządu: nie dać się zniszczyć na zachód od Wisły i wytrwać w walce, eskalując sytuację aż do wojny europejskiej z udziałem sojuszników Francji i Wielkiej Brytanii. Taka eskalacja w opinii naszych przywódców musiała się skończyć klęską Niemiec. W ten sposób kalkulowano przetestowanie (jak sądzono) blefu Hitlera, który stawiał Polsce kolejne ultimata, mając na celu podporządkowanie polityki polskiej swoim własnym celom.

Tak postawione zadania wymuszały na wojsku polskim wysuniętą obecność wzdłuż bardzo długiej granicy, by mocarstwa zachodnie nie uznały, że się nie bronimy (jak Ukraińcy na Krymie w 2014 r.), i z ulgą nie przystąpiły do wojny, dalek licząc na powstrzymanie apetytu Hitlera kosztem jedynie naszej części Europy – jak zrobiono w Monachium wobec Czechosłowacji.

Paradoksalnie, wojsko polskie wypełniło oba zadania, a zatem jako instrument polityki państwa spełniło pokładane w nim nadzieje. Nie dało się rozbić na zachód od Wisły, odwrót przebiegał sprawnie (nie zapominajmy, że kadra oficerska pamiętała wielkie odwroty roku 1920, a potem wielkie zwycięstwa), gros sił odbudowywało się za Wisłą i Sanem, a wielka bitwa nad Bzurą Armii Poznań i Armii Pomorze oraz uporczywa obrona Warszawy wiązały siły niemieckie.

Zabrakło oczywiście tylko interwencji naszych sojuszników, co było i tak raczej niemożliwe po pakcie niemiecko-sowieckim, który zmieniał rozkład sił w naszej części Europy, czyniąc z Polski przedmiot (czego ta zdawała się w ogóle nie dostrzegać). Tutaj zawiodła kalkulacja geopolityczna Becka. 17 września i wejście wojsk sowieckich do wojny ostatecznie rozwiąły nadzieje i zniweczyły starania naszego wojska.

Skąd teraz uderzą?

Do lata 2020 r. Rosja nie była w stanie wyprowadzić uderzenia na Polskę z obwodu kaliningradzkiego bez wcześniejszej długotrwałej rozbudowy sił i logistyki na Białorusi. Mogła uderzyć na państwa bałtyckie z okolic Pskowa czy Petersburga, ale nie mogła uderzyć na Polskę. Mogła grozić przecięciem naszej linii komunikacyjnej do państw bałtyckich, ale nie pełnym ani poważnym uderzeniem na Polskę, no, chyba żebyśmy większość naszych sił wystali za Niemen i Dźwinę. Obwód kaliningradzki w jeszcze mniejszym stopniu niż Prusy Wschodnie mógł stanowić dogodną podstawę operacyjną i Rosjanie raczej się obawiali, czy to my go zajmujemy.

Dlatego wbrew obiegowym opiniom nie trzymali istotnych sił w „obłożonym” z punktu widzenia sztuki wojennej Kaliningradzie. Natomiast pełnowojkowa obecność rosyjska na Białorusi spowodowałyby, że – podobnie jak to było ze Śląskiem w 1939 r. – Rosjanie mogliby z tej dogodnej podstawy operacyjnej z dwu co najmniej kierunków: Grodna i Wołkowyska na północ od Narwi oraz między Narwią i Bugiem, a także z Brześcia oraz Domaczewa/Sławatycz, wykonać uderzenie główne na Warszawę kilkoma możliwymi drogami. Mogliby iść na Białą Podlaską, Radzyń, Siedlce, Międzyrzec,

Mińsk Mazowiecki i dalej na przedmościa warszawskie od strony Pragi.

Dodatkowo mogliby (w historii robili to kilka razy) uderzyć między Włodawą a Chełmem w kierunku na Lublin do Dębłina w kierunku przepraw na Wisłę między Radomką a Pilicą. Obchodząc Warszawę od południa, tak jak w latach 1944 i 1945. Przy naruszeniu suwerenności Ukrainy mogliby stworzyć jeszcze jedną linię operacyjną przez Chełm, Lublin i Puławę, rozpraszając nasz wysiłek obronny na kierunku warszawskim.

Pomocnicze uderzenie rosyjskie mogłoby wówczas wyjść z obwodu kaliningradzkiego wzdłuż doliny Wisły, dodatkowo rozpraszając nasz wysiłek obronny na ogromnej wschodniej części kraju pociętej barierami głównych rzek Polski: Wisły, Bugu i Narwi.

Wniosek jest następujący: Białoruś w rękach rosyjskich w sposób oczywisty eliminuje możliwość pomocy państwom bałtyckim przez korytarz suwalski w razie wojny z Rosją, bezpośrednio uzależniając status bezpieczeństwa tych państw od woli Rosji. Równie groźnie brzmi to dla Ukrainy, dla której zagrożenie pojawi się od północnej granicy blisko Kijowa i głównych dróg kraju na zachód, zagrażając ukraińskiej komunikacji z Polską i Zachodem.

Plany obronne Polski będą musiały ulec weryfikacji. Za wcześniej, by przysądzać, czy realna linia obrony mogłaby być oparta dopiero na Wiśle i przedmieściach Warszawy, ale historyczne dowody na to wskazują. Inaczej musiałyby przebiegać modernizacja i polskie planowanie wojenne. Status bezpieczeństwa wschodniej Polski byłby dyskusyjny.

Co więcej, ewidentny brak zdolności państw zachodniej Europy do postawienia się wojskowo Rosji w razie odejścia Amerykanów za ocean albo na Pacyfik może po wchłonięciu Białorusi przez Rosję doprowadzić do sytuacji, w której status bezpieczeństwa państw w sąsiedztwie Rosji i jej projekcji siły będzie inny niż status Francji, Niemiec czy Hiszpanii. W nowej grze o równowagę sił zachodni Europejczycy mogą zachowywać się tak, że trudno nie będzie mieć wrażenia, że albo nie mogą, albo nie chcą gwarantować Polsce niezmiennego statusu, nie mówiąc już o gwarancjach dla Bałtów.

Czas na pobudkę ze snu, by nie stać się przedmiotem gry, coraz bardziej siłowej.



**Rafał A.
Ziemkiewicz**

/ Felieton

Tajemnica

Perłowej Przystani

/ 7 grudnia 1941 r. Kimmel był czasowo admirałem, dowódcą Floty Pacyfiku oraz bazy Pearl Harbor. Prawdziwym winnym masakry w bazie był, jego zdaniem, F.D. Roosevelt

napaścią Amerykanie złamali japoński szyfr i z kilkudniowym wyprzedzeniem znali dzień i godzinę napaści. Tej wiedzy nikt Kimmelowi nie przekazał. Jego bezpośredni przełożony i osobisty przyjaciel proszony przez oficera wywiadu, by Kimmela ostrzegł, obiecał to, ale nie zadzwonił. Potem, przesłuchiwany przez komisję Kongresu, udzielił rozczerwającego wyjaśnienia, że „jakoś zapomniał”.

Sam Kimmel, walcząc aż do śmierci o oczyszczenie swego dobrego imienia, sformułował

est coś niepojętego w uporze, z jakim kolejni prezydenci USA odmawiają zrehabilitowania Edwarda Kimmela, kozła ofiarnego, na którego złożono winę za wszystkie kompromitacje związane z klęską w Pearl Harbor. Być może dlatego, że mimo wielu nacisków nie uprosił swoim przełożonym sytuacji i odmówił wzięcia na siebie winy. George Bush senior, Bill Clinton, George W. Bush, Barack Obama – wszyscy oni po kolei odmówili podpisania przegłosowanego przez Senat aktu rehabilitacji admirała i przywrócenia mu admirałskiego stopnia, który miał w chwili ataku.

Już w czasie wojny Kimmel wielokrotnie stawiany był przed różnymi sądami, które ostatecznie nie umiały postawić mu poważniejszego zarzutu niż „błędna ocena sytuacji”. Jego walka o odzyskanie dobrego imienia nabrała jednak rozpędu dopiero po wojnie, gdy zdjęto tajemnicę, chroniącą dotąd osiągnięcia amerykańskiego wywiadu. Ujawniono, że na długi czas przed niespodziewaną

teorię radykalną. Armia i marynarka uczyniły z niego kozła ofiarnego, by ukryć prawdziwego sprawcę masakry: Franklina Delano Roosevelta. Według Kimmela to on właśnie cynicznie zakazał ostrzeżenia zagrożonej placówki, by klęska przybrała możliwie największe rozmiary. Potrzebował bowiem wstrząsu, szoku, by móc wreszcie wbrew opinii publicznej wprowadzić USA do wojny światowej.

Teoria Kimmela jest chwytliwa, logiczna i ma dziś w USA wielu wyznawców, ale ma też jedną wadę. Nie sposób znaleźć na jej poparcie żadnego dowodu. Ani w dokumentach, ani we wspomnieniach współpracowników Roosevelta. Jej wyznawcy opierają się wyłącznie na przesłankach z gatunku „Przypadek? Nie sądzę”. Czy mogło być przypadkiem, że akurat na czas ataku wyprowadzono z portu trzy lotniskowce, tak ważne dla późniejszego zwycięstwa?

Moim zdaniem tak, mogło tak być – w 1941 r. nikt nie rozumiał, że to nie pancerniki, ale właśnie lotniskowce zadecydują o wyniku wojny na Pacyfiku, ani Amerykanie,

ani Japończycy, którzy swój atak kierowali właśnie przeciwko pancernikom i którzy sami zmarnowali ogromne środki na budowę mało przydatnych kolosów „Yamato” i „Musashi”.

Kocham spiskowe teorie, ale nie wierzę w nie – wierzę raczej w bałagan i nieudolność biurokratycznych struktur. Amerykanie wiedzieli z rozszyfrowanych depesz, kiedy nastąpi atak, ale nie wiedzieli gdzie. Spodziewali się go raczej na Filipinach, dlatego wysłali tam cały transport swych najnowszych czołgów. Tyle że nie wysłali amunicji do ich dział i kaemów. Też spisek?

Nie, raczej koszmarny bałagan. I to ten właśnie bałagan chciała US Navy ukryć, zrzucając winę na nieszczęsnego Kimmela. Którego, co do tego zgoda, potraktowano wyjątkowo podle i ta podłość trwa do dziś.

PS Nie znalazłem informacji, czy Donald Trump także dostał do podpisania wspomniany na wstępie akt Senatu ani, a jeśli tak, czy zgodnie ze stanowiskiem sztabu podtrzymał decyzję poprzedników. @@

Pewnie mało kto mi uwierzy, ale do niedawna byłem jednym z niewielu dorosłych Polaków, którzy nie obejrżeli jednym ciągiem 21 części serialu „Czterej pancerni i pies”. Na apogeum kultu „Pancernych” z końca lat 60. nie załapałem się wiekowo. W połowie lat 70. jako 10-latek traślałem na pojedyncze odcinki. Potem jako młodociany antykomunista

gandowa laurka z uczciwą prozą wojenną. Rosjanie to – bez wyjątku – sympatyczni, ciepłi ludzie. Sowiecka machina wojenna to silny, ale życzliwy przyjaciel. O tym, że nikt nie wyjaśnia widzowi, jak Janek Kos trafił nad rzekę Ussuri, wspomniano już wiele razy. Rządziej wskazywane są jednak najbardziej zafałszowane fragmenty. Oto ojciec Janka, por. „West”, wchodzi do gabinetu sowieckiego generała i polskiego pułkownika.



Piotr Semka

/ Felieton

Czterej pancerni i fałsz

miałem już serial o braterstwie broni z Sowietami w głębokiej pogardzie. A po 1989 r. przygody Janka, Grzesia i Gustlika działały jeszcze mocniej na nerwy.

Teraz wszystkie części serii znalazłem na YouTube i postanowiłem odrobić zaległości w ramach analizy polityki historycznej epoki Gomułki i Mocзара.

Oczywiście zacznę do truizmu. Jest to dobrze zrobiony serial z nieźle wymyślonymi postaciami. Autor scenariusza, Janusz Przymanowski, miał talent. Skupienie fabuły na jednej załodze czołgu z sympatycznym czworonogiem to zgrabna formuła, którą odnowił niedawno amerykański film „Furia”.

W ten atrakcyjny konstrukt wpisano jednak opowieść, która z drugą wojną światową ma tyle wspólnego co propa-

/ Jakoś „Czterej pancerni i pies” ominęli mnie w dzieciństwie. Teraz – dzięki YouTube – odrobiłem zaległości w ramach analizy polityki historycznej epoki Gomułki i Mocзара

Na widok Rosjanina niechętnie marszczy czoło. Dziwi się, że obaj dowódcy nie do końca mu ufają. Potem jednak brak zaufania do sanacyjnego oficera znika i wszyscy śmieją się z po-

czątkowych uprzedzeń. W innym odcinku pancerniacy napotykają grupę polskich oficerów z wyzwolonego oflagu. „Z Lwowa” – jak zaznacza kierowca Wichura. Służący już w LWP wachmistrz rozpoznaje swego dowódcę z 1939 r. Ten początkowo okazuje niechęć do „tego wojska”, ale na widok kawaleryjskiego konia zgadza się zostać i walczyć. Gdy pyta o partyzantów w lasach na terenach Bierutowskiej Polski, jego były podwładny delikatnie wytyka mu używanie takiego określenia. „Partyzanci to byli jak Niemcy, naród gnębili”. Przymanowski nie stawia kropki nad i, ale sens jest jasny: oddziały leśne to nie są żadni partyzanci, tylko bandy. Takich akcentów jest w serialu więcej.

Przymanowski jak dobry kucharz wie jednak, że do swej propagandowej potrawy trzeba dorzucić trochę ironii z komunistycznej retoryki. Dlatego gdy w jednym z odcinków wojskowy kucharz chce dać psu Szarikowi kość, a ten nie bierze, pyta Janka Kosa: „Ten twój pies to partyjny, że taki hardy?”.

W innej scenie pancerniacy z brygady przywożą do frontowego szpitala miód w beczkach. Sowiecki dowódca szpitala pyta zdziwiony: „Skąd oni wzięli tyle miodu? Ot, burzuje”. Kierowca Wichura odpowiada: „U nas wszio mnogo. I miodu i burzui”.

Serial „Czterej pancerni i pies”, obok „Stawki większej niż życie”, jako jedna z niewielu produkcji filmowych PRL dzięki atrakcyjnej formie trafił do zbiorowej świadomości generacji Polaków po 1989 r. Wytykanie serialowi propagandowych zakłamań zaczęto uznawać za śmieszna nadgorliwość. „Przecież wszyscy wiedzą, jak było, a to tylko młodzieżowy film” – uspokajali przeciwnicy „dekomunizacyjnej szajby”.

Dzisiaj w rozmaitych stacjach „Czterej pancerni” hulają bez żadnego komentarza historycznego. Jak podejrzewam, w końcu film stanie się dla jakiejś lewicowej części młodych zapaleńców dowodem na to, że wszystko, co głosi „IPN-owska” wizja historii, jest fałszerstwem. Dlatego o bardzo sprytnych i ukrytych fałszerstwach serialu Janusza Przymanowskiego i reżysera Konrada Nałęczkiego trzeba przypominać. Nawet najsprawniej zrealizowany film zakłamujący nasze dzieje nie przestaje być bowiem fałszywką. I olśniewający uśmiech Poli Raksy jako sanitariuszki Marusi nic tu nie zmienia. ©©

8-12 października 1920 r. / Chwała jazdy polskiej



Zagon na Korosteń



Maciej Rosalak

/ Kiedy 1. Korpus Jazdy wracał po zniszczeniu strategicznego węzła kolejowego i pogromie armii bolszewickiej, prowadził więcej jeńców, niż sam miał żołnierzy...

W drugim tygodniu października wojna 1920 r. była już przez bolszewików przegrana. Sromotną klęską całego frontu Michaiła Tuchaczewskiego zakończyła się w końcu września bitwa nad Niemnem (patrz: „HDR” nr 91) i wraz z uciekającymi na wschód czerwonymi runął projekt niesienia pożaru rewolucji po trupie „białej Polski” na zachód. Miesiąc wcześniej jazda polska rozgromiła pod Komarowem 1. Armię Konną Siemiona Budionnego (patrz: „HDR” nr 92) i to był kres jej złowrogiej potęgi. Wkrótce wycofano ją z naszych kresów. 20 września polska

6. Armia doszła do rzeki Zbrucz – stanowiącej od pierwszego rozbioru w 1772 r. wschodnią granicę austriackiego zaboru Galicji, czyli Małopolski Wschodniej, która do Polski należała od czasów Kazimierza Wielkiego.

Natomiast od 1793 r. – gdy w wyniku drugiego rozbioru straciliśmy na rzecz Rosji rozległe obszary Mińszczyzny i Kijowszczyzny wraz z całym Wołyniem – właśnie zachodnia część ziemi wołyńskiej stanowiła od północy, wiszący nad wschodnią Galicją, rosyjski miecz. Na pozbycie się groźby tego miecza pozwalałoby wytyczenie granicy II Rzeczypospolitej mniej więcej wzdłuż biegu rzeki Słucz (z Równem i Sarnami, a bez Szepietówki),

„Pogoń za bolszewikami podczas zagonu na Korosteń”, mal. Wojciech Kossak FOT. DOMENA PUBLICZNA



do znanej spod Komarowa, wyborowej i zaprawionej w bojach dwubrygadowej 1. Dywizji Jazdy, dowodzonej nadal przez płk. Juliusza Rómmela z płk. Aleksandrem Pragłowskim jako szefem sztabu, dołączyła 2. Dywizja Jazdy pod dowództwem płk. Gustawa Orlicza-Dreszera. Szefem jej sztabu był rtm. Jan Karcz, a w pięciu pułkach z sześciu tej dywizji przeważali poborowi i ochotnicy z lata 1920 r. Łącznie 1. Korpus Jazdy liczył kilka tysięcy jeźdźców – cztery brygady, każda po trzy pułki – łącznie 12 pułków.

W dywizji spod Komarowa VI Brygadą Jazdy dowodził płk Konstanty Plisowski. Brygadę tworzyły trzy pułki ułanów: 1. Pułk Ułanów Krechowickich, 12. Pułk Ułanów Podolskich i 14. Pułk Ułanów Jazłowieckich. Pułkownik Henryk Brzezowski dowodził VII Brygadą Jazdy. Tworzyły ją: 2. Pułk Szwoleżerów Rokitniańskich, 8. Pułk Ułanów Księcia Józefa Poniatowskiego, 9. Pułk Ułanów Małopolskich. Dywizję wspierały trzy baterie artylerii konnej oraz batalion szturmowy z karabinami maszynowymi na podwodach.

W 2. Dywizji Jazdy VIII Brygadą dowodził ppłk Stanisław Grzmot-Skotnicki. Miał pod rozkazami: 202. (ochotniczy) Pułk Ułanów Grochowskich; 108. Pułk Ułanów; 115. Pułk Ułanów (dwa ostatnie z letniego poboru). IX Brygada Jazdy pod dowództwem mjr. Jana Głogowskiego wystąpiła w składzie: 1. Pułk Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego; 201. (ochotniczy) Pułk Szwoleżerów; 203. (ochotniczy) Pułk Ułanów z ziemi kaliskiej.

Zagon na Korosteń ruszył spod Zwiahla. Trwał dokładnie 102 godziny. Przez ten czas kawalerzyści przebyli do 250 km, rozbili doszczętnie 7. Dywizję Strzelców oraz brygadę strzelecką (XVII BS) z 12. Armii bolszewickiej, wzięli do niewoli 4 tys. jeńców, zdobyli także 22 dział i do 100 karabinów maszynowych. Stało się to między 8 a 12 października 1920 r. Dodajmy, że jeśli liczyć walki od 1 października, to wysokość bolszewickich strat znacznie wzrosła. Na przykład liczba jeńców – do 7 tys.; więcej niż żołnierzy liczył nasz korpus. A stało się to tak...

Pułkownicy Rómmel z Pragłowskim opracowali i przedstawili Naczelnemu Dowództwu oraz dowódcą 6. Armii gen. Stanisławowi Hallerowi dwa warianty uderzenia. Pierwszy – marsz na Kijów. Drugi – na Korosteń, ważny węzeł kolejowy, którego zniszczenie i straty za-

dane wrogowi zdeorganizowałyby bolszewicką obronę prawobrzeżnej Ukrainy na północy. Wybrano ten drugi wariant, aby nie wkręcać się w kolejną kampanię kijowską, której nawet zdobycie samego Kijowa nie przyniosłoby ani militarnego, ani politycznego rozstrzygnięcia.

1 października, gdy polscy jeźdźcy znaleźli się nad Słuczą, stały przed ich frontem znacznie liczniejsze, ale zdemoralizowane, pozbawione ochoty do walki dywizje bolszewickiej 12. Armii: 58. Dywizja Strzelców w rejonie Olewska, 7. DS na wschód od Słuczy, 44. DS na północ od szosy żytomierskiej do Berdyczowa. Na styku 12. Armii i będącej dalej na południe 14. Armii stała Baszkirska Brygada Kawalerii, najbardziej sprawny bojowo związek taktyczny, pozostawiony w spadku po Budionnym. Zaraz też polskie pułki dokonały wypadu na wschodni brzeg rzeki, rozbijając 44. Dywizję Strzelców.

Dalszy ciąg wydarzeń przedstawie wedle relacji płk. Pragłowskiego („Przegląd Kawalerski” 1936, nr 4), który – jako szef sztabu zarówno 1. Dywizji, jak i całego 1. Korpusu – miał dostęp do wszystkich rozkazów operacyjnych oraz raportów, co pozwalało mu na pełny ogląd sytuacji. Dowództwo korpusu знаło nieprzyjacielskie siły na bliskim przedpolu, ale nie wiedziało, jak wielkie siły napotka w samym Korosteniu. Wykorzystało zaś przerwy między czerwonymi armiami i ruszyło prosto na wschód – a nie na północny wschód, na Korosteń – aby zmylić przeciwnika. Doszło wtedy do ataku oddziałów 7. DS z północy na naszą VII Brygadę, która jednak łatwo odparła wroga.

Drugiego dnia cztery brygadowe kolumny polskie obrały kierunek na swój właściwy cel. I oto „jeniec, a potem łącznik sowiecki, przychwycony do niewoli, zeznają, że do Korostenia napływa z Kijowa transportami kolejowymi brygada rezerwowa piechoty (XVII) w sile około 5.000 ludzi. Transporty są podobno jeszcze w toku. Wiadomość ta powoduje, że pułkownik Rómmel decyduje się na przyspieszenie natarcia na Korosteń”. Zgodnie z jego rozkazem ułani maszerują i nie śpią nocą poprzedzającą natarcie na główny cel wyprawy.

Szwoleżerowie 2. Pułku o godz. 2 dokonują nawet wysadzenia dwóch mostków kolejowych na linii Zwiahel-Korosteń, co unieruchamia trzy pociągi

będącej przedłużeniem linii Zbrucza (z południa) i rubieży osiągniętej na północ od Prypeci (zrezygnowaliśmy tam niestety ze zdobytego Mińska). Aby umocnić naszą granicę na Wołyniu – i zarazem zakończyć wojnę zwycięstwem niepozostawiającym wątpliwości, kto triumfował w polu – ruszył rajd wielkiego zgrupowania polskiej kawalerii, który przeszedł do historii jako zagon na Korosteń. Wykonał go 1. Korpus Jazdy na czele z płk. Juliuszem Rómmlem.

Wielki Gon

Tak wielkiego zgrupowania ludzi i koni dotąd nie udało nam się utworzyć. Oto



Orzeł w koronie na tarczy Amazonek zdobitą czapkę żołnierzy WP od 1919 r.

FOT. MNK

i kompletnie rozbita złożyła broń.

Piątego dnia zagończyków odnalazł o godz. 14 polski lotnik, „przywoząc dobrą nowinę, że stoimy bezpośrednio przed podpisaniem rozejmu, kończącego zwycięską kampanję”. Radość polskiego szefa sztabu jeszcze bardziej wyraża konkluzja: „W sumie 12 armia sowiecka przestała istnieć jako poważna wartość bojowa; pozostały

pancerne mogące ogniem swych dział i ckm-ów udaremnić polski atak. Padną łupem Polaków, którzy w powrotnej drodze wysadzą je ich własną amunicją.

Około godz. 3 dworzec korosteński i miasto atakuje w szyku pieszym z zachodu 1. Dywizja, a wkrótce – od wschodu – 2. Dywizja. Nasza znakomita artyleria konna, ciągle na przedzie, razi wroga ogniem na wprost. Wypląsa też z miasta pozostałe tam dwa bolszewickie pociągi pancerne. Wtedy obydwie brygady wtargnęły do miasta i po krótkich, ale gwałtownych walkach ulicznych miasto i węzeł kolejowy są w ich rękach. „Oddziały sowieckie odrzucone przez 1. dywizję wpadają teraz na 2. Część ich zdołała wymknąć się w lasy na północ; reszta została zarąbana lub wzięta do niewoli” – pisze płk Pragłowski. I dalej: „Miejscowość zostaje do południa ubezpieczona oddziałami 1. dywizji, dającymi saperom czas na zniszczenie stacji oraz mostu kolejowego na Uszy”.

Zagończycy cofają się następnie w przewidziane rejony. „Godne uwagi są także przemarsze, dokonane w ciągu trzydziestu godzin od ranka 9 X do południa 10 X – to jest do obszaru odskoku: – oddziały 1. dywizji pokonały do 90 km; – oddziały 2. dywizji do 110 km; – 108. pułk ułanów do 150 km – z temże wszystkie oddziały posuwały się lichymi i piaszczystymi drogami i brały udział w ciężkich, kilkugodzinnych walkach przy niedoskonałym zaopatrzeniu. Mimo tych wysiłków nie było prawie strat m arszowych w koniach!” – podkreśla z zachwytem urodzony kawalerzysta.

Tak się złożyło, że najbardziej dramatyczną walkę stoczy VIII Brygada nocą z czwartego na piąty dzień wyprawy z 7. Dywizją Strzelców, która przebijając się na wschód i do końca nie dawała za wygraną. Zdawało się już, że przeważające liczebnie fale czerwonoarmistów zaleją pozycje ułanów, ale w krytycznym momencie nie zawiodła artyleria konna, a wreszcie przybyła też odsiecz 115. Pułku Ułanów. Pod Rudnią Baranowską zginął dowódca 8. Dywizjonu Artylerii Konnej ppłk Artur baron Buol, Węgier. Przed śmiercią powiedział: „Spłacam Polsce dług Węgier za jej pomoc w powstaniu 1848 r.”. A 7. DS została zdziesiątkowana

z niej raczej strzępy...”. To był, zaiste, Wielki Gon, że zapożyczę tę mityczną nazwę od wikingów.

Chłopcy malowani

Pułki, które uczestniczyły w rajdzie na Korosteń, stały się rdzeniem kawalerii II Rzeczypospolitej, punktem odniesienia dla kolejnych polskich ułanów, szwoleżerów, strzelców konnych i artylerzystów konnych. Dla całej jazdy polskiej tak za komuny wykpiwanej, która dała przykład najwyższego męstwa, skuteczności i honoru. Przyjrzyjmy się bliżej tradycjom pułków 1. Korpusu i niektórym z jej dowódców.

Oto dowódca VI Brygady Jazdy spod Komarowa i Korostenia płk Konstanty Plisowski, który 11 lipca 1919 r. poprowadził słynną szarżę pod Jazłowcem przeciw ukraińskiej Halickiej Armii. Szarża zwycięsko kończyła wojnę wywołaną przez zachodnich Ukraińców 1 listopada 1918 r. we Lwowie. Tradycja bitwy z lipca 1917 r. przeciw żołnierzom wszystkich trzech zaborców (przed Niemcami i Austriakami gromili Polacy rosyjskich maruderów grabiących Krechowce) opromieniała 1. Pułk Ułanów Krechowickich. Rodowód 12. Pułku Ułanów Podolskich sięgał zaś Księstwa Warszawskiego i powstania listopadowego. Pod Komarowem ciężko ranny został jego dowódca – rtm. Tadeusz Komorowski, późniejszy komendant główny AK. Natomiast 14. Pułk Ułanów Jazłowieckich był oczywiście tym oddziałem, który do zwycięstwa pod Jazłowcem poprowadził w lipcu 1919 r. płk Plisowski.

VII Brygadą Jazdy dowodził płk Henryk Brzezowski, świetny organizator konnicy ziemi krakowskiej w 1918 r. Miał pod komendą 2. Pułk Szwoleżerów Rokitniańskich, z żywą pamięcią owej Somosierry pierwszej wojny światowej, oraz 8. Pułk Ułanów ks. J. Poniatowskiego – którego wybrano na patrona jako założyciela i dowódcę oddziału z 1784 r. Dowódca – rtm. Kornel Krzeczunowicz – poprowadził decydującą szarżę pod Komarowem. Obok nich mniej głośny, ale wielce zasłużony 9. Pułk Ułanów Małopolskich. Utworzony w Dębicy, od listopada 1918 r. ów pułk rodził się w walkach z Ukraińcami i Czechami. A batalionem szturmowym 1. Dywizji dowodził 28-letni wtedy kpt. Stanisław Maczek, który w 1939 r. kiero-



Juliusz Rómmel – zwycięzca spod Komarowa i Korostenia

FOT. WIKIPEDIA



Szef sztabu 1. Korpusu Jazdy, 25-letni Aleksander Pragłowski

FOT. WIKIPEDIA

wał pierwszą w WP brygadą kawalerii zmotoryzowanej, a następnie kolejnymi wcieleniami „Pierwszej Pancernej”.

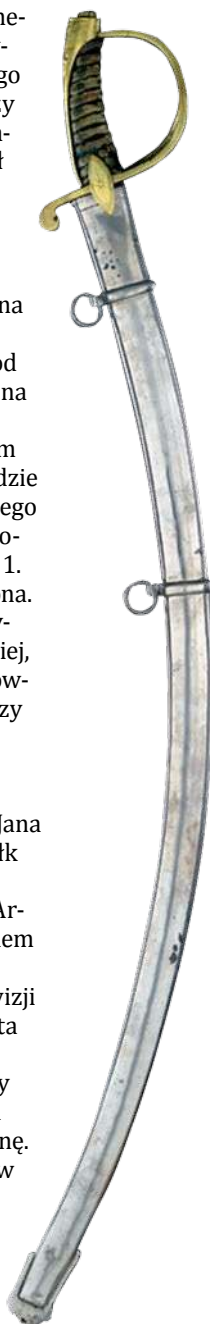
Wśród wielu znanych czynów dowódcy 2. Dywizji Jazdy płk. Gustawa Orlicza-Dreszera zauważmy tu, że zorganizował 1. Pułk Szwoleżerów i początkowo nim dowodził. A szef sztabu 2. Dywizji rtm. Jan Karcz po nienagannej służbie w WP zginął w 1943 r. heroiczną śmiercią jako nieugięty współpracownik rtm. Pileckiego w KL Auschwitz.

VIII Brygada Jazdy dowodził ppłk Stanisław Grzmot-Skotnicki z historycznego składu słynnej „siódemki” – pierwszego strzeleckiego patrolu ułańskiego w 1914 r. Zginął w desperackiej szarży w 1939 r., gdy przebiegał się do Warszawy na czele pomorskich ułanów. Miał pod rozkazami 202. Pułk ochotniczy oraz dwa pułki ułanów z poboru 1920 r. (108. i 115.). Obydwa pozostały w WP jako jednostki kadrowe, kolejno: 20. Pułk Ułanów im. Króla Jana III Sobieskiego oraz 25. Pułk Ułanów Wielkopolskich, ze sławą odsieczy pod Rudnią Baranowską podczas zagonu na Korosteń.

IX Brygada Jazdy pod dowództwem mjr. Jana Głogowskiego miała w składzie 1. Pułk Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego – z tradycją pierwszego oddziału legionowej kawalerii Komendanta, ale też 1. Pułku Szwoleżerów Gwardii Napoleona. Szwoleżerowie dokonali wielkich czynów m.in. podczas wyprawy kijowskiej, właśnie pod dowództwem mjr. Głogowskiego. Natomiast 201. Pułk ochotniczy za zasługi w wojnie z bolszewikami został decyzją samego Marszałka na stałe w Wojsku Polskim jako 3. Pułk Szwoleżerów Mazowieckich im. płk. Jana Kozińskiego. Podobnie jak 203. Pułk ochotniczy, który – m.in. za zdobycie 15 sierpnia radiostacji sowieckiej 4. Armii w Ciechanowie – stał się 27. Pułkiem Ułanów im. Króla Stefana Batorego.

W pięciu pułkach z sześciu tej dywizji przeważali poborowi i ochotnicy z lata 1920 r. Nie mieli za sobą takiego doświadczenia bojowego jak np. koledzy z 1. Pułku Szwoleżerów, ale ożywiała ich nie mniejsza wola walki za ojczyznę. Nieugięty duch ułański dwóch pułków z poboru i dwóch ochotniczych dał im stałe miejsce wśród 40 pułków kawalerii – elity siły zbrojnej II Rzeczypospolitej.

Szabla polskiej jazdy wz. 1917 używana podczas wojny bolszewickiej
FOT. MNK



Msza z Trydentu



Maciej Rosalak

Pamiętacie te słowa: „Pater noster, qui es in caelis / sanctificetur nomen tuum / adveniat regnum tuum / fiat voluntas tua / sicut in caelo et in terra...”. Tak, to oczywiście początkowe trzy wezwania do Boga z „Ojciec nasz” – modlitwy, którą ułożył sam Jezus dla swych uczniów. Tyle że On zwracał się do nich zapewne po aramejsku. Była to mowa pustynnych koczowników, która już za czasów imperium asyryjskiego, a następnie perskiego stała się interlingwą starożytności, a na początku naszej ery panowała na Bliskim Wschodzie obok greki. Notabene, w Internecie można znaleźć przepiękne wykonanie modlitwy przez duet śpiewający ją właśnie po aramejsku. Ktoś zamieścił tam krótki komentarz: „Ciary przechodzą...”. Istotnie.

Najstarsze wersje Ewangelii zachowały się – jak wiadomo – w redakcji greckiej i w tym języku przekazały tę modlitwę wiernym. Na grece oparto zresztą całą liturgię mszy świętych wczesnego chrześcijaństwa. W ciągu wieków – zwłaszcza po rozłamie Kościołów wschodniego i zachodniego w połowie XI w. – to się zmieniało. Na zachodzie dominowała łacina, ale liturgię w tym języku uporządkował dopiero – wykonując postanowienie soboru trydenckiego (1545–1563) – Pius V, w bulli „Quo primum”, ogłoszonej 14 lipca 1570 r. Tak więc niedawno minęło od tamtego czasu dokładnie 450 lat. Trudno byłoby jednak uroczystości obchodzić ów jubileusz. Nie tylko dlatego, że z powodu koronawirusa zdeorganizowano – po raz pierwszy w dziejach z poparciem papieża i episkopatów – życie Kościoła rzymskokatolickiego. Otóż 51 lat temu papież Paweł VI, wykonując postanowienie Soboru Watykańskiego II, ogłosił 3 kwietnia 1969 r. konstytucję apostolską „Missale Romanum”, która wprowadziła stosowany obecnie rytuał mszy świętych. Obowiązują języki narodowe, ksiądz odprawia msze, stojąc twarzą do wiernych, a oni biorą w liturgii bezpośredni udział. Także o tym wspomina z goryczą Paweł Lisicki w swej najnowszej książce („Dogmat i tiara. Esej o upadku rzymskiego katolicyzmu”, Fronda, Warszawa 2020).

Pamiętacie „Pater noster...”? Większość wiernych w Polsce nie może już pamiętać odprawianych po łacinie tzw. mszy trydenckich. Jakis czas temu przypomniałem sobie dzieciństwo na takiej mszy w mojej parafii. Kościół był jeszcze pusty, kiedy piątkowego wieczoru zająłem miejsce w pierwszej – by lepiej widzieć – ławce. Było jak dawniej. Ksiądz w bogatym ornacie zwracał się twarzą do Boga, mówił i śpiewał po łacinie wraz z ministrantami i organistą, łacińska liturgia potęgowała tajemnicę sacrum, a wierni klękali, aby przyjąć Najświętszy Sakrament. Największym zaskoczeniem stało się jednak to, co ujrzałem za sobą. Oto rozległą ursynowską świątynię szczelnie wypełniali ludzie. Stali rzędami, z powagą, bez rozmów, chichotów, zabawiania niesfornych z nudów dzieci, przejęci misterium. Kiedy ich tyłu przyszło? Dlaczego? Co skłoniło ich w pełen atrakcji wieczór przed weekendem do uczestnictwa w długiej mszy odprawianej w zapomnianym języku, ponad pół wieku temu zaniechanej przez rzymskokatolicki Kościół, który staje się niekiedy tak otwarty i nowoczesny, jakby sam przestawał wierzyć w głoszone przez dwa tysiące lat dogmaty? Cóż, a jednak: non omnis moriar... ©©

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Battle dress



Michał Mackiewicz

pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego
w Warszawie

/ Znakiem rozpoznawczym żołnierzy Wspólnoty Brytyjskiej oraz tych, których armie organizowano w czasie drugiej wojny światowej na terenach znajdujących się pod brytyjską jurysdykcją, był mundur polowy (bojowy) – battle dress

Prace nad nim rozpoczęto na początku lat 30. Miał zastąpić klasyczne i sięgające początków XX w. umundurowanie składające się z długiej sukiennej kurtki i ze spodni do owijaczy. Nowy wzór przeznaczony był dla wszystkich rodzajów wojsk, pod uwagę wzięto zarówno oszczędność produkcji, jak i względy praktyczne; istotnym kryterium była m.in. wygoda żołnierzy broni pancernej. Tuż przed wybuchem wojny battle dress zdążono przetestować i wprowadzić postulowane poprawki, dostosowując go jednocześnie do nowo opracowanego oporządzenia parcianego (Basic Web Equipment 1937 Pattern).

Komplet składający się z krótkiej kurtki i długich spodni sztyto ze spe-

cialnie opracowanego sukna. Pierwszy wzór – 1937 Pattern – występował w aż 18 rozmiarach, w trakcie wojny wprowadzono dwa dodatkowe. Kurtka, nazywana także bluzą, przypominała w kroju wiatrówkę; miała stojąco-wykładany kołnierz zapinany pod szyją haftkami, sięgała pasa, posiadała dwie zewnętrzne kieszenie z klapami i kontrafałdami. Zapinano ją na pięć mosiężnych guzików krytych listwą, a z przodu dolnej krawędzi znajdował się integralny pasek, który zaczepiano o metalową sprzączkę. Kurtka była luźniejsza w ramionach i posiadała integralne naramienniki. Wewnątrz znajdowały się dwie kieszenie.

Spodnie były długie, proste, wysokie w stanie i miały szlufki umożliwiające utrzymanie pasa głównego w stałym

miejsu, w przypadku kiedy żołnierz występował bez kurtki, lecz tylko z koszulą, co zdarzało się nader często w gorącym klimacie, a więc w Afryce, na Bliskim Wschodzie i Półwyspie Apenińskim. Z tyłu spodni były guziki, którymi przypinano kurtkę, zapobiegając w ten sposób nieestetycznemu „rozjeżdżaniu” się obu elementów podczas służby. Poza dwiema wpuszczanymi skośnymi kieszeniami na udach znajdowały się naszyte kolejne dwie, przy czym mniejsza, na prawym udzie, przeznaczona była na opatrunek osobisty. W polu do spodni stosowano brezentowe spinacze oraz wiązane trzewiki.

Oszczędności czasu wojny wymusiły zmiany w wyglądzie battle dressu (1940 Pattern), przy czym najbardziej rzucały się w oczy brak listwy zakrywającej guziki (wykonywano je teraz z tworzywa sztucznego zamiast z metalu) oraz kontrafałd na kieszeniach. W ciągu wojny sorty sztyto były przez różnych producentów we wszystkich krajach Wspólnoty oraz w USA, stąd też różnice w kroju i użytym materiale, wiele odmiennych detali, a nade wszystko mozaika odcieni zieleni i brązu są doskonale uchwytne na zachowanych zdjęciach archiwalnych i wyraźnie widoczne na oryginalnych egzemplarzach muzealnych.

Zimą noszono także sukienne dwurzędowe płaszcze zapinane na cztery guziki, z szerokimi klapami i kołnierzem, który można było postawić, spiąć haftką i zabezpieczyć klapką, tworząc dobrą osłonę przed zimnem i wiatrem. Płaszcz posiadał na wysokości bioder dwie kieszenie z klapami, a z tyłu regulowane pęto oraz podwójną niezszytą fałdę z rozporkiem. Płaszcze były na tyle obszerne, że można było pod nimi nosić kożuszki lub serdaki. Guziki w płaszczech polskich żołnierzy zdobił orzeł w koronie.

Wizerunku żołnierza Wspólnoty dopełniał hełm Mk II, który podobnie jak stahlhelm w Wehrmachcie już z daleka umożliwiał właściwą identyfikację. Był jednoczęściowy, stosunkowo płytki i miał wyraźnie wyodrębnione oraz lekko opadające rondo. Umundurowanie wzoru brytyjskiego stosowane było w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. Dostarczano je także drogą lotniczą dla oddziałów Armii Krajowej. Na zdjęciu: żołnierze 5. Kresowej Dywizji Piechoty w przepisowych battle dressach w zdobytej Bolonii (1945 r.). ©

Bolszewicka maczuga

Wśród wielu pamiątek wojny polsko-bolszewickiej w zbiorach MWP znajduje się niepozorna zdobyczna maczuga. Przypomnijmy, że zapis z karty katalogu naukowego brzmi: „Broń tzw. świençołka odebrana przez ułana polskiego Stanisława Świackiego od kawalerzysty bolszewickiego we wrześniu 1919 r. przy wsi Grizino w pobliżu Berezyny w ziemi Mińskiej”. We wrześniu 1919 r. na linii Berezyny, także na jej wschodnim brzegu, trwały walki oddziałów wchodzących w skład polskiego Frontu Litewsko-Białoruskiego, dowodzonego przez gen. Stanisława Szeptyckiego, z Armią Czerwoną. Spośród formacji kawaleryjskich brał w nich udział m.in.

1. Pułk Ułanów Wielkopolskich (późniejszy 15. Pułk Ułanów).

Zdobyczna świençołka, której nazwa pochodzi od potocznego określenia „przeświecić (kogoś)”, czyli uderzyć, dać nauczkę, jest samodzielnie wykonaną bronią obuchową przypominającą średniowieczny kiścień. Składa się

z elastycznego trzonka sporządzonego ze skręconych drutów stalowych i owiniętego w miejscu chwytu warstwą skóry oraz płótna lnianego oraz zakończonego wrzecionowatą ołowianą główką. Do rękojeści przymocowano skórzany rzemień na rękę zapobiegający zgubieniu broni. W latach pierwszej wojny światowej taki archaiczny oręż przeżywał renesans. Maczugi okopowe używane były przez żołnierzy wszystkich stron konfliktu do walki na najbliższym dystansie. Wchodziły także w skład arsenału oddziałów szturmowych. Widoczne są także na wielu archiwalnych fotografiach z okresu 1919–1920. ©©



6,5 mm

W 1891 r. Włosi wprowadzili do uzbrojenia karabin powtarzalny – Moschetto Modello 91/38., systemu Mannlicher-Carcano. Miał magazynek pudełkowy i czterotaktowy zamek tłokowy ślizgowo-obrotowy do naboju kal. 6,5 mm. W ciągu kolejnych kilkudziesięciu lat opracowano wiele jego wersji dla różnych rodzajów wojsk. Do najbardziej charakterystycznych należał karabinek kawaleryjski, który wyróżniał się składanym pod lufą integralnym bagnetem kłującym. Był szeroko wykorzystywany przez armię włoską podczas obu wojen światowych. Miał zagiętą rączkę zamkową, a magazynek ładowano sześcioma nabojami ujętymi blaszanym ładownikiem (łódką ramkową). Długość całkowita karabinka wynosiła 92 cm. W latach 30. opracowano wersję na silniejszy, 7,5-milimetrowy nabój. Karabinki te używane były także w oddziałach górskich oraz przez kierowców, artylerzystów, spadochroniarzy, żołnierzy rozmaitych służb oraz karabinierów i policjantów. Na zdjęciu: karabinek wz. 1891/38 kal. 6,5 mm wyprodukowany w latach drugiej wojny światowej. ©©



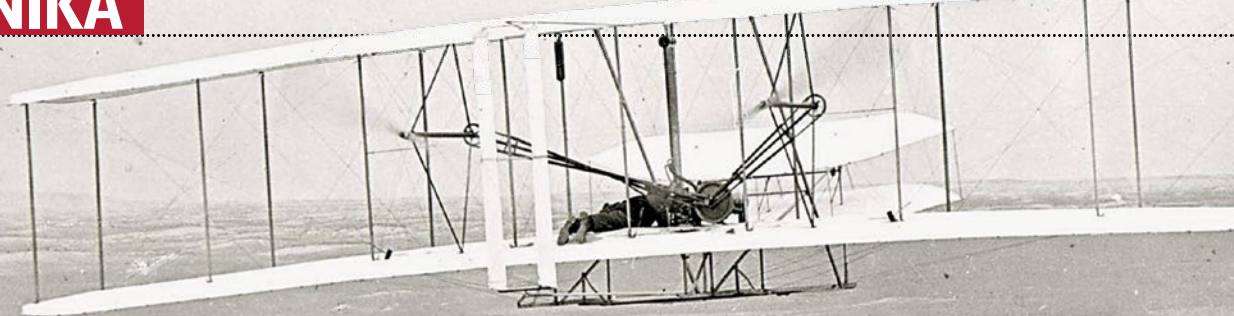
F4F Żbik

W początkowym okresie wojny na Pacyfiku podstawowym amerykańskim myśliwcem pokładowym był F4F Wildcat (Żbik) opracowany w zakładach lotniczych Grumman. W 1935 r. US Navy zgłosiła zapotrzebowanie na taki samolot. W 1939 r. w powietrze wzbił się prototyp XF4F-3. Został wysoko oceniony przez przedstawicieli marynarki i przyjęty do uzbrojenia. Pierwsza seryjna wersja – F4F-3 – trafiła do jednostek w 1940 r. Przeszedł bojowy chrzest w Europie. Zakłady Grummana podpisały kontrakty z rządami Francji i Grecji.



Ponad sto maszyn nie dotarło jednak do odbiorców przed ich ostateczną kapitulacją, lecz trafiło ostatecznie do Wielkiej Brytanii. Tam znane były pod nazwą Martlet i już w 1940 r. odnosiły pierwsze zwycięstwa na północnym Atlantyku i na Morzu Śródziemnym.

F4F-3 był całkowicie metalowym jednomiejscowym średniopłatem wyposażonym w gwiazdowy silnik Pratt & Whitney o mocy 1200 KM z dwustopniową sprężarką. Maksymalna prędkość wynosiła 531 km/h. Uzbrojenie stanowiły cztery karabiny maszynowe 0,50 cala. Zasięg wynosił 1360 km. Doświadczenia angielskie zaowocowały opracowaniem kolejnej wersji Wildcata – F4F-4. Ta maszyna otrzymała: silniejsze uzbrojenie (sześć kaemów), opancerzenie kabiny pilota, samouszczelniające się zbiorniki paliwa i składane skrzydła. Do jednostek trafiać zaczęła tuż przed atakiem na Pearl Harbor. ©©



1910 r.

/ Od „Kaczki” do Hughes H-4 „Hercules”

Wodnopłatownce



Tymoteusz Pawłowski

/ Był czas, gdy zdawało się, że przyszłością transportu lotniczego są wodnopłatownce. Złota era hydroplanów nie trwała jednak nawet 20 lat

Z początku hydroplany były szybsze, bardziej ładowne i miały większy zasięg niż klasyczne samoloty. A jednak – zwłaszcza w miarę budowy odpowiednich pasów startowych na stałym lądzie – wodnopłaty stawały się ślepą ścieżką technicznej ewolucji.

14 grudnia 1903 r. Amerykanin Wilbur Wright dokonał pierwszego lotu samolotem silnikowym. Pierwszy start i pierwsze lądowanie na wodzie udało się Francuzowi – dokonał tego Henri Fabre 28 marca 1910 r. Jego samolot – Canard, czyli Kaczka – był w miarę klasyczną „ładową” maszyną wyposażoną w pływak zamiast kół. Nie było w tym sprawiedliwości dziejowej – w czasach Wrighta dużo bardziej zaawansowani w badaniach nad lotnictwem byli Francuzi i to we Francji rozwijało się lotnictwo. W Stanach Zjednoczonych prowadzono natomiast najaktywniejsze prace nad wodnosamo-

lotami. Tam właśnie powstała pierwsza łódź latająca, skonstruowana w 1911 r. przez Glena Curtissa.

Glen Curtiss otrzymał pierwszą Nagrodę Colliera – najważniejszą coroczną amerykańską nagrodę lotniczą (w 2019 r. dostał ją samolot kosmiczny Boeing X-37). Robert Collier był wydawcą prasowym, podobnie jak Gordon Bennett czy Ralph Pulitzer. Dla wodnosamolotów największe znaczenie miał jednak Jacques Schneider – francuski przedsiębiorca zbrojeniowy. Wszyscy wspomniani fundowali wysokie nagrody pieniężne dla lotników, które zachęcały pionierów lotnictwa do bicia rekordów. W tym czasie bowiem lotnictwo było przede wszystkim sportem, ale sportem dziwnym, bo uprawianym przez mechaników i inżynierów za pieniądze bogaczy.

Sytuacja zmieniła się w 1914 r., gdy wybuchła pierwsza wojna światowa. Samoloty stały się bronią. Wielka Brytania – walcząc przeciwko niemieckim okrętom podwodnym – kupiła łódzie latające Curtissa. Ulepszała je stopniowo, budując coraz większe i mające dalszy zasięg. Nad Adriatykiem ewolucja łodzi latających poszła w inną stronę – Włosi i Austriacy potrzebowali myśliwców, toteż produkowali wodnopłatownce małe, zwinne i szybkie.

Wzlot wodnopłatów

Gdy w 1918 r. pierwsza wojna światowa dobiegła końca, wodnopłatownce były

dojrzałymi konstrukcjami i to właśnie im – maszynie Curtiss NC – przypadł zaszczyt przelotu nad Atlantykiem w 1919 r. Łódzie latające stały się pierwszymi samolotami pasażerskimi zdolnymi do lotów długodystansowych. Było to szczególnie istotne dla ówczesnych potęg światowych: Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Ich posiadłości nie dość, że były zamorskie, to jeszcze oddzielone od metropolii państwami, gdzie nie można było zbudować odpowiednich lotnisk. Rozwiązaniem były wodnopłatownce, korzystające – niczym statki – z infrastruktury portowej. Podróż statkiem z Wielkiej Brytanii do Australii zajmowała sześć tygodni, wodnopłatowcem – dwa tygodnie.

Wodnopłatownce stawały się coraz szybsze i większe także dlatego, że nie obowiązywały je ograniczenia, którym poddane były samoloty na podwoziu kołowym. Wbrew pozorom podwozie miało olbrzymie znaczenie dla rozwoju – a raczej niedorozwoju – lotnictwa. W tym czasie lotniska miały nawierzchnię trawiastą, a ciężkie samoloty musiały mieć szerokie opony, które nie grzęzłyby w ziemi. Podwozie kołowe zwiększało masę lecącego płatowca, a chowanie kół wprowadzało niepotrzebne komplikacje. Wodnopłatownce nie miały tych ograniczeń, poza tym ich „pasy startowe” miały nieograniczoną długość.

Dlatego właśnie hydroplany dzierżyły większość rekordów lotniczych w dwudziestoleciu międzywojennym. Najwięcej uwagi przykuwała walka o puchar Schneidera, przeznaczonego dla samolotu,



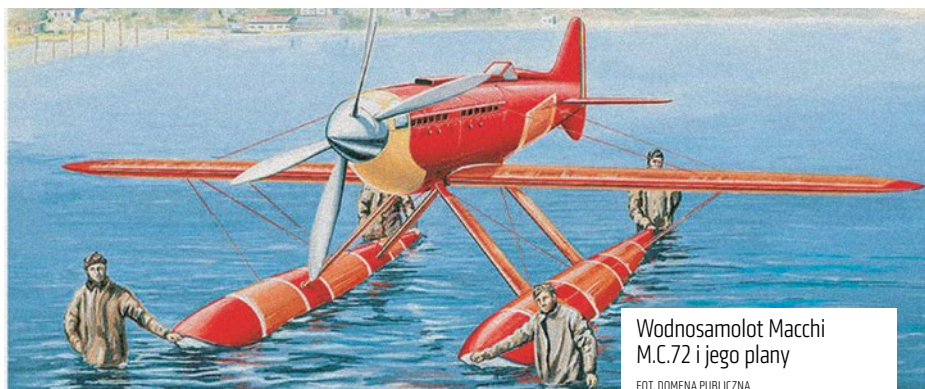
Pierwszy samolot – konstrukcji braci Wright

FOT. WIKIPEDIA



Pierwszy transatlantycki lot odbył się w 1919 r. Na zdjęciu Curtiss NC-4

FOT. DOMENA PUBLICZNA



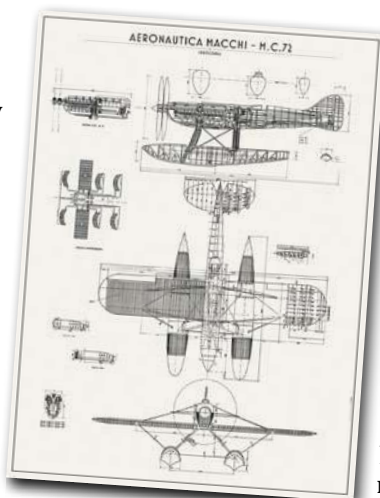
Wodnosamolot Macchi M.C.72 i jego plany

FOT. DOMENA PUBLICZNA

który osiągnie największą prędkość. Walka toczyła się co roku głównie między Brytyjczykami a Włochami. W 1931 r. puchar – po trzech zwycięstwach z rzędu – trafił do Wielkiej Brytanii. Zdobyły go samoloty firmy Supermarine, a doświadczenie pozwoliło zbudować maszynę Spitfire – najlepszy chyba myśliwiec drugiej wojny światowej. To jednak włoski wodnopłatewiec – Macchi M.C.72 – osiągnął największą prędkość: 709.202 km/h. W tym czasie najszybsze lądowe myśliwce świata ledwo przekraczały prędkość 400 km/h.

Wodnopłatawce były także największymi ówczesnymi samolotami. Palmę pierwszeństwa przez długi czas dzierżyła niemiecka łódź latająca Dornie Do X. Wagiła 56 ton, przewoziła 150 pasażerów, a napędzała ją 12 silników. Był to jednak typowy przykład teutońskiej inżynierii – imponującej mechanicznie, ale tak skomplikowanej i niepraktycznej, że wybudowano jedynie trzy egzemplarze, które nie odniosły sukcesu komercyjnego.

Ten przypadek natomiast Brytyjczykom, którzy produkowali bardziej praktyczne samoloty, dużo mniejsze niż Do X. „Mniejsze” nie znaczy „małe”. Short Empire – typowa brytyjska pasażerska łódź latająca końca lat 30. – miał masę 20 ton, napędzały go cztery silniki i przewoził 24 pasażerów. W tym czasie od pasażerów



ważniejsza była jednak przewożona poczta, a tej mógł zabrać 3,5 tony. W tym czasie – tuż przed kolejną wojną światową – lotnicza podróż z Wielkiej Brytanii do Australii trwała niespełna tydzień.

Konkurencję dla Brytyjczyków stanowili Amerykanie. Boeing 314 – nazwany Clipper – był dwa razy cięższy od brytyjskiej Empire,

mógł zabierać dwa razy więcej pasażerów i był zdolny do lotów transoceanicznych. W lutym 1939 r. clippery rozpoczęły loty z San Francisco do Hongkongu – podróż w obydwie strony zajmowała sześć dni. 24 czerwca tego samego roku rozpoczęto pierwsze loty transatlantyckie, z Nowego Jorku do Marsylii lub Southampton. Był to jednak rok 1939 i właśnie wybuchała druga wojna światowa.

Upadek

Kolejna wojna światowa była łańdżem śpiewem wodnosamolotów. Początkowo odgrywały one olbrzymią rolę, przede wszystkim jako patrolowce zwalczające wrogie statki i okręty, w tym te najbardziej niebezpieczne: niemieckie U-Booty na środkowym Atlantyku.

ku. I znów wojna dała impuls do budowy coraz doskonalszych maszyn. Latające łodzie były największymi samolotami niemal każdego z wojujących państw. Niektóre – tak jak sześciopłatowy niemiecki Bv-222 oraz ośmiopłatowy amerykański Hughes H-4 – nosiły imię Herkulesa, mitycznego herosa, najsilniejszego człowieka na ziemi.

Hughes H-4 wciąż jest imponujący, wciąż jest jednym z największych samolotów świata, a pod niektórymi względami po prostu największym, pomimo że ma już 75 lat. Jednak w czasie wojny zbudowano tak wiele długich betonowych lotnisk, przeznaczonych dla bombowców strategicznych, że wodnosamoloty straciły rację bytu. Oprócz zalet mają również wady: ich kadłub musi być wzmocniony, żeby wytrzymać napór wody i agresywną chemicznie słońską atmosferę. Wodnopłatawce – a szczególnie łodzie latające – są również droższe niż maszyny lądowe.

Dzisiaj wodnopłatawców używa się niezmiernie rzadko. Pojedyncze egzemplarze dużych łodzi latających służą jako maszyny patrolowe i ratownicze – szczególnie w wyspiarskiej Japonii. Lekkie wodnopłatawce wciąż latają nad jeziorami Kanady i rzekami Brazylii oraz podobnych, rozległych krajów bez infrastruktury lotniczej. Najciekawsze są jednak maszyny strażackie – powszechne chociażby w krajach śródlądowych – które wodę pobierają prosto z morza lub jeziora i zrzucają ją na częste pożary lasów. Co interesujące, niektóre z tych maszyn pamiętają czasy drugiej wojny światowej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Rysują

/ Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

ANNA LESKA W LATACH 30. ZDOBYŁA UPRAWNIENIA DO LOTÓW SZYBOWCAMI, BALONAMI ORAZ SAMOLOTAMI. PO WYBUCHU II WOJNY ŚWIATOWEJ ZOSTAŁA MIANOWANA PODPORUCZNIKIEM CZASU WOJNY I SKIEROWANO JĄ DO ESKADRY SZTABOWEJ DOWÓDZTWA LOTNICTWA.

WRZESIEŃ 1939 R.

MUSIMY SZYBKO STARTOWAĆ! NIEMCY JUŻ ZAJĘLI LOTNISKO!



ANNA LESKA DOTARŁA DO RUMUNII, A STAMTĄD DO FRANCJI I W KOŃCU DO WIELKIEJ BRYTANII.



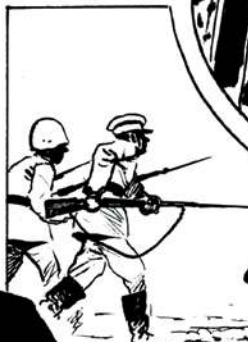
TAM PODJĘŁA SŁUŻBĘ W AIR TRANSPORT AUXILIARY, BĘDĄCEJ SŁUŻBĄ POMOCNICZĄ ROYAL AIR FORCE. DOKONAŁA TEGO JAKO PIERWSZA POLKA. POZA NIĄ W ATA W CZASIE WOJNY SŁUŻYŁY TAKŻE STEFANIA WOJCIŁANIS ORAZ JADWIGA PIŁSUDSKA, CÓRKA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO. ANNA LESKA MUSIAŁA OPAŃKOWAĆ STEROWANIE ZARÓWNO MYŚLIVCAMI, JAK I POTĘŻNYMI BOMBOWCAMI.

JEJ ZADANIEM – PODOBIEŃ JAK INNYCH KOBIET SŁUŻĄCYCH W ATA – BYŁO BOWIEM GŁÓWNIPILOTOWANIE SAMOLOTÓW NA TRASACH POMIĘDZY FABRYKAMI LUB ZAKŁADAMI NAPRAWCZYMI, A LOTNISKAMI W INNYCH REJONACH WIELKIEJ BRYTANII.



ZOSTAŁA ODZNACZONA ODZNAKĄ GOLDEN WINGS, PRZYZNANĄ OFICEROM Z DOROBKIEM PONAD SZEŚCIU TYSIĘCY GODZIN W POWIETRZU. PO ZAKOŃCZENIU II WOJNY ŚWIATOWEJ, ANNA LESKA WYSZŁA ZA MĄŻ ZA PIŁOTĄ Z 301 DYWIZJONU – MIECYSŁAWA DAABĄ. POZOSTALI W WIELKIEJ BRYTANII. PRZYJECHALI DO POLSKI DOPIERO W 1977 ROKU.

MŁODSZY O DWA LATA BRAT ANNY, KAZIMIERZ LESKI TAKŻE BYŁ PILOTEM. ZESTRZELONY WE WRZESNIU 1939 ROKU PRZEZ ROSJAN, TRAFIŁ DO NIEWOLI.



ZAJMOWAŁ SIĘ TWORZENIEM SZLAKÓW KURIERSKICH, A TAKŻE DZIAŁALNOŚCIĄ SZPIEGOWSKĄ. W PRZEBRANIU NIEMIECKIEGO GENERAŁA ZDOŁAŁ MIĘDZY INNYMI WYKRAŚĆ PLANY BUDOWY WAŁU ATLANTYCKIEGO.



ANNA LESKA-DAAB ZMARŁA 21 STYCZNIA 1998 ROKU, JEJ BRAT KAZIMIERZ DWA LATA PÓŹNIEJ – 24 MAJA 2000 ROKU.

Adam Próchnik (1892–1942) – legionista, peowiak, historyk, nauczyciel, archiwista i socjalista. Był zdecydowanym krytykiem sanacji, współtwórcą legendarnego Stowarzyszenia Wzajemnej Pomocy Lokatorów WSM „Szkłane Domy” na Żoliborzu i jednym z liderów konspiracji socjalistycznej w Warszawie, więc Polska Ludowa zrobiła z niego prawie komunistę. Jego imieniem nazywano ulice, szkoły i zakłady pracy, choć on sam po krótkim incydencie związanym ze współpracą z polskimi komunistami od końca lat 30.

/ Felieton

Adam Próchnik ojcem IPN



Sławomir Cenckiewicz

namawiał towarzyszy z PPS do pozbycia się złudzeń co do sowieckiej agentury.

W całej historii Adama Próchnika jeden z wątków jego biografii zaginął – jak się wydawało – na zawsze. Mianowicie mało kto wie, że w 1936 r. zirytowany stosunkiem II Rzeczypospolitej do zaborczej przeszłości tych urzędników-Polaków, którzy tkwiąc w aparacie państwowym zaborców, czynnie zwalczali ruch niepodległościowy, Próchnik zaproponował powołanie instytucji mającej się zająć rozliczeniem dawnych krzywd.

Na łamach „Kroniki Ruchu Rewolucyjnego w Polsce” (nr 6, kwiecień–czerwiec 1936 r.) opublikował programowy tekst pod jakże znamienitym tytułem: „Trzeba wyświetlić ciemne karty przeszłości”. Próchnik zaczyna od razu od przywołania wielu przykładów, które pozwalają nam porównać II RP do III RP, bo przecież

**Istnieje sprawa
prowokatorów,
zdrajców, szpiegów
i szkodliwych
narzędzi dawnych
rządów. Rozprawa
z nimi jest moralną
koniecznością...**

zarówno w międzywojniu, jak i po 1989 r. bohater walki o niepodległość, często w dodatku represjonowany z tego

rozwinięto nad podziw biurokrację, ale nie pomyślano ani na chwilę o stworzeniu urzędowej instytucji, zaopatrzonej w siłę wykonawczą i środki materialne, dla odsłonięcia tych wstydlivych kart przeszłości. [...] Istnieje niewątpliwa sprawa prowokatorów, zdrajców, szpiegów i szkodliwych narzędzi dawnych rządów. Rozprawa z nimi jest moralną koniecznością. Ich bezkarność obraża moralność publiczną. Bezkarność takich zbrodni podważa poczucie sprawiedliwości. A cóż dopiero, gdy niemal z reguły tego rodzaju osobniki, nie brak im wszak sprytu, są dobrze zaopatrzone, przeważnie przez państwo”. „Powinna była od samych zaczątków państwa polskiego powstać instytucja – pisze Próchnik – o charakterze oficjalnym, rozporządzająca odpowiednimi pełnomocnictwami i środkami, która zajęłaby się przetrząśnięciem planowo wszystkich archiwów państw zaborczych, zwłaszcza rosyjskich, która ściągłaby zeznania od wszystkich osób, które mają coś do powiedzenia, która sporządziłaby na podstawie dokładnej analizy zebranego materiału szczegółową listę osób, które zawiniły za minionych rządów wobec sprawy wyzwolenia narodowego i społecznego”.

„Dziś już jest późno. Ale nie za późno” – dodawał Próchnik i zaproponował stworzenie komisji, która „posiadałaby ustawy obowiązkiem i pełnomocnictwo zbierania wszelkich materiałów dotyczących prowokacji, szpiegostwa politycznego i działalności szkodliwej dla sprawy wyzwoleniczej i która publikowałaby wyniki swoich prac”.

Ponadto postulował „wydanie przepisów prawnych normujących odpowiedzialność karną za zbrodnie popełnione w okresie przed odzyskaniem niepodległości przeciw sprawie wyzwolenia, i odpowiednie sprecyzowanie okresu przedawnienia, dostosowane do warunków, biorąc pod uwagę, że zarówno w epoce zaborczej, jak i potem wobec braku przepisów – czyny te uchodziły bezkarnie”.

II RP nie skorzystała z rad uczciwego socjalisty i runęła we wrześniu 1939 r., nie rozliczając przeszłości ani nie weryfikując własnych kadr urzędniczych. III RP w 1998 r. uchwaliła ustawę o Instytucji Pamięci Narodowej, który szczęśliwie istnieje do dziś. Czy dzięki IPN „zadość się stało sprawiedliwości dziejowej”? Tylko po części... ©



Militaria.pl

Z DUMĄ WSPIERAMY



FUNDACJA IM.
CICHOCIEMNYCH
SPADOCHRONIARZY
ARMII KRAJOWEJ

WWW.FUNDACJACICHOCIEMNYCH.PL



GDYNIA ŚWIĘTOJAŃSKA 84 • KATOWICE GALERIA KATOWICKA • KRAKÓW DIETLA 51 • ŁÓDŹ MANUFAKTURA • POZNAŃ POZNANIA • SZCZECIN AL. PIASTÓW 53
WROCLAW OŁAWSKA 16 • WROCLAW ALEJA BIELANY • WARSZAWA BLUE CITY • WARSZAWA TAMKA 49 • WARSZAWA WOLA PARK